

BIULETYN IPN

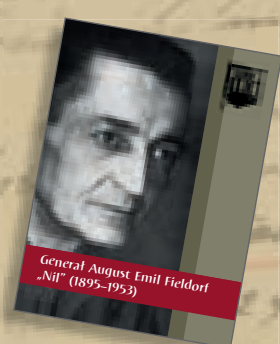
nr 2 (11)/2013

# pamięć pl



BARDZO PILNE

- Zamach na Gomułkę
- Studenci walczą o NZZ
- Hłasko – autor wyklęty
- Zbrodnia w Podgajach



## Generał „Nil” — zamordowany przez sąd

Dodatek specjalny:  
brozura akcji  
„Patroni naszych ulic”

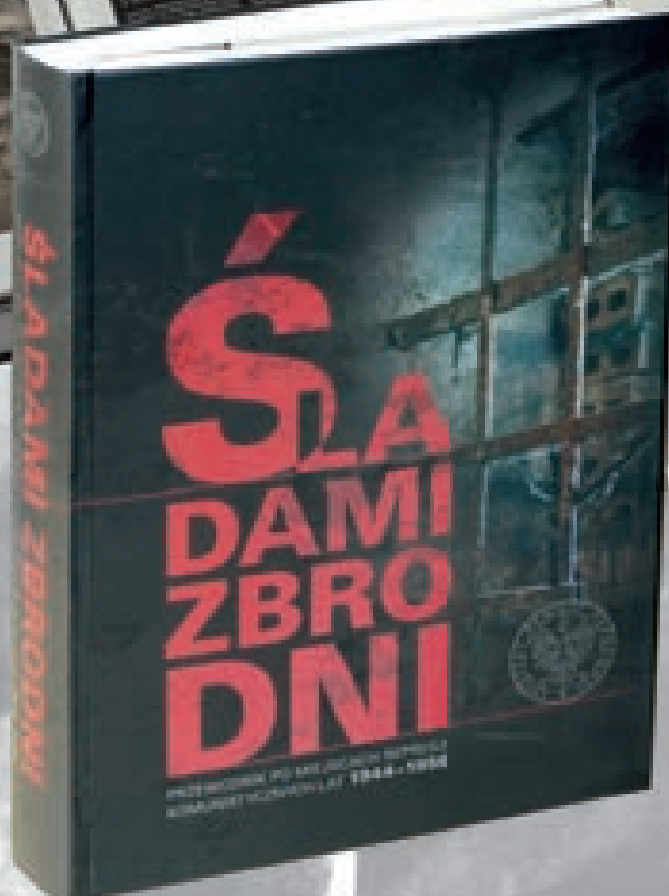
Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521  
nakład 9500 egz.

# ALBUM PRZEWODNIK PO MIEJSCACH REPRESJI KOMUNISTYCZNYCH W LATACH 1944–1956



Album *Śladami zbrodni* stanowi pierwszą próbę skatalogowania miejsc zbrodni komunistycznych z lat 1944–1956. Obejmuje on materiał fotograficzny (współczesny oraz z lat wcześniejszych), dokumentacyjny oraz relacyjny dotyczący powiatowych i wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa, siedzib Głównego Zarządu Informacji, więzień i obozów podległych Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, tajnych aresztów i placówek sowieckiego aparatu bezpieczeństwa – NKWD i Smiersza, a także tajnych miejsc pochówków.

Ponad 200 obiektów wybranych spośród ponad 500 skatalogowanych w ramach ogólnopolskiego projektu badawczego Instytutu Pamięci Narodowej „Śladami zbrodni”.

Ponad 200 historii miejsc opowiedzianych przez pryzmat losów konkretnych ludzi – ofiar zbrodni funkcjonariuszy polskiej i sowieckiej „bezpieki”.

**3 AKTUALNOŚCI IPN****4 KALENDARIUM****6 Z PIERWSZEJ STRONY****FELIETON****8** Maciej Rosalak, **Solidaruch i Sowiet****10** Krzysztof Gottesman, **Ambasadorzy wolnej Polski****STOPKLATKA****11** Konrad Wiesław Ślusarski,  
**Miasto ruin wraca do życia****HISTORIA W KINIE****14** Tomasz Sudół, **Tajemnica Westerplatte****Z ARCHIWUM IPN****16** Grzegorz Majchrzak, **Odebrać im paszporty****WYWIAD****18** **Autor wyklęty**, rozmowa z Andrzejem  
Czyżewskim, biografem Marka Hłaski**WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU****23** Przemysław Wywiół, **Uznany za (nie)winnego****27** Adam Dziuba, **Bomby w Zagórzcu.**  
**Część II: Zamach na Gomułkę****31** Krzysztof Tarka,  
**„Rozwydrzeni janczarzy” i „kukła moskiewska”,**  
**czyli emigracja o stanie wojennym****35 ŚLADAMI ZBRODNI****39** Karol Nawrocki, **Zatrzymać Szarmacha!****42** Joanna Hytrek-Hryciuk, **Karawana do marzeń.**  
**Wanda Rutkiewicz (1943–1992)**

Fot. Stanisław Jakubowski/PAP



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Andrzeja Czyżewskiego



Fot. AIPN

**Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO****45** Michał Siedziako, **Jak studenci wywalczyli**  
**swoją Solidarność****HISTORIA JEDNEGO ZDJĘCIA****50** Paweł Sasanka, **Egzekucja w obiektywie****ŚLEDZTWO IPN****53** Maciej Maciejowski,  
**Podgaje: niewyjaśniona zbrodnia****PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKРАНU****56** Jerzy Eisler, **Wilcze echa****Z BRONIĄ W RĘKU****59** Michał Mackiewicz,  
**Arsenały wydobyte z ziemi****ORZEŁ BIAŁY****62** Tomasz Zawistowski,  
**Niemiecki projekt polskiego orła****EDUKACJA HISTORYCZNA****65** Historia zapisana w adresie,  
rozmowa z prezesem dr. Łukaszem Kamińskim  
o nowej akcji Instytutu Pamięci Narodowej  
„Patroni naszych ulic”**69** Anna Brojer, **Przywróćmy ich pamięci.**  
**Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”****70 RECENZJE****73 BIBLIOTEKA IPN**



Szanowni Czytelnicy!

**24** lutego 1953 roku w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie kat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wykonał wyrok na byłym zastępcy komendanta AK i dowódcy organizacji NIE, gen. Augustynie Emilu Fieldorfe. To jeden z wielu mordów sądowych, jakich dopuścili się komuniści na żołnierzach podziemia. Wysoki oficer Armii Krajowej, odpowiedzialny za liczne akcje przeciwko niemieckiemu okupantowi, został przez uzurpatorów oskarżony o zdradę ojczyzny... Ponury chichot historii. W sześćdziesiątą rocznicę śmierci gen. Fieldorfa slychać echo tego chichotu: część posłów państwa, za którego niepodległość generał zginął, zaproponowała, by rangę państwową nadać nie tej rocznicy, lecz setnemu jubileuszowi urodzin jednego z dyktatorów PRL, Edwarda Gierka.

Gdy z wyroku komunistycznego sądu August Emil Fieldorf szedł na szafot, Gierek akurat stał u progu kariery w aparacie władzy – był sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach. W Sosnowcu nie ma ulicy Fieldorfa, jest za to rondo Gierka. Co tutaj mogło przeważyć w ostatecznym wyborze patrona? Wciąż żywe złudzenie dostatniej Polski lat siedemdziesiątych? W wywiadzie, który publikujemy w tym numerze, prezes Łukasz Kamiński tak mówi o nowej akcji IPN

„Patroni naszych ulic”: „System wartości, który wyznajemy, przejawia się także w tym, kogo wybieramy na patronów ulic i placów, komu stawiamy pomniki”. Mamy nadzieję, że dołączona do numeru broszura o życiu i dokonaniach Augusta Fieldorfa oraz artykuł Przemysława Wywiśla o dziejach oskarżenia i rehabilitacji generała, nie pozostawią wątpliwości, kto zasłużył na miejsce w narodowym panteonie. Zapraszamy do udziału w akcji i przysyłania propozycji kolejnych patronów. O terrorze komunistycznym przypomina także wydana niedawno publikacja IPN *Śladami zbrodni*. Prezentujemy fragment tego swoistego albumu-przewodnika po dawnych więzieniach i katowniach.

Pod koniec rządów ekipy Gierka o swoje prawa ponownie upomnieli się studenci. O niełatwych bojach z ministerstwem nauki o zarejestrowanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów pisze Michał Siedziako. W czasach przedfejsbukowych społeczeństwo również potrafiło się zorganizować do walki z opresyjną władzą. Zdjęcie mówi czasem więcej niż tysiąc słów, jest też łatwiejsze w odbiorze – dlatego jego zasięg oddziaływania jest szerszy. Czasem jednak zatrzymany w kadrze moment nie daje pełnego obrazu rzeczywistości i pozwala wysnuć fałszywe wnioski. W tym numerze inaugurujemy drugi – obok Stopklatki – dział poświęcony fotografii. Będziemy w nim prezentować zdjęcia znane i nieznanne, za którymi kryje się historia inna, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Zaczynamy od historii pewnego zdjęcia z Wietnamu.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski

**pamięć.pl**

Wydawca:  
Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:  
dr hab. Grzegorz Berendt,  
dr hab. Robert Klementowski,  
dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski,  
dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak,  
dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Zelazko

Rada Redakcyjna:  
Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska,  
dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek,  
Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka,  
Magdalena Semczyszyn,  
Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:  
Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56;  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)  
Maciej Foks, Filip Gańczak, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska

Sekretariat:  
Maria Wiśniewska  
tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta:  
Magdalena Baj

Projekt graficzny:  
Krzysztof Findiński, Marcin Koc,  
Sylwia Szafrąńska

Redakcja techniczna:  
Andrzej Broniak

Skład i łamanie:  
Anna Zakrzewska

Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych  
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

## W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:

### WZÓR RODZINY SOCJALISTYCZNEJ

Jednym z celów socjalizmu było zbudowanie „nowego społeczeństwa”, którego funkcjonowanie zależało od kształtu rodziny – określanej jako podstawowa komórka społeczna. W zakładanym modelu rodziny nie było miejsca na religię chrześcijańską. Naturalną potrzebę uroczystości, obrzędowości starano się zaspokoić – z różnym skutkiem – laickimi ceremoniami i świętami, które często przybierały formy karykaturalne. Miały one za zadanie odciągnąć obywateli od Kościoła. Szczególnie istotna dla władz była postawa funkcjonariuszy państwowych. O problemach i sukcesach w urzeczywistnieniu idei rodziny socjalistycznej – której wzorem miała być rodzina milicjanta – pisze Łucja Marek.



Fot. AIPN

### KARTKI, BONY, BILETY, TALONY...

Choć reglamentacja produktów pierwszej potrzeby to zjawisko charakterystyczne dla wojny i okresu tużpowojennego, to Polakom towarzyszyła ona przez ponad jedną trzecią ubiegłego stulecia. W Polsce Ludowej system kartkowy funkcjonował przez niemal połowę jej czterdziestopięcioletniego istnienia. Na kartki sprzedawano żywność, materiały budowlane, węgiel, samochody, papierosy, środki czystości, temperówki – niemal wszystko. Nawet żeby dostać same kartki, trzeba było mieć... inne kartki. Historię reglamentacji w Polsce XX wieku przybliży dr Andrzej Zawistowski.



Fot. ze zbiorów  
A. Zawistowskiego



■ Prezes IPN dr Łukasz Kamiński zaapelował o pomoc materialną dla „tych, którzy wywalczyli naszą wolność” – osób zaangażowanych w czasach PRL w ruch Solidarności

Dziękujemy  
**ZA WOLNOŚĆ**

i opozycję demokratyczną. 22 stycznia, w 150. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, prezes Kamiński przypomniał, że w II RP weterani powstania nie tylko cieszyli się powszechnym szacunkiem,

ale też zapewniano im dożywotnie utrzymanie. Tymczasem dzisiaj wielu z tych, którzy w PRL podjęli walkę z reżimem komunistycznym, żyje w zapomnieniu i nędzy, choć poświęcili ojczyźnie zdrowie, karierę, a często także sprawy prywatne. „Wszyscy zasługują na naszą pamięć, a w razie potrzeby także na pomoc” – napisał prezes Kamiński w apelu opublikowanym w mediach. Wesprzeć weteranów walki o wolną Polskę, którzy dziś znajdują się w szczególnie trudnej sytuacji życiowej, ma zainaugurowana właśnie **akcja społeczna dziękujemyzawolnosc.pl**.

■ 23 stycznia zmarł w Warszawie kardynał **Józef Glemp**, prymas Polski w latach 1981–2009. Był honorowym obywatelem wielu miast i doktorem honoris causa licznych uczelni. W 2009 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego. Żył 83 lata.



Fot. P. Zycieński

Podczas okupacji Glemp pracował jako robotnik przymusowy w niemieckim gospodarstwie rolnym. W 1956 roku przyjął święcenia kapłańskie. Był m.in. sekretarzem Prymasa Tysiąclecia Stefana Wyszyńskiego i – od 1979 roku – biskupem diecezjalnym warmińskim. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Służba Bezpieczeństwa PRL bezskutecznie próbowała pozyskać go do współpracy. Po śmierci charyzmatycznego Wyszyńskiego to właśnie Glemp został jego następcą. Przeprowadził polski Kościół katolicki przez trudne lata osiemdziesiąte i okres przemian demokratycznych. W pierwszych dniach stanu wojennego utworzył Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Jednocześnie apelował do społeczeństwa o powściągliwość, tłumacząc to obawą przed rozlewem krwi. Część opozycjonistów wypominała mu zbytnią ugodowość. Sam po latach wyrzucał sobie, że nie ustrzegł od śmierci ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego przez SB w 1984 roku. Przez całe lata osiemdziesiąte kard. Józef Glemp nawoływał do rozmów władzy ze społeczeństwem. Bez pośrednictwa Kościoła z prymasem na czele nie doszłoby do obrad Okrągłego Stołu i przelomowych wyborów parlamentarnych 1989 roku. Kardynał miał też udział w powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego.

► Prymas Polski kard. Józef Glemp (1929–2013)

■ 25 stycznia w warszawskim Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki odbyła się promocja najnowszej gry wydanej przez Instytut Pamięci Narodowej. Uczestnicy spotkania mieli możliwość jej przetestowania, zakupienia w promocyjnej cenie lub wygrania w loterii.



Fot. P. Skrzek

► Uczniowie podczas gry w *ZnajZnak*

**Gra ZnajZnak** nie tylko dostarcza emocji i rozrywki, lecz także przekazuje wiedzę o najnowszej historii Polski. Gracze uczą się rozpoznawać symboliczne dla XX wieku znaki, daty, miejsca czy postaci – od Józefa Piłsudskiego po symbol Związku Polaków w Niemczech. *ZnajZnak* jest grą idealną dla klas szkolnych. Przy użyciu jednego kompletu kart mogą jednocześnie grać nawet 32 osoby, a zasady da się wyjaśnić w minutę. Szkoły, biblioteki i organizacje zajmujące się edukacją młodzieży mogą otrzymać darmowy egzemplarz gry. Wystarczy wejść na stronę [www.znajznak.pl](http://www.znajznak.pl), zarejestrować się i złożyć zamówienie.

■ Instytut Pamięci Narodowej i Polska Baza Genetyczna Ofiar Totalitaryzmów w Szczecinie pilnie poszukują kontaktu z **rodzinami więźniów politycznych okresu stalinowskiego**, straconych w latach 1948–1956 na warszawskim Mokotowie. Latem ubiegłego roku w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie podjęto prace archeologiczno-ekshumacyjne, w których wyniku odnaleziono szczątki stu kilkunastu więźniów – ofiar komunizmu. Dzięki badaniom DNA udało się ustalić tożsamość por. Edmunda Bukowskiego, kpt. Stanisława Łukasika oraz inż. Eugeniusza Smolińskiego. Wkrótce mamy poznać kolejne nazwiska. Będzie ich tym więcej, im więcej krewnych ofiar dostarczy próbki materiału genetycznego, niezbędne do badań porównawczych. Ci, którzy się jeszcze nie zgłosili, proszeni są o kontakt telefoniczny lub mailowy: tel. (71) 326 76 58, e-mail [krzysztof.szwagrzyk@ipn.gov.pl](mailto:krzysztof.szwagrzyk@ipn.gov.pl) bądź tel. (91) 48 49 873, e-mail [pbgot@ipn.gov.pl](mailto:pbgot@ipn.gov.pl). Pobranie materiału genetycznego jest łatwe, szybkie i bezbolesne. Polega na wykonaniu wymazu śliny z ust.

■ Znamy już laureatów **konkursu fotograficznego „Żołnierze Wyklęci. Historia, która mnie porusza”**. Grand Prix jury przyznało **Agnieszce Ciasnosze**,

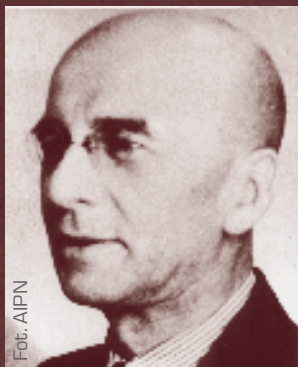


uczennicy IV LO w Rzeszowie, za zdjęcie „Pamięć wiecznie żywa”. W kategorii do lat 16 zwyciężyła **Zofia Karnasiewicz**, uczennica Szkoły Podstawowej nr 155 w Krakowie. W kategorii od lat 17 do 24 pierwsze miejsce zajęła **Michalina Faryś**, uczennica I LO w Busku-Zdroju. W kategorii powyżej lat 24 triumfował **Grzegorz Kaźmierczak** ze Szczecina. Pełną listę laureatów można znaleźć na stronach internetowych IPN, Kuratorium Oświaty w Krakowie i Stowarzyszenia „Passionart”. Wręczenie nagród odbędzie się 28 lutego w Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie.

oprac. Filip Gańczak



## POSTAĆ MIESIACA



Fot. AIPN

► Jan Stanisław Jankowski (1882–1953)

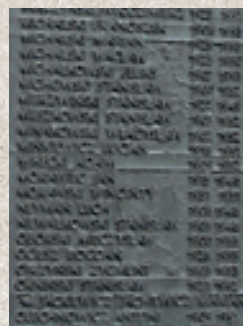
19 lutego 1943: Jan Stanisław Jankowski został wyznaczony na Delegata Rządu na Kraj i zastąpił aresztowanego przez Niemców Jana Piekalkiewicza. Jankowski był z wykształcenia chemikiem. W czasie I wojny światowej służył w Legionach Polskich. W młodości związany z endecją, w II RP był jednym z założycieli i liderów Narodowej Partii Robotniczej, sytuującej się w centrum sceny politycznej. W latach dwudziestych trzykrotnie obejmował stanowisko ministra pracy. Zasiadał w sejmie i Radzie Miejskiej Warszawy. W roku 1937 wszedł do Stronnictwa Pracy – nowej chadeckiej partii, opozycyjnej wobec piłsudczyków. W czasie II wojny światowej uczestniczył w konspiracji związanej z emigracyjnym rządem w Londynie. Był dyrektorem Departamentu Pracy i Opieki Społecznej, zastępcą delegata, a następnie – Delegatem Rządu RP na Kraj, czyli najwyższym przedstawicielem władz cywilnych Rzeczypospolitej w okupowanej Polsce. Wiosną 1944 roku – w randze wicepremiera – stanął na czele Krajowej Rady Ministrów. Zatwierdził decyzję o rozpoczęciu 1 sierpnia Powstania Warszawskiego. „Jeżeli my nie damy sygnału do walki, ubiegną nas w tym komuniści. Ludzie wtedy oczywiście uwierzą, że chcieliśmy stać z bronią u nogi” – tłumaczył. W marcu 1945 roku – wraz z innymi przywódcami Polskiego Państwa Podziemnego – został podstępnie aresztowany przez Sowieców, przetransportowany do Moskwy i osadzony w więzieniu na Łubiance. Stalinowski prokurator bezpodstawnie oskarżył go m.in. o kierowanie „robotą wywrotową przeciwko Armii Czerwonej i ZSRR”. Jankowski był sądzony w pokazowym „procesie szesnastu” i wyrokiem Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR został skazany na osiem lat pozbawienia wolności. Według oficjalnych dokumentów sowieckich, 13 marca 1953 roku (dwa tygodnie przed upływem kary) zmarł z przyczyn naturalnych w więzieniu we Włodzimierzu nad Kłajmą. Z zapisków, które po sobie pozostawił, wynika jednak, że żył jeszcze 28 marca. W 1995 roku został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Wałęsę Orderem Orła Białego. ■

6 lutego 1953:

W więzieniu na warszawskim Mokotowie został stracony pięćdziesięcioletni płk Mieczysław Oborski. Był jedną z setek ofiar komunistycznego terrorku w Polsce.

Oborski, oficer przedwojennego Wojska Polskiego z wieloletnim stażem, w czasie II wojny światowej służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie – najpierw we Francji, a później w Wielkiej Brytanii.

W grudniu 1945 roku powrócił do kraju. Przyjęto go do „ludowego” Wojska Polskiego i skierowano na odpowiedzialne stanowiska, m.in. w Głównym Inspektoracie Artylerii. 21 maja 1952 roku został zatrzymany przez funkcjonariuszy Informacji Wojskowej i oskarżony o przynależność do rzekomego spisku wojskowego. Niespełna trzy miesiące później Najwyższy Sąd Wojskowy pod przewodnictwem ppłk. Juliusza Krupskiego skazał go na śmierć – na podstawie zeznań wymuszonych w czasie brutalnego śledztwa. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Oborski został rozstrzelany i pochowany w bezimiennej mogile. W 1956 roku doczekał się pośmiertnej rehabilitacji. Jego symboliczny grób znajduje się na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach. ■



Fot. P. Życieński

► Tablica pamiątkowa na murze dawnego więzienia MBP przy ul. Rakowieckiej w Warszawie ku czci pomordowanych tam działaczy niepodległościowych

10 lutego 1968: W Warszawie odbył się premierowy występ zespołu Pod Egidą, jednego z najbardziej znanych kabaretów PRL. Zespół powstał z inicjatywy Jana Pietrzaka. Komentował wydarzenia polityczne w „ludowej” Polsce, piętnował zakłamanie, nie unikał ostrej satyry. Bawił – ale i zmuszał do refleksji. Był przestrzenią wolności w państwie depczącej wolność słowa. Pierwsze skrzypce w Egidzie grali początkowo – obok Pietrzaka – Jonasz Kofta i Jan Tadeusz Stanisławski. Z czasem z kabaretem związali się zawodowi aktorzy, tacy jak: Piotr Fronczewski, Krystyna Janda, Janusz Gajos, Wojciech Pszoniak czy Kazimierz Kaczor. Teksty dla zespołu pisali m.in. Agnieszka Osiecka, Daniel Passent i Maciej Rybiński. Na widowni można było wypatrzeć nie tylko opozycjonistów, lecz także ludzi władzy – choćby byłego premiera Józefa Cyrankiewicza.

Popularność zespołu, zdobyta dzięki ironicznemu stosunkowi do peerelowskiej rzeczywistości, nie uszła uwadze Służby Bezpieczeństwa. Od 1975 roku kabaret był rozpracowywany przez Wydział III Komendy Stołecznej MO w ramach sprawy o kryptonimie „Tercet”. „Toczyliśmy też niekończące się boje z cenzurą – niemal o każde słowo i przecinek. Potem cenzorzy zasiadali na widowni. A myśmy grali swoje” – wspomina Fronczewski w książce *Filmowcy w matni bezpieki*. Kabaret Pod Egidą występuje do dziś, choć w mocno zmienionym składzie. ■



Fot. AIPN

► Jan Pietrzak



**21 lutego 1978:** W Katowicach powstał Komitet Pracowniczy Wolnych Związków Zawodowych – pierwsza niezależna od władz PRL organizacja związkowa.

„Jesteśmy eksploatowani i wyzyskiwani, a za z trudnością zarobione pieniądze niewiele możemy kupić. [...] Stan taki będzie trwał tak długo, jak długo nie potrafimy się zjednoczyć i zorganizować” – głosiła deklaracja założycielska. Inicjatorem powołania komitetu był Kazimierz Świtoń, działacz opozycyjnego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Deklarację podpisali również Roman Kściuczek, Władysław Sulecki, Tadeusz Kicki i Ignacy Pines. Komitet działał w rejonie Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Starał się nieść pomoc pracownikom pokrzywdzonym przez administrację lub kierownictwo zakładów pracy. Z powodu ciągłych szykan i represji, które spadły na organizatorów WZZ, działalność ta była bardzo ograniczona. Katowicki komitet stał się jednak inspiracją dla podobnych inicjatyw w innych regionach. W kwietniu tego samego roku powstały w Trójmieście Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, a rok później w Szczecinie – WZZ Pomorza Zachodniego. To w dużym stopniu z tych doświadczeń wyrosły później Sierpień 1980 roku i ruch NSZZ „Solidarność”.



► Kazimierz Świtoń

Fot. ze zbiorów A. Fniśzke

**25 lutego 1948:** Sejm Ustawodawczy przyjął ustawę o powołaniu masowej paramilitarnej organizacji młodzieżowej „Służba Polsce”.

SP została zbudowana według zasad wojskowych i przy wsparciu oddelegowanej do niej kadry oficerskiej. Organizacja ta, przeznaczona dla młodzieży w wieku 16–21 lat, miała być połączeniem drużyny sportowej, szkoły zawodowej i wojska. Prowadziła przysposobienie obronne, zajęcia podobne do szkolnego WF-u oraz indoktrynację ideologiczną. Przede wszystkim jednak zapewniała państwu armię niemal darmowej siły roboczej.

„Ponad dwa miliony chłopców i dziewcząt zasilą szeregi budowniczych naszych miast i wsi” – zapowiadała Polska Kronika Filmowa. Dla większości młodzieży oznaczało to tylko dodatkowe zajęcia pozaszkolne. Część junaków – jak nazywano członków SP – skoszarowano jednak na okres od kilku tygodni do roku w brygadach pracy. Brygady zajmowały się m.in. odgruzowywaniem Warszawy, budową Nowej Huty i pomocą w Państwowym Gospodarstwach Rolnych. Do najcięższych prac – w kopalniach i kamieniołomach – kierowano przymusowo młodzież z grup społecznych uznanych za wrogie „ludowej” Polsce: dzieci przedwojennych urzędników, kupców, przemysłowców czy zamożnych rolników. W pierwszych latach junacy nie otrzymywali żadnego wynagrodzenia. Mieli jedynie zagwarantowane wyżywienie, umundurowanie i zazwyczaj bardzo prymitywne zakwaterowanie.

Propaganda przedstawiała „Służbę Polsce” jako „zaszczytny obowiązek młodzieży”. Wielu młodych ludzi robiło jednak wszystko, by uniknąć wcielenia do organizacji. O przyjęciu w szeregi SP decydowały komisje lekarskie. Przedstawiano więc zaświadczenia o niezdolności do pracy. A ponieważ ze służby były zwolnione mężatki, zdarzały się śluby na dwa, trzy dni przed poborem. W 1949 roku do SP należało ok. 1,2 mln osób. Organizacja została rozwiązana w grudniu 1955 roku.



Fot. PKF

► Defilada junaków z organizacji „Służba Polsce” ulicami Warszawy, 1948 rok

**Luty 1943:** Oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) dokonał masakry polskiej ludności cywilnej w kolonii Parośla I na Wołyniu.

Założona w XIX wieku Parośla, w II RP leżąca w powiecie Sarny (dziś Ukraina), była zamieszkała przez 27 polskich rodzin. 9 lutego 1943 roku (część źródeł podaje datę o dzień wcześniejszą) we wsi pojawiła się sotnia UPA pod dowództwem Hryhorija Perehyniaka „Dowbeszki-Korobki”. Upowcy przedstawili się jako oddział sowieckiej partyzantki i zażądali żywności. Po posiłku zabili siekierami najpierw kilku pojmanych wcześniej Kozaków z niemieckiego posterunku policji w pobliskim Włodzimiercu, a później niemal wszystkich Polaków, w tym kobiety i dzieci. „Zamordowano co najmniej 155 osób – mieszkańców Parośli oraz przyjezdnych. Ocalało dwanaście ciężko rannych osób” – wlicza w książce *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”* dr hab. Grzegorz Motyka. Opuszczone zabudowania Parośli upowcy spalili latem 1943 roku. Zachowała się wspólna mogiła Polaków. Po latach Ukrainiec z okolicy postawił w tym miejscu krzyż, a w roku 1995 mały obelisk. Dziś znajduje się tam również polskojęzyczna tablica z nazwiskami pomordowanych.

Zbrodnię w Parośli uważa się za początek tzw. rzezi wołyńskiej, której apogeum przypadło na lipiec 1943 roku. Z czasem „antypolska akcja” UPA rozszerzyła się na Galicję Wschodnią. Odpowiedzialność za te ludobójcze czystki etniczne ponosi Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery (OUN-B), dążąca do stworzenia państwa ukraińskiego, w którym nie byłoby miejsca dla Polaków. Grzegorz Motyka podaje, że w latach 1943–1947 z rąk OUN-B i jej zbrojnego ramienia – UPA zginęło w sumie ok. 100 tys. Polaków, a w wyniku polskich akcji odwetowych – od 10 do 15 tys. Ukraińców.







## 4 lutego 1973 roku

„5 lutego kasy PKO rozpoczynają przyjmowanie przedpłat na »Fiat 126p«. Aby umożliwić płocczanom obejrzenie tego wozu, Oddział Płocki PKO za prezentuje go w dniu 6 lutego w naszym mieście” – podał do wiadomości „Tygodnik Płocki” w numerze 5 z 4 lutego 1973 roku. Przy tej okazji zapraszał do obejrzenia samochodu, którego produkcja dopiero co ruszyła w Polsce. Relacja z tego wydarzenia – zatytułowana *Marzenie w zasięgu ręki* – ukazała się na łamach pisma dwa tygodnie później. Jak można było przeczytać, na apel redakcji odpowiedziało wielu płocczan. Z tego też powodu dyrekcja PKO zdecydowała się na przerwanie pokazu, aby zapobiec ewentualnemu uszkodzeniu samochodu. Rzecz jasna nie spodobało się to zgromadzonej w centrum Płocka publiczności, która niezwłocznie poinformowała o tym fakcie redakcję „Tygodnika”. Mimo to zadowolonych z pokazu również nie brakowało. „Właśnie wczoraj wpłaciliśmy z mężem pierwszą ratę na fiacika. Przyda nam się ogromnie w pracy; liczymy, że otrzymamy go w roku 1978. Jestem mile zaskoczona, wcale nie jest tak ciasny wewnątrz, jak to wygląda na pierwszy rzut oka. Można jeździć naprawdę wygodnie” – zachwycała się jedna z osób, której dane było zasiąść za kółkiem. Jakby tego było mało, fiat 126p wyjechał na ulice miasta! „Prowadził go milicyjny radiowóz, a z głośników towarzyszącego wozu megafonowego płynęły nieustannie informacje o warunkach przedpłat. Kolumna pojazdów wzbudziła ogromną sensację” – relacjonował „Tygodnik”. Redakcja zapowiadała kolejne prezentacje – m.in. przed bramami Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych. ■

## Luty 1988 roku

O paryskiej „Kulturze”, jej twórcach i odbiorcach, a także głównych zadaniach pisma i zarzutach dotyczących finansowego wspierania wydawnictwa przez „wrogów Polski Ludowej” rozmawiał z Jerzym Giedroyciem redaktor „Obrazu”, niezależnego miesięcznika społecznego wydawanego w Szczecinie. Pokłosiem tej rozmowy był opublikowany na łamach pisma w lutym 1988 roku wywiad *Oby jak najdłużej...* „Zupełnie świadomie nie piszę w »Kulturze«, poza jakimiś zasadniczymi oświadczeniami, gdyż zaczynałem działalność redakcyjną grubo przed wojną jako redaktor »Buntu Młodych« i »Polityki«. Byłem zdania, że redaktor nie powinien pisać, bo to mu nie pozwala na obiektywizm w ocenianiu tekstów. Redaktor, w pewnym sensie, jest reżyserem, a bardzo mało reżyserów jest jednocześnie dobrymi aktorami” – wyjaśniał na wstępie Giedroyc, redaktor naczelny emigracyjnego pisma oraz założyciel Instytutu Literackiego w Paryżu. Na zadane przez redaktora „Obrazu”, pytanie dotyczące stosunku władz „ludowej” Polski do pisma, Giedroyc odpowiedział: „»Kultura« jest niewątpliwie najbardziej atakowanym pismem przez władze PRL. Trudno powiedzieć, aby mi to sprawiło jakąś satysfakcję – może jako dowód na kształtowanie przez »Kulturę« opinii krajowej”. Przy okazji odniósł się do zarzutów, jakoby miesięcznik był agendą CIA, finansowaną przez wrogów Polski, którą rządili komuniści. Stwierdził: „Ta plotka może być przyjęta jedynie przez ludzi, którzy »Kulturę« nie czytają. »Kultura« jest chyba jednym z nielicznych pism omawiających politykę amerykańską w sposób nie tylko obiektywny, ale i bardzo krytyczny. »Kultura« bardzo często daje też wyraz swemu krytycznemu stosunkowi do polityki USA wobec Polski i Europy Wschodniej”. Nie mogło też zabraknąć pytania o środowisko animatorów pisma. „Zespół »Kulturę« jest bardzo szczupłym zespołem, który uformował się w wojsku jeszcze podczas wojny, i jesteśmy już na odejściu. Po mojej śmierci »Kultura« nie będzie wychodziła, bo pismo jest zawsze dziełem jednego człowieka” – zapowiadał Giedroyc. I niezwłocznie dodawał: „Instytut Literacki jako ośrodek polityczny i wydawniczy zostanie”. Zgodnie z ostatnią wolą redaktora naczelnego miesięcznik został zlikwidowany tuż po jego śmierci w 2000 roku. ■



# Solidaruch i Sowiet

Maciej Rosalak

Jarosław Kaczyński powiedział dokładnie to, czego Moskal nie chciał usłyszeć. Z Łońki uszło całe powietrze...

**A**ni amnestia z września 1986 roku, kiedy Jaruzelski z Kiszczakiem istotnie zwolnili niemal wszystkich więźniów politycznych w PRL, ani tak zwane głośność i pierestrojka Gorbaczowa w ZSRS nie wywołały euforii wśród Polaków. Nie „zjednoczyły”, nie „scementowały”, nie „zmobilizowały wokół kierownictwa partii i wytyczonych przez nie zadań”. System się sypał – i każdy to widział. Sytuacja przypominała ostatnie lata monarchii habsburskiej, kiedy zwyczajnie przestano ją brać poważnie. Cisnęły się słowa wieszcza: „Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem / Jakies dziwne przecucie, jak przed świata końcem”.

## Lwowianka zamiast „betonu”

Gdzieś tak w okresie strajków ‘88 i Magdalenki powstał ferment nawet w Stronnictwie Demokratycznym, gdzie znów – jak w latach 1980–1981 – zaczęto się domagać rzeczywistego, a nie fasadowego systemu wielopartyjnego (XVI Plenum Centralnego Komitetu SD). W „Tygodniku Demokratycznym” – czasopiśmie stronnictwa – nareszcie odwołano „betonowego” redaktora naczelnego, a jego miejsce zajęła Lidia Smyczyńska. Mądry i uczciwy człowiek, wspinała lwowianka o wielkim sercu spowodowała, że nagle

zaczęły się ukazywać wywiady z czołowymi działaczami nielegalnej jeszcze Solidarności, reportaże i artykuły dotyczące prawdziwych przyczyn niewydolności ustroju, wspomnienia łagienników, wypowiedzi godnych szacunku ludzi z rosyjskiego Memoriału. Pismo rozwinęło skrzydła, szło jak burza, skupiając też tych w SD, którzy chcieli demokratycznych zmian, oraz budząc oburzenie najbardziej zachowawczych prominentów. Zdjęcie Lecha Wałęsy na okładce „TD” pokazywano z pianą wściekłości na ustach. Tak to wtedy wyglądało.

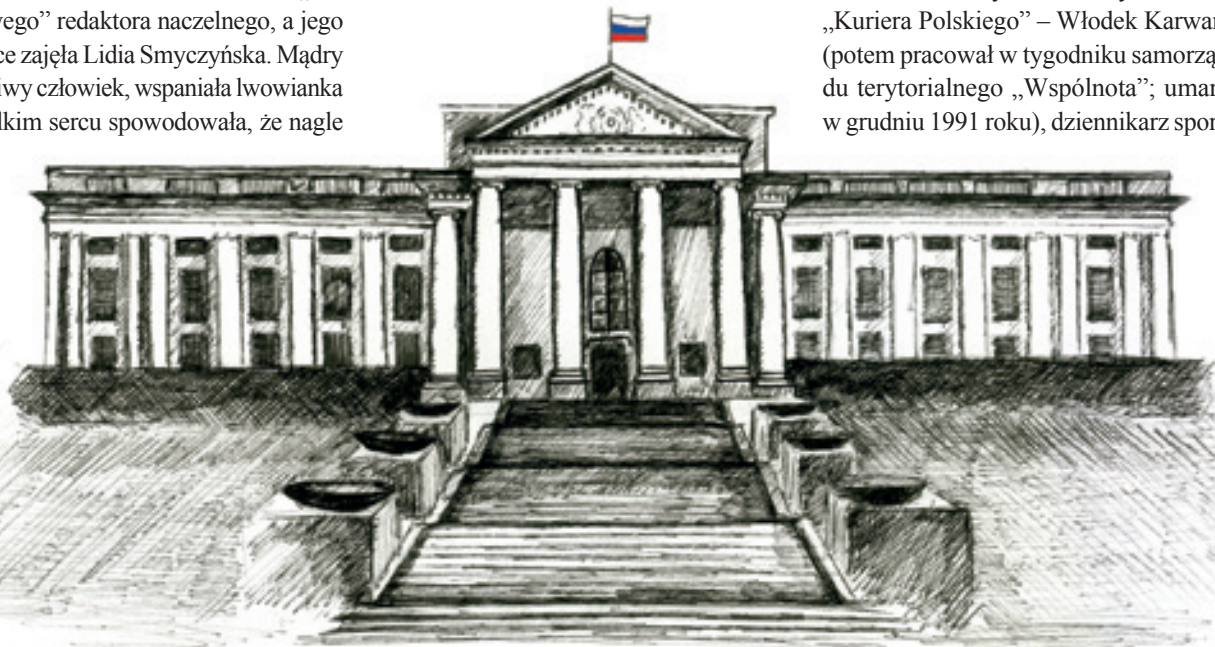
Zdjęto embargo także z Rosalaka. Lidia uczyniła mnie swoim pierwszym zastępcą, zacząłem pisać stały felieton polityczny i znów – jak za pierwszej Solidarności – zabrałem się do otwartej działalności w Związku i w SD. Oczywiście, nie pytałem nikogo o zgodę. Wraz z Leszkiem Chmielewskim z „Kurieria Polskiego” odtworzyliśmy NSZZ „Solidarność” w Wydawnictwie „Epoka”. Od razu po Okrągłym Stole zarejestrowaliśmy organizację zakładową (robiło się to w kościele na warszawskiej Woli) i zwo-



► Jeden ze znaczków zaprojektowanych przez autora w 1987 roku dla nielegalnej Poczty Solidarność z okazji rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego

łaliśmy zebranie. Stałem z Leszkiem po bokach stołu, zostawiając centralne miejsce dla przewodniczącej komisji zakładowej z lat 1980–1981, Janiny Paradowskiej (tak, tak, dziś w „Polityce”!). Władze Związku reprezentował Andrzej Celiński, który skromnie patrzył z ubo- cza, co się dzieje.

W pewnym momencie było na co patrzeć. Zaprosiliśmy bowiem wszystkich wyrzuconych w stanie wojennym i niemal wszyscy – poza jednym kolegą – przyszli. Kiedy wedle umowy z Maciejem Łukasiewiczem (wtedy szefem legalnej spółdzielni dziennikarskiej Omnipress i nielegalnego Wydawnictwa MOST, po latach redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej”) niespodziewanie weszli na salę, ludziom łzy cisnęły się do oczu, rzucano się sobie w objęcia, rozmowom nie było końca. Był m.in. powszechnie lubiany i szanowany sekretarz „Kurieria Polskiego” – Włodek Karwan (potem pracował w tygodniku samorządu terytorialnego „Wspólnota”; umarł w grudniu 1991 roku), dziennikarz spor-





towy „KP” o niebywałym stylu i autorytecie – Andrzej Roman (zachował w III RP niezależność), zastępca redaktora naczelnego „TD”, człowiek wielkiej wiedzy – Krzysztof Boruń (pisarz SF), dziennikarz działu zagranicznego „KP” i działacz Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” – Marek Rapacki (długie lata korespondent „Gazety Wyborczej” w Paryżu), reporter „KP” – Włodek Słowiński (rychło prezes „Ruchu”) i dwudziestu kilku innych...

Ten wiosenny dzień przyniósł mi największe wzruszenie w owym pełnym emocji, niebywałym roku 1989. Spełnił skryte marzenie i wynagrodził poniżenia lat osiemdziesiątych.

Przypominał nieco filmowy *happy end*. Ale życie nie jest filmem, a historia – wbrew ówczesnemu słynnemu sformułowaniu Francisa Fukuyamy – nie skończyła się bynajmniej. Mimo ofert powrotu do pracy w pismach „Epoki”, prawie nikt nie wrócił, bo każdy urządził już sobie – bądź właśnie urządził – znacznie lepiej życie w tym czasie pełnym obietnic i nieznanymi wcześniej możliwościami. Poza tym pisma SD, mając na rynku coraz ciekawszą konkurencję, bite przez nią z początku znaczkami Solidarności, a rychło również popiwkiem Balcerowicza, czyli podatkiem obciążającym głównie przedsiębiorstwa z czasów PRL, przestały być atrakcyjnym miejscem pracy. W rezultacie tylko jeden kolega, ten właśnie, który zignorował zaproszenie na zebranie, podjął pracę w „Tygodniku...”, skorzystał z zaliczenia do stażu okresu bezrobocia spowodowanego przesładowaniem politycznym i w ten sposób dobił szczęśliwie do emerytury.

W sprawie weryfikacji dziennikarzy w stanie wojennym nie poprzestałem na tym. Kiedy później zostałem... kierownikiem wydziału prasy w stronnictwie, doprowadziłem do przyjęcia przez Prezydium CK SD oświadczenia, w którym ubolewano z powodu tego wydarzenia i przeproszono pokrzywdzonych. Potępienia przez cały Centralny Komitet nie udało mi się jednak osiągnąć. Odrzucono wniosek rzekomo ze względów proceduralnych (faktycznie nie było go

w porządku obrad), ale w rzeczywistości nie mogli go stawić ci, którzy w stanie wojennym rozpoczynali świetlaną karierę i wygodne życie.

### Intruzi w spadku

Do upadku gazet SD i samego stronnictwa może jeszcze kiedyś wrócić, ale na razie mamy wiosnę 1989 roku, a za sobą XIV Kongres SD, na który znów zostałem delegatem, i na którym (tym razem – ho, ho! – w Sali Kongresowej) ponownie przemawiałem. Znów – jak słynny XII Kongres w marcu 1981 roku – zgromadzenie to przyniosło wiele słów i wyrzuciło do góry nogami skład władz naczelnych, ale nie zdołało ani zmienić stronnictwa w powszechnie szanowaną partię, ani powołać dużego formatu przywódcy, który byłby w stanie tego dokonać. Jedynym kandydatem, który się nie skompromitował w latach osiemdziesiątych i w ogóle rozumiał to wyzwanie, był zapewne prof. Jan Janowski z krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Był wśród piątki posłów SD sprzeciwiających się w 1982 roku likwidacji NSZZ „S” i dobrze odnalazł się przy Okrągłym Stole. Na kongresie zaś dostał najmniej głosów...

Na sekretarza CK SD powołano naukowca z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych – Jerzego Roberta Nowaka, sporo piszącego na łamach „TD” (po latach znanego głównie z Radia Maryja i Telewizji Trwam). Wcześniej przyszedł do mnie i zapytał, czy przyjąć wybór. Odpowiedziałem popularnymi wtedy słowami Gorbaczowa: jak nie my, to kto, jak nie dziś, to kiedy? Za parę dni przychodzi do mnie i powiada: jak nie my, to kto, jak nie dziś, to kiedy? Zostań kierownikiem wydziału prasy. Co było robić, zostałem.

Po moim poprzedniku odziedziczyłem różnych dziwnych panów przychodzących w gości. Jednych popędziłem od razu, innych nieco później. Do drugiej kategorii zaliczyłem I sekretarza, bądź co bądź, ambasady Związku Sowieckiego w Polsce. Nazywaliśmy go Łońka i lubiliśmy za wesoły sposób bycia, choć był zapewne dwudziestym z pierwszych

sekretarzy ambasady i – jak oni wszyscy – funkcjonariuszem KGB. Łońka wiedział, że zostałem kierownikiem na fali solidarnościowych przemian, więc chwalił owe przemiany bez miary, aż wreszcie zapytał, czy mogę mu umożliwić kontakt z kimś z najbliższego otoczenia przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy. Pośrednio, ale mogłem. Okazało się, że będzie go reprezentował... Jarosław Kaczyński (tak, tak, młody Czytelniku, tak wtedy było).

Spotkanie obu panów odbyło się u mnie w gabinecie i obaj nalegali, abym został jako świadek. Mogę już chyba dwa słowa powiedzieć o tej poruszającej dla mnie rozmowie. Otóż trzy kwadransy bez mała przedstawiciel Moskwy próbował omotać Polaka pochlebstwami wobec genialności „waszego przewodniczącego”, wysokimi ocenami polityki ruchu solidarnościowego, oszalałymi perspektywami współpracy Sowieców z solidarnościową Polską. Pies mówił, a wilk słuchał. Bez słowa, nieruchomo, nic nie dawał po sobie poznać. Aż wreszcie Łońka przeszedł do rzeczy, czyli do zorganizowania wizyty Wałęsy w ZSRS i spotkania (jakby przypadkowego) z sowieckim przywódcą Michaiłem Gorbaczowem.

I zapytał: „Co musimy zrobić, aby wasz przewodniczący przyjął zaproszenie?”. Kaczyński powiedział dokładnie to, czego rozmówca chciał uniknąć: „Wasz pierwszy musi go zaprosić”.

Z Łońki uszło całe powietrze. A ja poczułem nieklamana dumę i szacunek do mego rodaka, Polaka, który jak gdyby nigdy nic wziął górę w rozgrywce z Moskalem.

Łońka szybko się pożegnał, a ja mogłem jeszcze trochę pogawędzić z wyraźnie odprężonym Jarosławem Kaczyńskim. Podziwiałem jego spokój w trakcie negocjacji. Kiedy jednak wstał z fotela, zobaczyłem, że musiał się niebywale wiercić, a więc denerwować, bo z tyłu wysunął mu się duży płat koszuli. Śmieszne? Rozczulające? Dla mnie, po prostu, sympatyczne... 🍷

**Maciej Rosalak** – publicysta historyczny, w 1989 roku zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Demokratycznego” i kierownik wydziału prasy CK SD



# Ambasadorzy wolnej Polski

Krzysztof Gottesman

Polacy, jak mało który naród, znaczną część swojej historii przeżyli na emigracji. Wyjeżdżali i za chlebem, i bić się „za wolność waszą i naszą”, i w obawie przed represjami ze strony swoich i obcych – sprawujących władzę nad Wisłą. Przypominali innym o Polsce i poszukiwali osobistego szczęścia, miłości.

**W** ostatnim spisie powszechnym, przeprowadzonym w Anglii i Walii w 2011 roku, do polskości przyznało się blisko 600 tys. osób. W rzeczywistości jest ich więcej. Sześćdziesiąt lat wcześniej, po wielkiej wojennej zawierusze, zmianie granic i wędrownie setek tysięcy ludzi, w całej Wielkiej Brytanii mieszkało ok. 150 tys. naszych rodaków. Tak jak wtedy, i dziś łączą ich z krajem rozmaite więzy. Tych więzów są dziesiątki, choć jakże się od siebie różnią! Powoli w przeszłość odchodzi pojęcie „emigracja”, częściej należy mówić o „Polonii”, a jeszcze częściej po prostu o Polakach mieszkających poza Polską.

Przez pół wieku braku suwerenności Polski to właśnie emigracja starała się pełnić rolę reprezentanta wolnej Rzeczypospolitej. Różnie to w kolejnych latach wyglądało. Ale był rząd na wychodźstwie, był prezydent. Z czasem ich waga polityczna wobec świata i kraju malała. Jednak fakt, że 22 grudnia 1990 roku na Zamku Królewskim w Warszawie prezydent Ryszard Kaczorowski mógł przekazać insygnia prezydenckie wybranemu w wolnych wyborach Lechowi Wałęsie, miał znaczenie i polityczne, i symboliczne.

Niezaprzeczalne są zasługi emigracji w tworzeniu pamięci historycznej, utrzymywaniu intelektualnego kontaktu z wolnym światem Zachodu oraz w obronie przed kłamstwem ideologii i propagandy komunistycznej. Potrafiła też emigracja podtrzymywać polskość wśród dziesiątków tysięcy uchodźców.

238-246 King Street, London W6. Niezbyt ładny z zewnątrz, niewysoki, betonowy budynek. Polski Ośro-

dek Społeczno-Kulturalny. Od blisko czterdziestu lat jest sercem polskości w Wielkiej Brytanii i nie tylko. Gdy był otwierany w roku 1974, znalazły w nim swoje miejsce najważniejsze polskie instytucje emigracyjne: Zjednoczenie Polskie, Instytut Józefa Piłsudskiego, Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Również biblioteka, księgarnia, bar i restauracja, teatr. Po kilkudziesięciu latach rozproszenia polskiej emigracji udało się stworzyć kulturalno-społeczne centrum, bo instytucje polityczne najczęściej pozostawały pod starymi adresami. Dziś POSK żyje zupełnie innym życiem. Polityka rzadziej tu zagląda, dominują codzienne zabieganie i staranie o lepszą przyszłość.

Setki studentów, którzy tak jak ja przyjeżdżali w połowie lat siedemdziesiątych na saksy do Londynu, wcześniej czy później, w wolnej chwili, po znalezieniu pracy i mieszkania, kierowało się właśnie na King Street w zachodniej dzielnicy Londynu – Hammersmith. Do biblioteki. Często po raz pierwszy braliśmy do rąk paryską „Kulturę”, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, „Wiadomości” i inne wydawnictwa emigracyjne. Tu czytaliśmy Marka Hłaskę, Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Józefa Mackiewicza, również Władysława Konopczyńskiego, Oskara Haleckiego. Mogliśmy poznać zakazane i niewydawane w Polsce dzieła światowej humanistyki. Tu wielu z nas odkrywało prawdę o Katyniu i wywózkach na Syberię, kulisy walki na szczytach komunistycznej władzy.

Na kilka dni przed powrotem do Polski wizyta w bibliotece była szczególnie.

Każdy student mógł wybrać kilka książek, które dostawał za darmo. Do dziś na mojej półce stoją przemycone m.in. *Moje wspomnienia* Wacława Solskiego czy *Nowa klasa* Milovana Đilasa. Bez trudu odnalazłem w *Cmentarzach* Marka Hłaski zakończenie, które kilkadziesiąt lat temu zrobiło na mnie ogromne wrażenie: „Nie ma już domów – rzekł po chwili Franciszek. – Są tylko cmentarze... Więc wszyscy kłamali, to jednak zabawne. I wy, i mój sekretarz, i Jerzy. Ale teraz to już nie ma znaczenia: prawda okazała się głupsza, niż przypuszczałem”.

Marian Hemar – 41. rocznica jego śmierci minęła 11 lutego – legenda kabaretów międzywojennej Warszawy, autor dziesiątek śpiewanych do dziś piosenek, między innymi *Kiedy znów zakwitną białe bzy*, *Nikt tylko ty*, *Upić się warto*, po wojnie osiadł w Londynie. Był jednym z najbardziej nieprzejednanych. Po śmierci Juliana Tuwima, w przeszłości swojego wielkiego przyjaciela, napisał pełne gorczy słowa: „Kłamstwo zemściło się na nim, jak się zawsze mści na poetach. Julian Tuwim umarł w chwili, kiedy wstąpił na statek wiozący go na Bierutową służbę”. Ale dodawał: „Na szczęście pamięć potomości jest zarazem krótka i długa. Krótka – gdy chodzi o człowieka. Długa – gdy idzie o jego dzieło”. Bo, jak pisał kilka lat później, „nie widzę innego celu pisania, jeno dotarcie do czytelnika, słuchacza i widza w Kraju”.

Na szczęście, dzięki emigracji i zbudowanym przez nią instytucjom, docierał. Jest obecny również dziś. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



# Miasto ruin wraca do życia

Konrad Wiesław Ślusarski

Julien Bryan przeszedł do historii fotografii jako autor zdjęć wykonanych w oblężonej Warszawie we wrześniu 1939 roku. Polski czytelnik miał okazję je zobaczyć m.in. w albumach *Oblężenie Warszawy w fotografii Juliana Bryana i Kolory wojny*, wydanych w 2010 roku przez Instytut Pamięci Narodowej i Ośrodek KARTA. W zbiorach IPN znajdują się także zdjęcia, na których Bryan uwiecznił obraz warszawskiej codzienności tuż po wojnie, w 1946 roku.

**B**ryan nie był korespondentem frontowym. W dokumentowanej rzeczywistości zawsze najważniejsi byli dla niego zwykli ludzie, ich twarze, emocje, przeżycia. „Najważniejsze było to, co przydarzyło się zwykłym mieszkańcom Warszawy, starcom i starszkom, matkom, małym dzieciom i tysiącom cywilnych pracowników, którzy robili swoje i nie porzucili pracy” – czytamy wspomnienie fotografa w *Kolorach wojny*.

Pod koniec 1946 roku Bryan ponownie przyjechał do Warszawy wraz z transportem pomocy z UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Administracja Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Odbudowy). Teraz jednak trafił do zupełnie innego niż w 1939 roku miasta: zrujnowanego, częściowo wciąż wyludnionego. Bryan obserwował, jak z dnia na dzień Warszawa powraca do życia, a mieszkańcy za wszelką cenę po koszmarze wojny chcą stworzyć namiastkę normalności.

Najlepszym tego dowodem jest to, że mimo olbrzymich kłopotów z zaspokojeniem podstawowych potrzeb (mieszkanie, jedzenie, ubranie), bywa-

li chętni do robienia sobie pamiątkowych fotografii. Oto na jednym ze zdjęć (fot. 1) widzimy ulicznego fotografa czekającego na klientów wśród ruin przy ulicy Hożej (na fragmencie muru widoczna nazwa ulicy i kawałek numeru – 33 lub 35, może to być adres tego właśnie miejsca lub fragment reklamy jakiegoś punktu usługowego). Jak zauważył w swym podpisie Bryan, rozwieszone idylliczne tło kontrastowało z zimową sceną gruzowisk. To „atelier” to oczywiście jeden z wielu przykładów na to, jak bardzo brakowało lokali nie tylko mieszkalnych, ale i tych na potrzeby działalności gospodarczej.

Również handel odbywał się przede wszystkim na ulicach. Na prowizorycznych targowiskach mieszkańcy miasta mogli kupić produkty żywnościowe

i wszystkie niezbędne artykuły gospodarstwa domowego. Na fotografii widzimy sprzedaż z wiklinowych koszy różnorodnego pieczywa (fot. 2). ➤



► Fot. 1





► Fot. 2



► Fot. 3

Warto też zwrócić uwagę na otoczenie sprzedawczyń. Otóż stoją one na ulicy Wiejskiej, w sąsiedztwie siedziby Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” (widoczny szyld), założonej jeszcze w 1944 roku, ważnego ośrodka propagandy komunistycznej. Z prawej zaś strony wisi afisz zapraszający na zabawę taneczną. To kolejny dowód na to, jak bardzo ludziom zależało na powrocie do zwyczajnego życia, także do rozrywki. Notabene, impreza miała się odbyć w świetlicy pracowników hotelu „Polonia” (to także znamienne, ponieważ budynek ten, cudem ocalały od zniszczeń, jako jeden z niewielu reprezentacyjnych w stolicy był siedzibą większości instytucji i miejscem wszelkich uroczystości), a podczas zabawy – jak anonsuje

plakat – planowano przeprowadzić kwestę, z której dochód miał zostać przeznaczony na prezenty gwiazdkowe dla biednych dzieci.

W sytuacji ogromnego niedoboru towarów w zniszczonym kraju istotne źródło zaopatrzenia w produkty pierwszej potrzeby, m.in. w żywność i artykuły higieniczne (np. mydło, proszek do prania) czy odzież, stanowiły dla mieszkańców dostawy pomocy z UNRRA. Wiele z produktów przekazywanych przez UNRRA pochodziło z nadwyżek wojskowych, które okazały się zbędne dla armii wobec zakończenia wojny i postępującej demobilizacji sił zbrojnych (zwłaszcza Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii). Sorty mundurów z likwidowanych magazynów trafiły do ludności cywilnej i były używane jako element cywilnego ubioru, często po domowych przeróbkach. Dostrzec to można w ubiorze chłopców stojących w punkcie wydawania pomocy (fot. 3).

► Fot. 4





Na półkach widać bieliznę lub pościel, a na pierwszym planie – aluminiowe garnki i miednice.

Na ulicy można było też nabyć gazety codzienne (fot. 4). Przy mocno ograniczonym dostępie do radia, prasa była podstawowym źródłem informacji o wydarzeniach w kraju i na świecie. Była także jednym z narzędzi propagandy komunistycznej. Inne bardziej doraźne narzędzia propagandy widać na tym samym zdjęciu w prawym górnym rogu. Jest to namalowane na ścianie budynku hasło „NIEMCOM NIE W SMAK 3 X TAK”, stanowiące pozostałość po kampanii agitacyjnej przed referendum ludowym z czerwca 1946 roku.

Mimo zniszczonej infrastruktury i braków taborowych powoli zaczynała funkcjonować publiczna komunikacja miejska. Nieliczne autobusy i tramwaje, ocalałe z zawieruchy wojennej, nie mogły jednak zaspokoić potrzeb ludności. W dodatku infrastruktura tramwajowa była zrujnowana: pozrywana trakcja, zasypane gruzami, rozebrane lub pozrywane torowiska, niedobory prądu. Sytuację próbowano poprawić, przystosowując do roli prowizorycznych autobusów samochody ciężarowe, także te pochodzące z demobilu. Adaptacja po-

legała na mocowaniu drewnianych ławek wewnątrz skrzyni ładunkowej, wzdłuż burt. Czasami jednak – jak zauważył Bryan – rezygnowano z montowania ławek, żeby móc zabrać więcej pasażerów. Zapotrzebowanie na transport miejski było duże, o czym świadczy ginąca w oddali długa kolejka ludzi wsiadających do pojazdu (fot. 5).

Ostatnie z prezentowanej serii zdjęć (fot. 6) wykonano najprawdopodobniej w barze mlecznym, jednym z trwałych elementów ówczesnej warszawskiej gastronomii. Siedzący pośrodku mężczyzna to niemal na pewno sam Julien Bryan, po posiłku czytający najnowsze wydanie dziennika „Daily Herald”. Po obu stronach siedzą dzieci. Dziewczynka po lewej jest ubrana w mundur harczerki, co świadczy o odradzaniu się w owym czasie struktur i idei harcerstwa polskie-



► Fot. 5

go. Proces ten nie został jeszcze przerwany brutalnymi ingerencjami władzy komunistycznej. Po prawej chłopiec na moment przerwał lekturę czasopisma „Sportowiec”, relacjonującego wyniki zmagania klubów piłkarskich. Wprawdzie nawet przy dużym powiększeniu nie da się odcyfrować daty dziennej gazety, ale w określeniu momentu wykonania zdjęcia pomocny jest tytuł: „Polonia zwycięża ŁKS 6:3 (2:0)”. Takim wynikiem zakończyło się spotkanie rozegrane w listopadzie 1946 roku.

Fotografie Juliana Bryana z końca 1946 roku to niezwykła kolekcja pozwalająca nie tylko zobaczyć obraz Warszawy tego okresu i życia codziennego jej mieszkańców, ale przede wszystkim spojrzeć na twarze ludzi, spróbować wyczytać z nich emocje i przeżycia. Jest to obraz pozornie przygnębiający, ale tak naprawdę emanujący nadzieją. ■

Konrad Wiesław Ślusarski – archiwista  
w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN



► Fot. 6





# Tajemnica Westerplatte

Tomasz Sudol

**W**esterplatte to w Polsce symbol walki, bohaterstwa, żołnierskiego honoru. To tu padły pierwsze strzały II wojny światowej, gdy 1 września 1939 roku, o godz. 4.45 pancernik „Schleswig-Holstein” otworzył ogień. Obrona Wojskowej Składnicy Tranzytowej (WST), funkcjonującej od połowy lat dwudziestych, to najbardziej znany epizod walk wrześniowych 1939 roku. Żołnierzom z Westerplatte poświęcono liczne monografie, wspomnienia, niezliczone artykuły, programy telewizyjne i radiowe. W 1967 roku hołd obrońcom oddał Stanisław Różewicz filmem *Westerplatte*. Na ekrany kin właśnie wchodzi nowa polska produkcja

w reżyserii Pawła Chochlewa *Tajemnica Westerplatte* (taki sam tytuł miał też głośny artykuł Janusza Roszki w tygodniku „Polityka” z 1993 roku, w którym pojawiła się teza o załamaniu psychicznym mjr. Henryka Sucharskiego). W założeniu film ma być wierną rekonstrukcją siedmiodniowej epopei bohaterkiej placówki. Reżyser posiłkował się ustaleniami Mariusza Borowiaka, autora książki *Westerplatte: w obronie prawdy*, i Jacka Żebrowskiego, wieloletniego badacza WST. Wykorzystał też materiały znajdujące się w zbiorach prywatnych wielu osób, m.in. córki kpt. Franciszka Dąbrowskiego.

Efektowne sceny batalistyczne walk o placówkę „Prom”, w trakcie których

1 września odparto pierwsze ataki, należą do najlepszych w filmie. Znamiennie są też sceny zmagania o wartownię nr 1, dokąd – z powodu przewagi wroga – wycofali się żołnierze z „Promu”. Gdyby *Tajemnica Westerplatte* w całości prezentowała tak wysoki poziom, jak te sekwencje, byłby to na pewno najlepszy obraz wojenny polskiego kina ostatnich lat. Niestety, filmowi brak spójności, i nie ratują go te pojedyncze sceny. Brakuje przede wszystkim wprowadzenia, przybliżającego widzowi wagę Westerplatte w 1939 roku, już nie jako składnicy tranzytowej, ale miejsca mającego znaczenie polityczne i prestiżowe, manifestującego prawo Polski do obecności w Gdańsku.

Centralnym wątkiem filmu jest dramat ostatniego komendanta placówki, mjr. Henryka Sucharskiego. Ten kawaler Virtuti Militari z wojny 1920 roku po nasilonym bombardowaniu Westerplatte 2 września załamał się i utracił wolę dalszej walki. Od tego momentu faktycznym dowódcą został kpt. Franciszek Dąbrowski, dowódca oddziału wartowniczego i zastępca komendanta WST. Niemoc komendanta Westerplatte jest właśnie tytułową tajemnicą, strzeżoną po wojnie przez jej obrońców, którzy w trakcie walk zaprzysięgli, że nie ujawnią szczegółów dotyczących załama-

➤ Michał Żebrowski  
w roli mjr. Sucharskiego





nia majora, jego decyzji o kapitulacji placówki już 2 września (przez moment biała flaga powiewała na budynku koszar) oraz o tym, że dowódcą był w rzeczywistości kpt. Dąbrowski.

Konflikt między Sucharskim a Dąbrowskim o dowodzenie placówką, dalszą obronę oraz – bliższe konwencji teatralnej – spory w gronie oficerskim (m.in. 5 września w stanowisku dowodzenia) o sens kontynuowania walki przysyłają obraz załogi, która do końca zachowała wysokie morale i wolę walki. Można odnieść błędne wrażenie, że – poza kpt. Dąbrowskim i chor. Janem Gryczmanem – nikt nie wierzył w sens dalszej obrony. Sam Sucharski – jak sugeruje reżyser – już 31 sierpnia miał się dowiedzieć od przybyłego pplk. Wincentego Sobocińskiego, że Westerplatte jest skazane na zagładę; że honor żołnierza i rozkazy nakazują bronić się 12 godzin (a zatem obrona spełniła swoje zadanie już 1 września). Pogląd taki nierzadko pojawia się w literaturze przedmiotu, jednak wydaje się mało zasadny. Po pierwsze, dokumenty dotyczące Westerplatte zostały spalone na polecenie mjr. Sucharskiego 2 września, po drugie – nie znamy dokładnego przebiegu jego rozmowy z pplk. Sobocińskim, po trzecie – wspomnianych w relacjach sześć do dwunastu godzin obowiązywało tak naprawdę w wypadku zaatakowania składnicy w czasie kryzysu polsko-gdańskiego. Wreszcie, placówka na Westerplatte nie podlegała pplk. Sobocińskiemu pod względem taktycznym, a zatem nie mógł on wydać mjr. Sucharskiemu żadnych dyspozycji. W wypadku wojny placówka miała bronić się do końca. I pod takim zresztą kątem, czyli długotrwałego oblężenia, była przygotowywana. Żołnierze w trakcie walk oczekiwali nadejścia odsieczy i tak jak wszyscy wierzyli w pomoc ze strony Wielkiej Brytanii i Francji.

Tajemnicą pozostaje zaś to, dlaczego reżyser zdecydował się na zamieszczenie kilku scen, które nie tylko są kontrowersyjne, ale i burzą linię narracyjną: rzekomego buntu w wartowni nr 1 i bójki między plut. Piotrem Buderem a chor. Gryczmanem (która omal nie doprowadziła do zajęcia wartowni przez

Niemców); sceny, w której grupka pijanych obrońców poszła wykapać się w morzu i została przepędzona stamtąd ogniem z niemieckich statków; rozmowy o bezcelowości dalszej walki między kpt. Dąbrowskim a jednym z obrońców, który chwilę wcześniej po pijanemu obisał plakat „Silni, zwarci, gotowi”. Kolejne kontrowersje dotyczą pokazanych w filmie: rozstrzelania na plaży trzech obrońców, którzy zostali wykryci jako „dekownicy” na terenie elektrowni, oraz rzekomego desperackiego ataku żołnierzy z placówki „Fort”, którzy na wieść o kapitulacji ruszyli do walki na bagnety, poderwani przez dowódcę placówki, matę Bernarda Rygielskiego. Żadna z tych scen nie znajduje potwierdzenia w opracowaniach ani znanych mi relacjach obrońców, opublikowanych i niepublikowanych. Kapitan Dąbrowski napisał w swoich wspomnieniach, że łączność dowodzenia była utrzymana do samego końca, co przeczy obrazowi „dekowników” w elektrowni, pozostawionych jakoby samym sobie. Również w przekazach chor. Gryczmana i plut. Budera brak jakiegokolwiek wzmianki o buncie i bójce w wartowni nr 1. Chorąży Gryczman wspominał wręcz, że „o poddaniu się nie było mowy” i że przed wartownią stałaby się ich grobem.

Jeśli chodzi o egzekucję, to faktycznie rozstrzelano czterech – a nie trzech – żołnierzy, którzy odmówili dalszej walki po zbombardowaniu Westerplatte. Wiadomo jedynie, że 8 września przy wartowni nr 4 Niemcy odkryli grób z ciałami tych żołnierzy. Szczegóły na temat tego wydarzenia nie pojawiły się w żadnej relacji obrońców opublikowanej po wojnie.

Żołnierze placówki „Fort” po otrzymaniu informacji o kapitulacji w rzeczywistości pozostawili broń na placówce i udali się do koszar. Gdyby zdecydowali się na atak na bagnety w momencie kapitulacji, zostaliby uznani przez Niemców za „bandytów” i groziłoby im rozstrzelanie.

Główną oś filmu reżyser uczynił ze starcia dwóch postaw: chłodnej, racjonalnej – prezentowanej przez mjr. Sucharskiego, i impulsywnej, niemal „fanatycznej” postawy kpt. Dąbrowskiego. W tym wszystkim brakuje jednak odpowiedzi na kluczowe pytanie: skoro siedmiodniowa obrona Westerplatte odbywała się w tak dramatycznych okolicznościach i w zasadzie mogła zakończyć się już 1 września (po wypełnieniu rzekomego rozkazu nakazującego utrzymanie placówki przez 12 godzin), to jaki sens miała obrona Oksywiu, bronionego do 19 września, i Helu, który bronił się aż do 1 października?

Film, wbrew twierdzeniu jego twórcy, trudno nazwać wierną rekonstrukcją wydarzeń. Wpisuje się on raczej w modny ostatnio w kinie nurt demitologizacji wydarzeń historycznych. Trudno zrozumieć, dlaczego – mimo obszernej dokumentacji o obronie Westerplatte – reżyser zdecydował się na umieszczenie scen, o których mowa wyżej. Nic nie zmieni faktu, że pomimo rozwiązania tytułowej tajemnicy obraz Pawła Chochlewa rozczarowuje. ■

**Tomasz Sudol** – pracownik Wydziału Badań Naukowych BEP IPN, autor książki *Poligon Wehrmachtu „Południe”*, prowadzi badania zbrodni na żołnierzach Wojska Polskiego we wrześniu i październiku 1939 roku, zajmuje się też tematyką Służby Budowlanej w Generalnym Gubernatorstwie

♦ Mirosław Baka zagrał żołnierza, który zniszczył plakat „Silni, zwarci, gotowi”

Fot. materiały prasowe ITI Cinema





**Dziś, kiedy każdy może mieć paszport w domu, a do podróżowania po krajach Unii Europejskiej wystarczy dowód osobisty, młodzi Polacy nie zdają sobie sprawy z tego, że w PRL paszport był upragnionym, trudno dostępnym dobrem.**

# Odebrać im paszporty

**P**aszporty podlegały wówczas ścisłej reglamentacji, a ich przyznanie zależało od dobrej woli funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych, gdyż podania o zgodę na wyjazd składało się w komendach Milicji Obywatelskiej. Dawało to esbekom spore możliwości. Między innymi właśnie przy okazji załatwiania spraw paszportowych często werbowali oni ludzi do współpracy. I dlatego do dziś pokutuje fałszywy stereotyp, że jeśli ktoś nie zgadzał się na podjęcie współpracy, to nie mógł liczyć na paszport, a więc również na wyjazd za granicę, niekiedy z pewnością bardzo atrakcyjny.

O wiele trudniej było otrzymać paszport w okresie stalinowskim aniżeli w latach siedemdziesiątych, czyli w czasach otwarcia Polski na świat za rządów Edwarda Gierka. I znów gorzej było pod tym względem w stanie wojennym, a lepiej – pod koniec lat osiemdziesiątych.

Od czerwca 1959 roku do kwietnia 1991 roku kwestie związane z wyjazdami zagranicznymi regulowała ustawa o paszportach, uchwalona przez Sejm PRL 17 czerwca 1959 roku (wcześniej obowiązywał dekret o paszportach z 1954 roku). Była ona kilkakrotnie nowelizowana – największe zmiany wprowadzono w roku 1983 (w listopadzie 1990 roku uchwalono nową ustawę). Zgodnie z przepisami z 1959 roku każdy obywatel miał prawo otrzymać paszport, „jeżeli przedłożył wymagane dokumenty oraz uiścił należną opłatę”, ale jednocześnie „właściwy organ” mógł odstąpić od tej zasady i odmówić wydania dokumentu w kilku przypadkach: gdy przeciwko osobie ubiegającej się o paszport toczyło się postępowanie karne; gdy naruszyła przepisy obowiązujące w sprawach

paszportowych; gdy „w czasie swego pobytu za granicą działała na szkodę interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej albo zachowaniem swym naraziła na szkodę dobre imię Polski”. Powodem odmówienia paszportu mogły być również „ważne względy państwowe”, „wzgląd na osobę pozostającą pod opieką obywatela ubiegającego się o paszport albo inne ważne względy społeczne”. W razie odmowy petentowi przysługiwało odwołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – w praktyce ostateczną decyzję podejmował dyrektor Biura Paszportów MSW.

Zainteresowani często nie znali przyczyny decyzji odmownej. Funkcjonariusze mogli – ale nie musieli – ich o niej informować, jeśli uznali to za słuszne i celowe, a nie przemawiały przeciwko temu „względy zachowania tajemnicy”. Zazwyczaj nie mówili prawdy, a informacje o rzeczywistych powodach odmowy znajdowały się w dokumentacji prowadzonej przez organy paszportowe, co było potrzebne do kontroli wewnętrznej przez przełożonych tych funkcjonariuszy.

Problemy z wyjazdem z kraju mogły spotkać właściwie każdą osobę krytycznie nastawioną i otwarcie wyrażającą swój negatywny stosunek wobec „ludowej” rzeczywistości. Były ponadto kategorie osób (np. księża katolicy), wobec których represja polegająca na odmowie wydania paszportu była stosowana zdecydowanie częściej niż w stosunku do innych grup społecznych. Szans na otrzymanie paszportu były pozbawione osoby, które wcześniej nielegalnie przekroczyły granicę; krewni osób, które zbiegły na Zachód lub odmówiły powrotu do kraju; skazani za niektóre rodzaje przestępstw (np. sabotaż, szpiegostwo, przestępstwa dewizowe)

czy też ci, którzy – co prawda – nigdy nie zostali skazani, ale byli w przeszłości rozpracowywani przez aparat bezpieczeństwa i dysponowano „poważnymi materiałami operacyjnymi” na ich temat. Obostrzenia dotyczyły nawet osób wiernych władzy „ludowej”. Na przykład najczęściej dwuletnią karencją byli objęci ci, którzy mieli dostęp do tajemnicy państwowej. Zastrzeżenia co do wyjazdów mogły wnosić pionierzy operacyjne SB, MO, sądy i prokuratury, urzędy skarbowe i celne oraz wojsko. W uzyskaniu paszportu mógł też przeszkodzić donos „życzliwego sąsiada”, kolegi z pracy czy aktualnego lub byłego współmałżonka.

Wśród osób, które miały problemy z uzyskaniem zgody na wyjazd z kraju, znaleźli się również ludzie jawnie zaangażowani w działalność opozycyjną. Obok prezentujemy „Postanowienie o zastrzeżeniu wyjazdu za granicę” dla Jana Józefa Lipskiego. Ten był żołnierz Armii Krajowej i uczestnik Powstania Warszawskiego „zapracował” na taką decyzję tzw. listem 34 z marca 1964 roku. Nie był co prawda sygnatariuszem tego protestu przeciwko polityce kulturalnej państwa, cenzurze oraz ograniczeniom w przydziale papieru na książki i czasopisma, ale był jednym z jego inicjatorów i organizatorem akcji zbierania podpisów pod nim. Z tego też powodu został zatrzymany na 48 godzin, a następnie objęty zakazem druku. Dopełnieniem tej ostatniej formy represji było uniemożliwienie mu wyjazdu zagranicznego, by nie mógł publikować w polskiej prasie emigracyjnej – jak stwierdzano na początku kwietnia 1966 roku – „wrogich paszkwili”.

**dr Grzegorz Majchrzak** – historyk, pracownik BEP IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej w PRL



Wydział IV Departamentu III MSW – odpowiadał wówczas za zwalczanie polskich ośrodków rewizjonistycznych i liberalnych, „ochronę” środowisk naukowych, twórczych, kulturalnych i młodzieżowych

Dokumentowi najprawdopodobniej nie nadano najwyższej klauzuli tajności, gdyż nie zawiera istotnych informacji operacyjnych

Pisarz i krytyk literacki, w latach 1961–1982 pracownik Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, od 1960 roku członek Związku Literatów Polskich, w latach 1962–1981 i 1986–1988 przewodniczący Łoży wolnomularskiej Kopernik, w marcu 1964 roku współinicjator Listu 34 przeciwko cenzurze, z tego powodu represjonowany, m.in. objęty zakazem druku

Prasa emigracyjna – polska prasa ukazująca się na Zachodzie

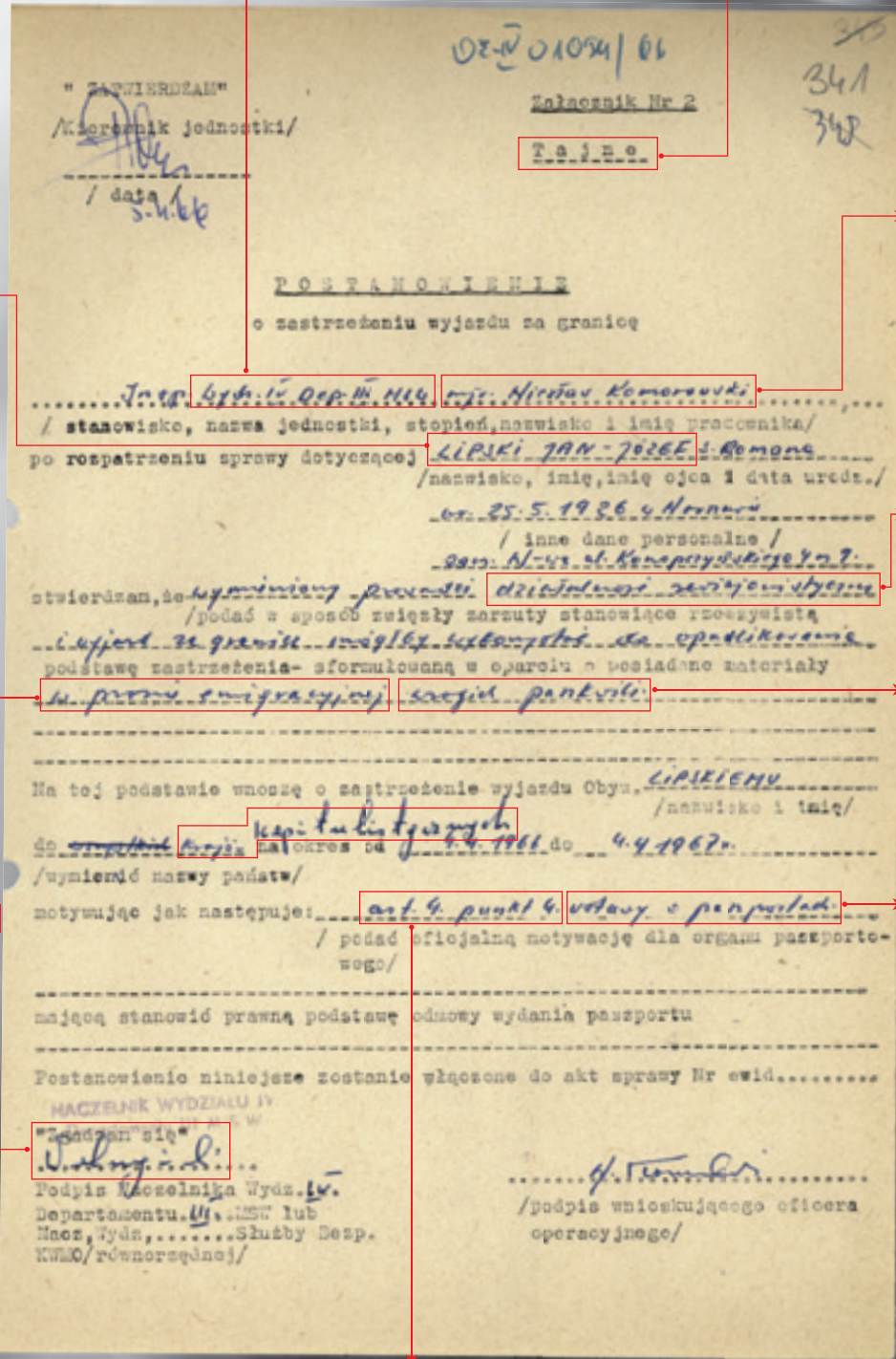
Krajów kapitalistycznych – bardziej elastyczna politykę władze PRL stosowały w przypadku państw socjalistycznych (tzw. demokracji ludowej)

Wiesław Komorowski – w latach 1950–1988 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, w latach 1965–1968 inspektor Wydziału IV Departamentu III MSW

Działalność rewizjonistyczną – termin wieloznaczny, w tym przypadku chodzi o działalność opozycyjną

„Wrogie paszkwile” – w komunistycznej nowomowie publikacje wydawane poza kontrolą cenzury

Ustawa o paszportach – została uchwalona przez Sejm PRL 17 czerwca 1959 roku



Henryk Walczyński – w latach 1949–1989 funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa, w latach 1965–1973 naczelnik Wydziału IV Departamentu III MSW

Artykuł 4 punkt 4 ustawy o paszportach brzmiał: „Ocena, czy zachodzą przeszkody, o których mowa w ustępie 2, należy do organów właściwych do wydawania paszportów”. Prawdopodobnie chodziło jednak o artykuł 4 punkt 2, podpunkt 4, który stanowił, że właściwy organ może odmówić wydania paszportu, w sytuacji gdy „przeciwko wydaniu paszportu przemawiają inne ważne względy państwowe”



# Autor wyklęty

Czarna legenda Marka Hłaski była świadomie fabrykowana w PRL i przetrwała do dziś – mówi **Andrzej Czyżewski**, biograf i cioteczny brat pisarza, w rozmowie z Filipem Gańczakiem

**Pokazywał to, co konsekwentnie pomijała propaganda komunistyczna: brzydotę, demoralizację, niespełnione marzenia. Jak to się stało, że w połowie lat pięćdziesiątych mógł zaistnieć w literaturze polskiej pisarz tak niepokorny jak Marek Hłasko?**

Też się zastanawiałem nad tym fenomenem. Marek był człowiekiem atrakcyjnym towarzysko, umiejącym zjednywać sobie ludzi – i chyba oprócz niewątpliwego talentu również te cechy jego charakteru odegrały jakąś rolę.

## A jego pochodzenie?

Pochodzenie inteligenckie przeszkadzało wtedy we wszystkim – także komuś, kto miał zamiar debiutować jako pisarz. Stąd się wzięła mistyfikacja z pochodzeniem robotniczym

► Pełna błędów notatka MSW o Marku Hłasce



NOTATKA BIUROWA  
dotycząca biografii

Warszawa, dnia 9 października 1967 r. 3  
T.A.J.H.S.  
Sgt. Br. 4.

ob. Hłasko Marek-Jakub s. Macieja-Romana,  
i Marii Kostak ur. 14. I. 1934 r. w T-wie  
narodowość i obywatelstwo polskie.  
Pochodzenie społeczne intel. prac.  
Szkoła literat. Wyższ. i Kl. Gimn. Mech.  
Przebywa w Izraelu od 1958 r.  
Przed wyjazdem za granicę zamieszkiwał  
ul. Chałubińskiego 14/18 m. 13.  
Pracował w redakcji "Po prostu".

**Wzrost:** około 182 cm, atletyczna budowa,  
włosy blond / w 1957 r., ufarbował na rude /  
tętno czyste, nos średni, uszy przylegające  
usta średnie, czoło średnie, obojczyk ubrany po  
sportowemu.

### Rodzice Marka Hłasko

- ojciec Maciej-Roman z zawodu prawnik. Chorował na gruźlicę,  
zmarł w 1930 r. podczas obłędzenia Warszawy.  
- matka Bryczkiewicz-Hłasko Maria s. Józefa i Józefy  
Krajewskiej ur. 12. XII. 1906 r. w Warszawie. Narodowość i oby-  
watelstwo polskie. Zamieszkała w Warszawie przy ulicy  
Michalskiej 17 m. 11. Pracowała w Min. Przemysłu Chemicznego  
jako prac. usydowa. Z dnia 2. VII. 1949 r. zawarła związek  
małżeński z Kasielarzem Bryczkiewiczem.

Marek Hłasko do czasu wyjazdu z Polski był żonaty z  
Izabellą Teroną s. Kłyszki i Ireny Klimaszewskiej ur. 2. IV. 1936 r.  
w Warszawie, aktorką Teatru Wybrzeże, zam. w Gdańsku  
ul. Władysława Jagiełły 10.



Fot. ze zbiorów Andrzeja Czyżewskiego

**Marek Hłasko** (1934–1969), syn prawnika i urzędniczki, jako nastolatek pracował m.in. w charakterze kierowcy, ale szybko stał się znanym pisarzem. Już debiutancki tom opowiadań *Pierwszy krok w chmurach* (1956) przyniósł mu dużą popularność i nagrodę Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. W krótkim czasie na podstawie prozy Hłaski powstały filmy: *Pętle* (1957), *Ósmy dzień tygodnia* (1958) i *Baza ludzi umarłych* (1958). W roku 1958 pisarz wyjechał do Francji, gdzie otrzymał nagrodę literacką paryskiej „Kultury”. W kolejnych latach mieszkał m.in. w Berlinie Zachodnim, Izraelu i USA. Zmarł w RFN; przyjęto, że przyczyną śmierci było przedawkowanie środków nasennych w połączeniu z alkoholem. W PRL przez wiele lat książki Hłaski nie były wydawane.

Marka. Wymyślił ją bodajże wrocławski literat Stefan Łoś. Pozornie wszystko się zgadzało – z oficjalnych dokumentów zatrudnienia wynikało, że Marek pracował wyłącznie jako kierowca, nie skończył żadnego liceum, był korespondentem robotniczym „Trybuny Ludu”, czyli w zasadzie miał same plusy. Uwierzył w to pisarz Igor Newerly. Przedstawiał potem Marka jako chłopaka z „czarnymi od smarów paluchami”, który po pracy pisze opowiadania. Z rzeczywistością miało to niewiele wspólnego, bo z chwilą gdy Hłasko na dobre zaczął pisać, już nie pracował. A z książkami stykał się w domu od najwcześniejszego dzieciństwa.

**W tamtym czasie pisarz mógł być w Polsce pupilem władzy, ale mógł też być bezwzględnie tępony.**



Przykładano wtedy bardzo dużą wagę do literatury i nie tylko – do różnych dziedzin sztuki. Władze chciały pozyskać artystów – literatów, aktorów czy malarzy – a więc ludzi, którzy są znani i wpływają na opinię publiczną. Wówczas, po wojnie, w nieporównywalnie większym stopniu niż dzisiaj wyczekiwano się na wydanie nowej książki czy nową sztukę teatralną. *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego czy *Niemcy* Leona Kruczkowskiego to były wydarzenia! Wszyscy o tym pisali i mówili. Rola literatury była znacznie większa niż obecnie.

### Hłasko szybko stał się pisarzem wyklętym.

Bo w swoim pisaniu odbiegł od spraw obyczajowych, tzn. opisywania zwykłych ludzkich historii, a tknął największą wówczas świętość, czyli partię. W jego *Cmentarzach* znajdziemy na przykład niezmiernie zjadliwy opis zebrania partyjnego. Takich rzeczy już nie wybaczano. To był ten moment, kiedy władze zaczęły o Hłaskę myśleć jako o pisarzu niebezpiecznym. Inna rzecz, że dla normalnego człowieka było niepojęte, w jaki sposób ten dwudziestoletni chłopak miałby obalić system, u którego podstaw leżało przekonanie, że jest potężny i niezwyciężony.

### Już w maju 1945 roku jedenastoletni Hłasko opisywał w pamiętniku, jak „całe pociągi odchodzą z AK na Kamczatkę i Syberię”.

Zaskoczył mnie ogromnie ten zapis w jego dzienniku. W Częstochowie – bo tam wtedy mieszkał Marek – musiało się o tym mówić. Ale nie była to wiedza zbyt powszechna. Nie zapominajmy, że w wielu domach nie było wtedy telefonów, a prasa była cenzurowana. Pozostawały więc tylko rozmowy twarzą w twarz z ludźmi, którzy gdzieś coś widzieli. Później jednak, w tych najgorszych stalinowskich latach, nawet w kręgu najbliższej rodziny nie mówiło się otwarcie o sprawach politycznych. Ludzie z dnia na dzień znikali – i nie wiadomo było, czy gdzieś wyjechali, czy może trafili do więzienia. Od 1946 roku obaj z Markiem mieszkaliśmy we Wrocławiu. Marek miał wtedy kilkanaście lat. W tym wieku ludzie na ogół nie bardzo zajmują się polityką. Nikt z rodziny Marka nie zapisał się jednak do partii. On też nie. A o tym, co myślał o władzy później, mówi jego literatura.

### W książkach, które pisał jeszcze w Polsce, jest sporo odniesień do sytuacji politycznej.

Oczywiście. Już pierwszy jego większy utwór – wydany na początku w odcinkach pod tytułem *Głupcy wierzą w poranek*, a dziś znany bardziej jako *Następny do raju* – to z pozoru piękna opowieść o kierowcach, ale jest tam jedno zdanie na samym końcu, kluczowe dla całej książki: „Zamieniliście życie w tak wielki koncentrak, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i strażników, psów i karabinów maszynowych”. I nagle z tej historii robi się ostra powieść polityczna. Tyle że wówczas jeszcze mało kto zwrócił na to uwagę.



Fot. Małgorzata Wolf

**Andrzej Czyżewski** (ur. 1930) – architekt, absolwent Politechniki Wrocławskiej; jest ciotecznym bratem pisarza Marka Hłaski; w 1987 roku odziedziczył jego archiwum; opracował i wydał jego *Pamiętnik 1945–1946* (2002) oraz biografię *Piękny dwudziestoletni* (2000, 2005 i 2012); jest również autorem książki *Profesor Kazimierz Wejchert: w stulecie urodzin* (2012); mieszka w Tychach



### W lutym 1958 roku – krótko po otrzymaniu nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek – Marek Hłasko wyjechał do Paryża. Do rodzinnego kraju nigdy już nie wrócił.

Pierwszy powód wyjazdu Marka był najzupełniej zwyczajny. Jest marzeniem niemal każdego młodego człowieka, żeby poznać świat. W tamtym czasie – kiedy nawet podróż do socjalistycznej Czechosłowacji stanowiła problem – już wyjazd na tydzień za granicę był dużym przeżyciem. Literaccy przyjaciele Marka wzdychali do Paryża, więc i on chciał zobaczyć, jak tam jest. Złożył podanie o stypendium. Pisał do Antoniego Słonimskiego, ówczesnego prezesa Związku Literatów Polskich, że nie chciałby zgłupieć zupełnie w Polsce pośród plotek. Jesienią 1957 roku dostał upragnione stypendium. Później jednak pojawiły się trudności. MSW cofnęło zgodę na wydanie Markowi paszportu. Tyle że minister kultury, świadomie lub nie, zignorował tę zmianę decyzji i paszportu nie odebrał.

### W książce *Piękny dwudziestoletni* sugeruje Pan, że nie był to przypadek.

Jestem prawie pewien, że była to intryga mająca na celu wypchnięcie Marka – wówczas już pisarza niewygodnego – z Polski. Przekonałem się o tym po otrzymaniu dokumentów z archiwów MSZ i IPN. Nie wyobrażam sobie, żeby Hłasko – już po zamieszananiu powstałym w związku z zakazem ➤



NOTATKA

dot. książki p.t. "Piękni dwudziestolenni" - Hłasko  
wydanej Instytut Literacki, Paryż 1966 r.

W książce p.t. "Piękni dwudziestolenni" - Hłasko przedstawił epizody swego życia przeplatając je wstawkami natury politycznej. W zasadzie nie to charakter pamiętnikarski. Wstawkami politycznymi oparte są o jakiegoś konkretnego fakty wiązane z osobą Hłasko i przez niego komentowane. Są one wyłączone z Komunist, uznają adyktat, bosaż należała gospodarska i ustrojowa-polityczna podlega socjalistycznym okres działalności na odcinku kulturalnym. Hłasko w książce tej stara się a.ż.ż. unowocześnić swoją teorię o anty-socjalizmie płynącym jakoby ze Związku Radzieckiego. Ilustruje to nawet przykładem, że Związek Radziecki zmuszał żydów do najniższego kierowniczych stanowisk w polskim aparacie bezpieczeństwa, po to aby w perspektywie zrobić z nich "kuzłó" ofiarnych i wykorzystad ten fakt do uproszczenia antysocjalizmu. W pewnym miejscu, omawiając pozytywny stosunek żydów w Izraelu do niego, zaznacza, że w związku z tym miał wyrosty, ponieważ, gdyż należy do tej samej religii co oprawy, którzy wymordowali najbliższych tym władnie żydów / nie mażno tych rzeczy po intencji, nie pismo, że chodzi tu - tylko o Hłasko /

I punktu widzenia interesującej nas sprawy nie wzięto w książce tej za uwagę, dlatego wybrano tylko niektóre miejsca fragmenty.

► Esbeckie omówienie  
*Pięknymi dwudziestolennymi* Marka Hłasko

wydania mu paszportu – mógł oszukać władze i tak po prostu odlecieć do Paryża. Sam zakup biletu był już z punktu widzenia ówczesnego prawa niedopuszczalny. Za przelot Marka zapłacił czekiem zaprzyjaźniony korespondent amerykańskiego „New York Timesa”. W tamtych czasach nie można było bez zezwolenia wywieźć z kraju własnych 10 dolarów. Tym bardziej było nie do pomyślenia, żeby ktoś zapłacił za bilet lotniczy człowiekowi bez żadnych powiązań rodzinnych.

### A Hłasko nie wiedział, że to intryga?

Możliwe, że zdawał sobie z tego sprawę. Tylko po prostu postawił wszystko na jedną kartę. Ktoś mógł mu tak doradzić. A jemu ogromnie zależało na wyjeździe. Jeszcze w 1957 roku Marek nawiązał kontakt z Jerzym Giedroycem, który w Maisons-Laffitte pod Paryżem prowadził Instytut Literacki i wydawał słynną „Kulturę”. Giedroyc był bardzo zainteresowany wydaniem *Cmentarzy* Hłaski – maszynopis przewiozła już wcześniej Agnieszka Osiecka. Marek wiedział, że w Maisons-Laffitte czekają na niego pieniądze. I po prostu zdecydował się jechać. A potem, dwa tygodnie po jego wylocie, wybuchła awantura, że pozwolono mu na wyjazd. Minister kultury Karol Kuryluk honorowo wziął to na siebie i wkrótce został odwołany.

### W momencie wyjazdu Hłasko zakładał więc, że po kilku miesiącach wróci?

Tak. On na pewno nie miał długofalowych planów pozostania na Zachodzie. Ale start we Francji miał niewątpliwie udany. Już w końcu marca 1958 roku nakładem Instytutu Literackiego wyszły w formie książkowej *Cmentarze* i *Następny do rajy*. Za tym poszła nagroda literacka „Kultury”...

### ...a w kraju paszkwił w „Trybunie Ludu”.

Dość wredne teksty o Marku ukazały się też w „Polityce” i „Sztandarze Młodych”. Ale na przykład Polskie Radio jeszcze w kwietniu 1958 roku przeprowadziło z nim rozmowę telefoniczną. Maria Dąbrowska napisała o Marku dość odważny tekst, tyle że czekał na publikację aż do 1984 roku. Ugrzązł też pozytywny artykuł Bogdana Suchodolskiego. W każdej redakcji w Polsce byli wtedy ludzie przyzwyczajeni i osoby przeznaczone do spełniania określonych zadań.

### Czy Hłasko zdawał sobie sprawę z tego, że publikując *Cmentarze*, być może zamyka sobie drogę powrotu?

Tak. Wcześniej błagał Giedroycia, żeby nie publikować *Cmentarzy* na jesieni 1957 roku, bo wiedział, że jeśli tak się stanie, to nigdy z Polski nie wyjedzie. Kiedy był już w Paryżu, postanowił jednak zaryzykować. Zresztą te wszystkie perturbacje z wyjazdem uświadomiły mu, że w Polsce tak czy inaczej mogą być kłopoty z dalszym pisaniem. Przypuszczam, że Giedroyc i inni ludzie z kręgu „Kultury” raczej odradzali mu powrót.

### Dlaczego jednak Marek Hłasko opuścił Maisons-Laffitte?

Giedroyc bardzo nad tym ubolewał. Twierdził, że Marek zniknął w momencie, gdy otwierała się przed nim wielka kariera. Moim zdaniem, zrobił tak pod wpływem Janka Rójewskiego, którego znał jeszcze z Polski, a który teraz odnalazł go na Zachodzie. To prawdopodobnie on ściągnął Marka do Niemiec. Wkrótce wyjechali razem do Włoch. Mieli tam załatwić prolongatę paszportu Marka. Ambasada PRL w Rzymie wystąpiła do centrali w Warszawie z pytaniem, czy może przedłużyć ważność paszportu. Nadeszła kategoryczna odpowiedź odmowna. Odesłano Marka do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. Wydaje mi się, że była to świadomie zastawiona pułapka. Do Berlina Zachodniego każdy mógł wjechać bez dokumentów, ale wyjechać bez wize i ważnego paszportu już stamtąd nie było można. A wtedy właśnie – w październiku 1958 roku – definitywnie kończyła się ważność paszportu Marka. Mógł więc albo wracać do Polski, albo poprosić o azyl. Jestem przekonany, że powrót byłby równoznaczny z aresztowaniem.

### 23 stycznia 1959 roku Mieczysław Rakowski, redaktor naczelny „Polityki”, zanotował w swoich *Dziennikach politycznych* słowa Władysława Gomułki: „Hłaskę po powrocie z zagranicy natychmiast trzeba zamknąć”.

Pamiętajmy, że rok wcześniej Hannę Skarżyńską-Rewską skazano na trzy lata więzienia za sam kolportaż wydawnictw Instytutu Literackiego. Marek zrobił rzecz z punktu widzenia władz PRL dużo gorszą – wydał w Instytucie antysocjali-



styczną książkę. Moim zdaniem, jest więc pewne, że gdyby do Polski wrócił, zostałby aresztowany.

**Zdecydował się zatem na azyl. Z Niemiec wyjechał w styczniu 1959 roku do Izraela.**

Prawdopodobnie znów za namową Rojewskiego. To u niego zatrzymał się bezpośrednio po przyjeździe. Rojewski szybko się później ulotnił, pozostawiając Marka w Tel Awiwie pod opieką Władysława Tubielewicza.

**Tubielewicz był w tym czasie zarejestrowany jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Henryk”. W donosach „Henryka” pojawia się m.in. Marek Hłasko.**

W najnowszym wydaniu *Pięknego dwudziestoletniego* napisałem o tym otwarciu, bo zachowało się zobowiązanie do współpracy i odręcznie pisane donosy. „Henryk” skarżył się w nich zresztą, że Hłasko jest chorobliwie nieufny. Muszę przyznać, że ta sprawa nie była dla mnie zaskoczeniem. Tubielewicz wydał mi się podejrzany już wcześniej, kiedy usiłowałem się z nim skontaktować. Wykręcał się. Jakiś czas temu usłyszałem, że już nie żyje.

**W Izraelu Hłasko czuł się chyba lepiej niż w Niemczech.**

Wszyscy ci z nas, którzy przetrwali wojnę pod okupacją niemiecką, mieli awersję do Niemiec. Marek jako dziecko przeżył przecież Powstanie Warszawskie. Potem, latem 1958 roku, zetknął się w Niemczech z kulturalnymi ludźmi i napisał do Giedroycia entuzjastyczny, pełen zachwytu list na temat zachodnich Niemiec. Po czym po dłuższym pobycie w Berlinie Zachodnim i RFN znów pisał o Niemcach zgryźliwe rzeczy – np. w *Pięknym dwudziestoletnim* – doceniając jednocześnie pewne dobre strony życia w tym kraju.

**Na ile mógł funkcjonować jako pisarz polskojęzyczny, mieszkając na Zachodzie?**

Całkiem dobrze. W PRL prasa chętnie powtarzała za niemieckim tygodnikiem „Der Spiegel”, że od czasu małżeństwa z aktorką Sonją Ziemann (1961)

nic nie napisał. Ale przecież – z wyjątkiem przerwy na wyjazd do Izraela – co roku wydawał jakąś książkę. Więcej, w najtrudniejszych dla siebie latach – w czasie depresji zdrowotnych, rozvodu, a potem wegetowania w Hollywood – napisał najpiękniejsze i najwartościowsze książki: *Pięknym dwudziestoletnim* i *Sowę, córkę piekarza*. A przedtem, w pierwszych latach małżeństwa, wydał m.in. obszerną powieść *Brudne czyny*. Jego książki były też tłumaczone na inne języki.

**Skąd więc wzięła się czarna legenda Marka Hłaski?**

Odnajduję w niej język milicyjnych donosów. Wystarczy zajrzeć do materiałów z archiwum IPN. Hłasko jest tam przedstawiany jako alkoholik, człowiek kompletnie zdemoralizowany, do niczego niezdolny. Tak pisali o nim funkcjonariusze służb PRL, donosiciele i dziennikarze realizujący polityczne zamówienia. Do tego doszły wypowiedzi osób, u których daje się wyczuć ton zawiści zawodowej. Część tych ludzi dopiero niedawno przeszła na emeryturę. Jeszcze w ostatnich latach pisali oni książki i artykuły albo udzielali wywiadów, powielając wcześniejsze kłamstwa. Tę fałszywą wersję wydarzeń powtarzają dziś czasem młodszy dziennikarze.

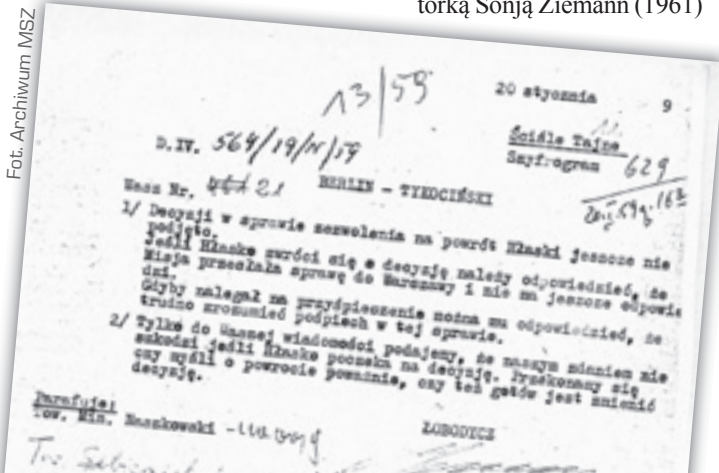
**Raporty na temat Hłaski trafiały na biurka najważniejszych osób w PRL, takich jak premier Józef Cyrankiewicz. Inwigilowana była również Maria Gryczkiewicz – matka pisarza, a Pana ciotka.**

Nie wiem, w którym momencie zdała sobie z tego sprawę. W roku 1966 zmarł jej drugi mąż. Została sama w mieszkaniu i rozpaczliwie szukała dodatkowego źródła dochodu. Ktoś jej zaproponował, żeby odnajęła pokój. Pierwszą lokatorką była redaktorka z telewizji, która – jak wynika z książki *Pa-jęczyna* Barbary Stanisławczyk i Dariusza Wilczaka – współpracowała ze Służbą Bezpieczeństwa. A potem pojawił się pan Henio, etatowy pracownik SB. Towarzyszył ciotce już do końca jej życia. Sprawiał wrażenie takiego warszawskiego cwaniaczka, który wszystko załatwi: skoczy po papierosy, kupi mięso poza kolejką, jak trzeba – sprzeda jakiś mebel. Grał rolę przyjaciela domu. Ta znajomość nie uchroniła ciotki przed całodzienną rewizją, która miała miejsce w jej

► Pismo MSZ do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, 1959 rok

► Marek Hłasko, Warszawa, 1953 rok

Fot. ze zbiorów Andrzeja Czyżewskiego



Fot. Archiwum MSZ



## Tajemniczy zgon Marka Hłaski

BONN, 16.6.

W sobotę w Wiesbaden (NRF) w niewłaściwych w pełni okolicznościach zmarł Marek Hłasko. Istnieje podejrzenie, iż popełnił samobójstwo. Zwłoki Hłaski znaleziono w mieszkaniu jego znajomego. Policja nie podaje żadnych bliższych szczegółów dotyczących przyczyn zgonu, wyklucza jednak możliwość odpowiedzialności za jego śmierć innych osób.

Jak wiadomo, Marek Hłasko, autor wielu opowiadań skatujących Polskę Ludową, zdradził w 1958 r. ojczyznę i zbiegł do Berlina zachodniego. Przez pewien czas przebywał w Izraelu, a potem w W. Brytanii i NRF.

► Śmierć Marka Hłaski w 1969 roku stała się dla prasy w PRL okazją do jeszcze jednej napaści na pisarza

domu w kwietniu 1968 roku. Dopiero akta SB wyjaśniły przyczynę tego najścia.

**Teza śledczych brzmiała jednak absurdalnie: Marek Hłasko został posądzony o udział w porwaniu i zamordowaniu Bohdana Piaseckiego – syna znanego wówczas działacza politycznego, szefa PAX.**

Piętnastoletni Piasecki został uprowadzony jeszcze w 1957 roku. Jednak po latach, wskutek starań jego ojca Bolesława, wznowiono śledztwo. Marek Hłasko – cóż za absurd!

– znalazł się w kręgu podejrzanych. Jedną z zarządzonych czynności operacyjnych była rewizja u pani Gryczkiewicz. Poszukiwano maszyny do pisania, broni i kozucha. Skonfiskowano korespondencję z Markiem, rękopisy i książki wydane za granicą. Planowano również przeszukać mieszkanie przy ul. Częstochowskiej w Warszawie, w którym Marek mieszkał bezpośrednio przed wyjazdem z Polski. Przy okazji śledztwa zostali też przesłuchani jako świadkowie matka i znajomi Hłaski. Teraz to wszystko wydaje się groteskowe, ale w gruncie rzeczy śmieszne nie było.

**W czerwcu 1969 roku Marek Hłasko zmarł nagle w Wiesbaden. „Express Wieczorny” pisał o śmierci „zdrajcy ojczyzny”, który jakoby szkalował „Polskę Ludową”.**

Była to kolejna kropla goryczy. Zupełnie inaczej zareagowała telewizja w RFN – w dniu pogrzebu Marka zmieniono program i pokazano *Pętlę*, która powstała na podstawie opowiadania Hłaski. W Polsce były jeszcze dosyć złośliwe teksty Jana Zbigniewa Słowjowskiego – a potem długa cisza. Chyba w latach siedemdziesiątych Michał Komar napisał o Marku, bardzo jednak oględnie. Wyjaśnił potem, że miał do wyboru: albo nic nie pisać, albo napisać w ten właśnie sposób. Uznał, że warto przypomnieć o Hłasce.

**Na ile proza Marka Hłaski była dostępna w PRL po jego śmierci?**

W latach siedemdziesiątych ukazywały się pojedyncze opowiadania w antologiach noweli polskiej. Około roku 1980 ruszyła lawina podziemnych wydawnictw. Zimą 1981 roku

Teatr Kameralny w Krakowie – przy współpracy Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” – przygotował bardzo zabawną inscenizację *Cmentarzy*. Wystąpili świetni aktorzy: Jerzy Stuhr, Jerzy Trela, Jerzy Radziwiłowicz. Potem był stan wojenny. Ale powoli coś się zmieniało na lepsze. W 1983 roku Bogdan Rudnicki wydał literacką biografię Marka Hłaski, w której zręcznie przemycił utwory w Polsce niedrukowane, obszernie je streszczając. Czytelnik wydał w 1985 roku czterotomowe *Utwory wybrane* – tandetnie sklejone, ale w kolosalnych nakładach. Były jednak pozbawione i *Sowy, córki piekarza*, i *Pięknych dwudziestolietnich*. Ten drugi utwór padł ofiarą cenzury – cięć było więcej, niż pozostałoby tekstu. Jeszcze przed 1989 rokiem zgłosiło się do mnie wydawnictwo Alfa i wreszcie ukazała się książka *Piękni dwudziestolietni*. Cenzura wycięła tym razem tylko dwa zdania.

**Kilka miesięcy temu na blogu internetowym Marka Mądrzaka pojawiła się informacja, że w 1952 roku osiemnastoletni Marek Hłasko został zwerbowany do współpracy z „organami MO” i otrzymał pseudonim „Wanda”.**

O tym, że taka teczka istnieje, usłyszałem już w roku 2000. Sam Hłasko opisał zresztą tę sprawę w *Pięknych dwudziestolietnich*. Informacja o publikacji internetowej dotarła do mnie na kilka dni przed tym, gdy do druku miało iść najnowsze wydanie mojej książki. W ostatniej chwili dopisałem stronę komentarza, aby pokazać, że nie chowam głowy w piasek. Marek miał szesnaście lat, gdy zaczął pracować jako kierowca. To był jeszcze smarkacz. Już w następnym roku zadarł jednak z wymiarem sprawiedliwości. Był sądzony z tytułu naruszenia socjalistycznej dyscypliny pracy. Później przechwalał się, że jest w rejestrze skazanych, może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, jakie to mogło mieć konsekwencje. Przypuszczam, że równie niepoważnie mógł wówczas traktować milicyjne próby wciągnięcia go do współpracy. Chodziło o wykrywanie przestępstw o charakterze gospodarczym. Nie miało to nic wspólnego z działalnością polityczną. Z publikacji internetowej wynika, że nie przykładał się do współpracy. Kontakty zostały więc zerwane, a pretekstem był wyjazd Marka z Warszawy do Wrocławia. Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł poznać szczegóły tej sprawy i w pełni ją wyjaśnić.

**W najnowszym wydaniu *Pięknego dwudziestolietniego* daje Pan do zrozumienia, że to wydanie ostatnie.**

Ze względu na mój wiek. Ja zresztą w ogóle nie miałem zamiaru pisać biografii Marka. Dla mnie, architekta, napisanie czegoś więcej niż kilka stron opisu technicznego było kiedyś bardzo męczące. Nie jestem literatem. Jestem tylko świadkiem historii i kronikarzem rodzinnym. Postanowiłem jednak dać odpór nieprawdziwym legendom, jakie krążyły na temat Marka. Niestety, od czasu do czasu te legendy są wciąż rozpowszechniane. 🍷





► General August Emil Fieldorf

Fot. IAC

# Uznany za (nie)winnego

Przemysław Wywiat

**„Przez swą działalność, na jego zlecenie i za jego zgodą dokonywane były zabójstwa jeńców wojennych, osób wojskowych i ludności cywilnej” – tak o gen. Auguście Emilu Fieldorfie „Nilu”, legendarnym dowódcy Kedywu Armii Krajowej, a pod koniec wojny niepodległościowej organizacji „NIE”, pisał komunistyczny wymiar sprawiedliwości. Od mordu sądowego na Fieldorfie mija sześćdziesiąt lat. Ale chociaż w 1989 roku prokuratura przyznała, że gen. „Nil” był niewinny, to jego oprawcy nigdy nie stanęli przed sądem.**

Ośmiu godzin potrzebował Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy, by na tajnej rozprawie rozpatrzyć sprawę gen. „Nila”. 16 kwietnia 1952 roku Maria Górowska (znana także jako Gurowska), przewodnicząca składu sędziowskiego, ogłosiła wyrok: „Fieldorfa Augusta-Emila uznać winnym czynów zarzucanych mu aktem oskarżenia i za to na zasadzie art. 1 pkt. 1 Dekretu z 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy skazać go na karę śmierci. Na zasadzie art. 1 cytowanego dekretu orzec utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek całego mienia”. W uzasadnieniu wyroku czytamy: „oskarżony wydawał rozkazy, instrukcje i wytyczne podległym sobie, jako szefowi Kedywu Komendy Głównej AK, jednostkom mordowania partyzantów radzieckich, lewicowych podziemnych ugrupowań niepodległościowych i poszczególnych działaczy PPR, Gwardii i Armii Ludowej. Działalność ta dokonywana była w interesie rodzimej reakcji i hitlerowskiego państwa niemieckiego, osłabiała bowiem w znacznym stopniu siłę prawdziwie rewolucyjnych organizacji walczących z wrogiem. Przez swą działalność, na jego zlecenie i za jego zgodą dokonywane były zabójstwa jeńców wojennych, osób wojskowych i ludności cywilnej”.

Rozprawa rewizyjna przed sekcją tajną Sądu Najwyższego odbyła się 20 października 1952 roku. Sędziowie uchylili poprzedni wyrok, nie przyjmując, że gen. Fieldorf wydawał rozkazy likwidacji działaczy komunistycznych i partyzantów sowieckich. Sąd Najwyższy stwierdził jednak przy tym, że oskarżony brał udział w organizowaniu ich zabójstw i podtrzymał ostatecznie najwyższy wymiar kary.

Po odrzuceniu wniosków rodziny o ułaskawienie (sam generał kategorycznie odmówił podpisania takiej prośby), wyrok został wykonany 24 lutego 1953 roku w więzieniu na warszawskim Mokotowie. Urzędowego powiadomienia o śmierci męża Janina Fieldorf nie otrzymała. Do dziś nie wiadomo również, gdzie zostało pochowane ciało. Obecnie Instytut Pamięci Narodowej prowadzi badania na tzw. Łączce na warszawskich Powązkach Wojskowych, gdzie w bezimiennych grobach pochowano setki ofiar komunistycznego terroru z lat 1948–1956 – możliwe, że wśród nich zostaną zidentyfikowane szczątki gen. Fieldorfa.

## Dowodów winy brak

Do sprawy gen. „Nila” można było wrócić dopiero na fali popaździernikowej „odwilży”. Już na początku 1957 roku rozpoczęła prace – powołana przez

minister sprawiedliwości Zofię Wasilkowską – komisja do zbadania działalności tzw. sekcji tajnej Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy, odpowiedzialnej m.in. za skazanie na karę śmierci gen. Fieldorfa. Odnosząc się do sprawy generała, komisja stwierdziła: „Błędem było niewyczerpanie całego dostępnego materiału dowodowego, a to tym bardziej, że zaznania świadków na tę okoliczność przesłuchanych na rozprawie były z sobą sprzeczne”. Przed komisją zeznawał mecenas Mieczysław Maślanka, reprezentujący gen. Fieldorfa przed Sądem Najwyższym. Adwokat stwierdził: „wyrok zapadł wśród okoliczności, które nie wyczerpały dowodów”.

Niedługo później, 28 lutego 1957 roku, przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy odbyła się rozprawa płk. Władysława Liniarskiego, jednego ze świadków oskarżenia w procesie dowódcy Kedywu (ten był komendant Okręgu Białostok AK został w śledztwie tak maltretowany, że na salę sądową wniesiono go na noszach i w sprawie gen. „Nila” zeznawał na siedząco). Zeznania na jego rozprawie złożone przez niego oraz innych świadków (mjr. Tadeusza Grzmielewskiego, kpt. Józefa Rybickiego oraz kpt. Kazimierza Moczarskiego) dowodziły niewinności zamordowanego generała.



8 kwietnia 1957 roku Prokuratura Generalna wystąpiła do Izby Karnej Sądu Najwyższego z wnioskiem o „wznowienie postępowania na korzyść Emila Augusta Fieldorfa – pomimo jego śmierci”. W uzasadnieniu wniosku – podpisanego przez prokuratora wojewódzkiego Marię Tuszyńską – stwierdzano m.in., że oskarżenie sformułowano głównie na podstawie zeznań dwóch świadków: Władysława Liniarskiego oraz Tadeusza Grzmielewskiego, zastępcy szefa sztabu KG AK. Tymczasem Grzmielewski złożył właśnie oświadczenie, według którego „obciążające Fieldorfa zeznania zostały na nim wymuszone drogą stosowania niedozwolonych me-

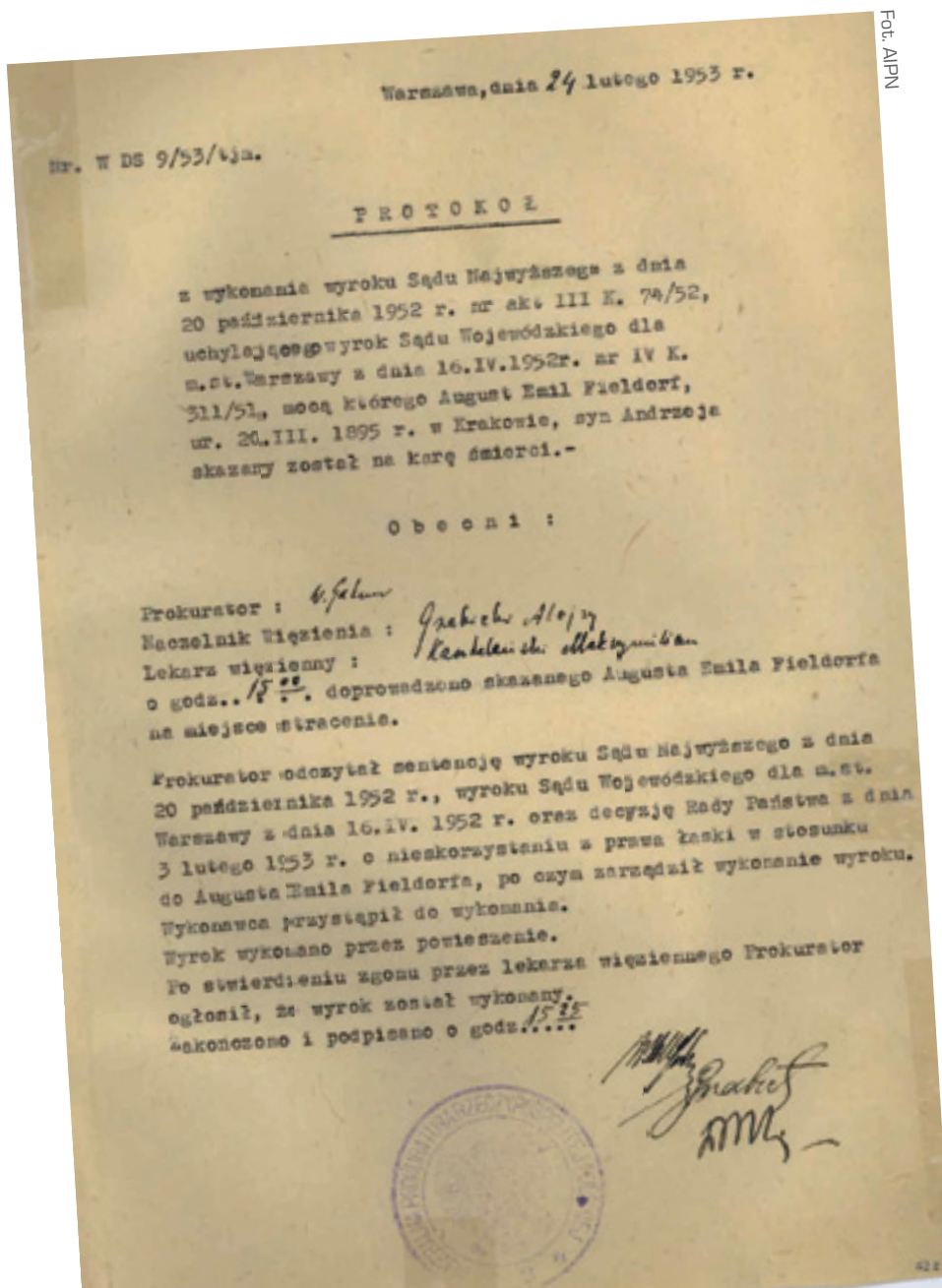
tod przez prowadzących śledztwo oficerów śledczych byłego M[inisterstwa] B[ezpieczeństwa] P[ublicznego]”.

Niecały miesiąc później, 4 maja 1957 roku, Izba Karnej Sądu Najwyższego na posiedzeniu niejawnym postanowiła wznowić postępowanie sądowe w sprawie gen. Fieldorfa oraz uchylić poprzednie postanowienia sądów i przekazać sprawę Sądowi Wojewódzkiemu dla m.st. Warszawy do ponownego rozpatrzenia.

17 czerwca 1957 roku Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy postanowił zwrócić akta sprawy prokuraturze w celu „uzupełnienia śledztwa przez ustalenie, jakie rozkazy, instrukcje

i wytyczne wydane przez Fieldorfa osobiście bądź przy jego współdziałaniu nakazywały podległym oddziałom Kedywu rozpracowywać i likwidować oddziały partyzantki radzieckiej i oddziały polskich lewicowych organizacji podziemnych, jak PPR, GL i AL”.

W dniach 16 i 20 sierpnia 1957 roku przed wiceprokuratorem Prokuratury Generalnej Stanisławem Krygiel zeznał Władysław Liniarski, który odwołał swoje – wymuszone torturami – zeznania obciążające dowódcę Kedywu. Powiedział m.in.: „Zadaniem oddziałów Kedywu była walka przeciwko okupantowi, tj. przeciwko Niemcom w formie sabotażu, dywersji i walki wręcz. Zadania te terenowe oddziały Kedywu podległego mi Okręgu wykonywały do czasu wyzwolenia przez Armię Czerwoną terenu, na którym się znajdowały. Odwołuję swoje zeznania ze śledztwa przeciwko Fieldorfowi, jakoby od połowy 1943 roku w myśl rozkazów »góry« AK kierunek walki uległ zmianie, a mianowicie terenowe oddziały Kedywu rozpoczęły zwalczanie konspiracyjnych ugrupowań lewicowych, jak PPR i AL oraz oddziałów partyzantki radzieckiej”. Liniarski zeznał także, że w czasie śledztwa był ciężko chory, a w protokołach przesłuchań nie brano pod uwagę jego prawdziwych wyjaśnień. Podkreślił, że nie potwierdził przed sądem zeznań obciążających Fieldorfa, choć zaprotokołowano inaczej. Zakończony czynności uzupełniające materiał dowodowy, Krygiel przygotował postanowienie o umorzeniu śledztwa ze względów merytorycznych, czyli wobec braku dowodów winy podejrzanego. Obawiał się jednak, że w razie umorzenia śledztwa na mocy amnestii adwokat „zażąda przeprowadzenia rozprawy sądowej i wtedy może zapaść wyrok uniewinniający, co uważać należy za niewskazane z uwagi na to, że wymierzona w swoim czasie kara śmierci została na Fieldorfie wykonana”. I tak 4 lipca 1958 roku wiceprokurator Krygiel wydał po-



► Protokół z egzekucji gen. Augusta Emila Fieldorfa



stanowienie o umorzeniu śledztwa z powodu braku dowodów winy gen. Fieldorfa. Okazało się, że tylko na tyle stać było „ludową sprawiedliwość”...

### Jałmużna dla rodziny

5 lipca 1960 roku Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy przyznał Janinie Fieldorf 50 400 zł tytułem odszkodowania od Skarbu Państwa za niesłuszne skazanie jej męża. Skrupulatnie wyliczono koszty obrony, przejazdów z Łodzi do Warszawy i z powrotem (sąd stwierdził przy tym ich nadmierną częstotliwość i obniżył wyliczoną kwotę!), sumy przekazane na tzw. wypiskę, czyli dokonanie zakupów w więziennej kantynie przez generała, oraz jako zadośćuczynienie za krzywdę moralną – 40 tys. zł. Sędziowie cynicznie uznali bezzasadność przyznania odszkodowania z tytułu utraconych środków utrzymania, tłumacząc, że „jak wynika z wyjaśnień wnioskodawczyni, nie tylko że mąż jej August-Emil Fieldorf w niczym nie przyczynił się do utrzymania rodziny, ale sama wnioskodawczyni miała go na swoim utrzymaniu w okresie poprzedzającym aresztowanie”.

W notatkach pod datą 17 listopada 1960 roku Janina Fieldorf zapisała: „Ustaliliśmy z przyjaciółmi, że trzeba zorganizować uroczyste nabożeństwo, żeby przerwać to zakłętę milczenie wokół jego osoby. Bo rehabilitacja została podpisana nareszcie, prawda, przecież o tym nie pisałam... Tak, została podpisana, ale nie pozwolili tego ogłosić, ani też nie dostałam niczego na rękę. Potem też wniósł adwokat o odszkodowanie. Odbyły się dwie rozprawy, jedna w lutym 1960 roku, druga w kwietniu 1960 roku. Kazali mi przedstawić zaświadczenie lekarskie o stanie zdrowia po pierwszej rozprawie. Na drugiej rozprawie, która była dla mnie ciężkim przeżyciem, bo pytania zadawane przez sędziego doprowadzały mnie do rozpacz i wściekłości na ten stosunek do okropnej, niepowetowanej krzywdy, jaką wyrządzono nam, do zbrodni, do morderstwa, jakie popełniono na nim. W końcu przyznano 50 tys. zł. Adwokat żądał 260 tys. zł. Na-

wet miliardy są dla mnie niczym, ale cóż, musiałam się zgodzić, bo długi mnie tak męczyły, że chwili spokoju nie miałam. A i Marysi [Maria Fieldorf-Czarska, córka generała] coś się należało za jej trud i starania. No, więc odebrała te 50 tys. zł i wtedy postanowiłam zorganizować to uroczyste nabożeństwo, a potem ufundować symboliczny pomnik na cmentarzu Powązkowskim”.

Na zbudowanym za pieniądze z odszkodowania symbolicznym nagrobku na Powązkach znalazł się jedynie krótki napis: Emil Fieldorf „Nil” – tylko na tyle pozwoliły władze...

### Schorowani stalinowscy śledczy

Dopiero w 1989 roku, u schyłku PRL, sprawa gen. „Nila” mogła ponownie zainteresować wymiar sprawiedliwości. 5 marca 1989 roku w „Tygodniku Powszechnym” pojawił się artykuł autorstwa Marii Fieldorf, bratanicy zamordowanego generała, i jej męża Leszka Zachuty „Więzienie i proces generała »Nila«”. Po raz pierwszy do publicznej wiadomości podano w nim treść dokumentów z akt sądowych gen. Fieldorfa (fragmenty protokołów przesłuchań, aktu oskarżenia, uzasadnienia wyroków, nazwiska oficerów śledczych, prokuratorów, ławników

i sędziów odpowiedzialnych moralnie za popełnioną zbrodnię). Dwa dni po tej publikacji prokurator generalny PRL Józef Żyta zmienił postanowienie z 4 lipca 1958 roku, stwierdzając: „Aby dać dowód niewinności tego żołnierza i jednego z wyższych dowódców Armii Krajowej, należało zmienić podstawę umorzenia prowadzonego przeciwko Augustowi Emilowi Fieldorfovi postępowania karnego przez przyjęcie, że nie popełnił on zarzucanej mu zbrodni”.

Niestety, winni jego aresztowania, wymuszania obciążających zeznań i fałszowania dowodów w śledztwie, a w końcu skazania go na śmierć, nigdy nie ponieśli kary.

5 maja 1992 roku prokurator Mieczysław Sośnicki, delegowany z Ministerstwa Sprawiedliwości do Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej, wszczął śledztwo w sprawie zbrodni dokonanej na gen. Fieldorfie przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa, prokuratorów i sędziów komunistycznych. 25 sierpnia 1995 roku zarzut zabójstwa generała postawiono sędzi Marii Górowskiej. Ta nie przyznała się do zarzucanych jej czynów. Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy zwrócił akta sprawy prokuraturze w celu uzupełnienia braków (chodziło m.in. o nieprawidłowe ustosunkowanie ▶

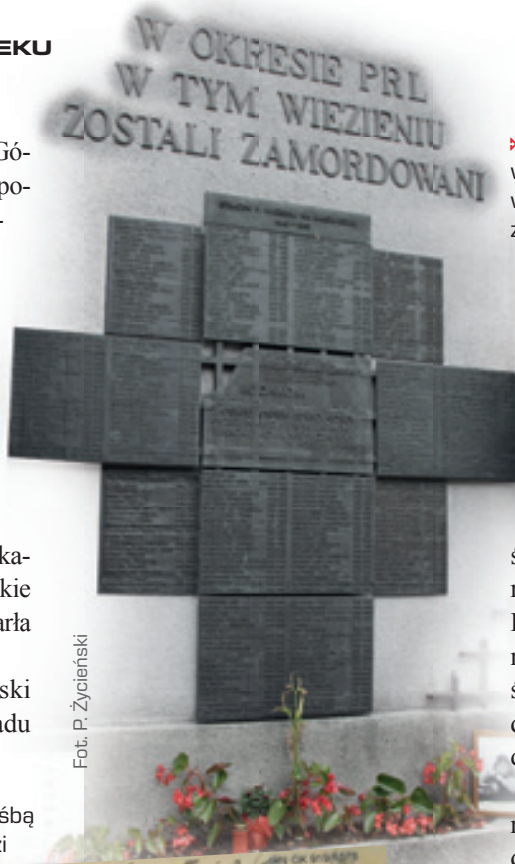


Fot. AIPN

▶ Fotografie z akt więziennych gen. Fieldorfa

się prokuratora do wniosku obrońcy Górskiej o umorzenie śledztwa oraz pominięcie konieczności zbadania podejrzanej przez biegłych psychiatrów i psychologa). 29 października 1996 roku do Sądu Okręgowego w Warszawie wpłynął akt oskarżenia przeciwko Marii Górskiej. Do precedensowego procesu o zabójstwo sądowe z lat stalinowskiego terronu nie doszło – w wyznaczonym terminie rozprawy, 22 grudnia 1997 roku, oskarżona za pośrednictwem adwokata przedstawiła zaświadczenie lekarskie o złym stanie zdrowia. Górńska zmarła 4 stycznia 1998 roku.

Sędziowie Bolesław Malinowski i Michał Szymański (ławnicy składu



Fot. P. Życieński

► Tablica pamiątkowa na murze dawnego więzienia MBP przy ul. Rakowieckiej w Warszawie z nazwiskami zamordowanych tu więźniów

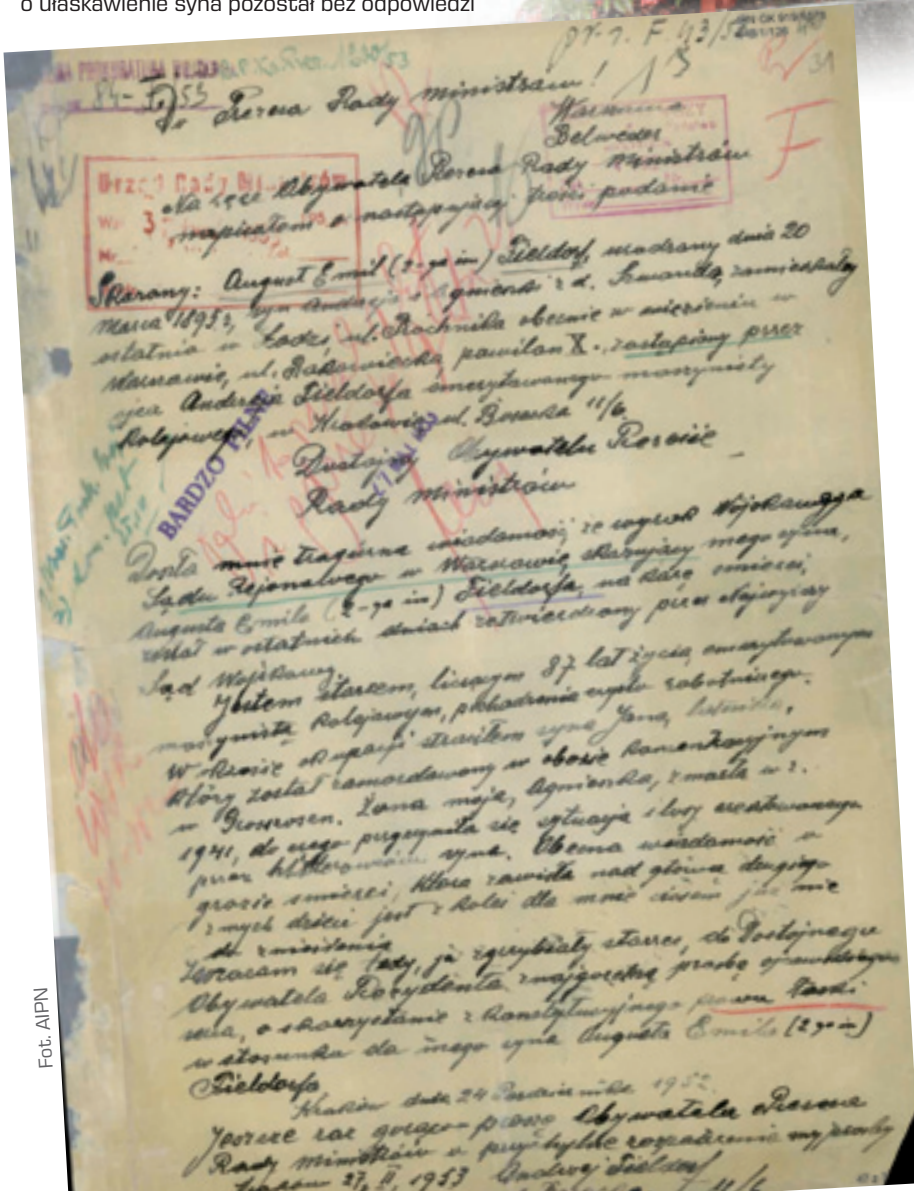
sędziowskiego, który pod przewodnictwem Górskiej skazał gen. „Nilą” na karę śmierci 16 kwietnia 1952 roku) oraz Emil Merz, Igor Andrejew i Gustaw Auscaler (członkowie sekcji tajnej Sądu Najwyższego, którzy również skazali Fieldorfa na śmierć), oskarżający generała prokuratorzy Beniamin Wajsblech i Paulina Kern zmarli, zanim mogli usłyszeć zarzuty. Umorzono postępowanie wobec śledczego Kazimierza Górskiego, podejznanego m.in. o bicie świadka Władysława Liniarskiego.

W 1999 roku prokuratura postawiła zarzut bezprawnego aresztowania gen. Fieldorfa stalinowskiej prokurator Helenie Wolińskiej-Brus, mieszkającej od lat siedemdziesiątych w Wielkiej Brytanii (wyjechała z Polski wraz mężem Włodzimierzem Brussem w wyniku czystek antysemitycznych w 1968 roku). Wolińska stwierdziła, że ściganie jej to przejaw polskiego antysemityzmu i szukanie zemsty... W 2006 roku Brytyjczycy odmówili ekstradycji Wolińskiej, powołując się na względy humanitarne, czyli jej wiek i stan zdrowia, a także fakt, że czyny jej zarzucane popełniła ponad 50 lat wcześniej. Rok później prokurator IPN wystąpił z wnioskiem o wydanie europejskiego nakazu aresztowania Wolińskiej, a Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie taki nakaz wydał. Wolińska zmarła w 2008 roku.

Generał „Nil” był jednym z tysięcy zamordowanych przez komunistów bohaterów Polskiego Państwa Podziemnego. Aresztowany, fałszywie oskarżony, skazany na karę śmierci, zamordowany i pochowany w nieznanym miejscu. Niestety, odpowiedzialnych za ten mord nigdy nie ukarano – podobnie jak w przypadku wielu innych zbrodni dokonanych na żołnierzach Armii Krajowej w okresie komunizmu. ■

dr Przemysław Wywiat – historyk, pracownik Muzeum Armii Krajowej w Krakowie i Akademii Obrony Narodowej; zajmuje się historią wojskowości

► List Andrzeja Fieldorfa do władz PRL z prośbą o ułaskawienie syna pozostał bez odpowiedzi



Fot. AIPN



# Bomby w Zagórze.

## Część II: Zamach na Gomułkę

Adam Dziuba

**Śledztwo katowickiej Służby Bezpieczeństwa w sprawie nieudanego zamachu na Nikitę Chruszczowa przez dwa lata nie przynosiło żadnych rezultatów. W lipcu 1959 roku przy drodze, którą godzinę później miał przejechać goszczący w Polsce przywódca ZSRR, eksplodowała bomba. Niewykluczone, że sprawcy nigdy by nie wykryto, gdyby nie kolejna próba zamachu, do której doszło 3 grudnia 1961 roku. Tym razem celem był Władysław Gomułka, I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.**

**O**d listopada 1961 roku Zagórze gorączkowo przygotowywało się do rozruchu kopalni „Porąbka”. Termin oficjalnego rozpoczęcia wydobywania wyznaczono na 3 grudnia – w przeddzień górniczej Barbórki. Uroczystości uruchomienia zakładu miała uświetnić wizyta Gomułki. O przyjeździe I sekretarza KC PZPR do Zagórze z wyprzedzeniem informowała miejscowa prasa, zagórzanie zaś już od początku jesieni mogli obserwować przygotowania czynione przez lokalne władze: naprawę oświetlenia ulicznego, malowanie płotów i posesji, przyspieszone prace wykończeniowe w kopalni. Domyślano się, którzy przyjadą goście, ponieważ od dłuższego czasu remontowano nawierzchnię ulicy Krakowskiej, a 2 grudnia drogę udekorowano. Harmonogram wizyty umieszczono na zaproszeniach wystawionych przez kierownictwo kopalni. Plan przewidywał, że Gomułka pojawi się w zakładzie o 10.00, zwiedzi wybudowane obiekty, a po południu,



Fot. AAN

podczas „części oficjalnej”, udekoruje odznaczeniami zasłużonych budowniczych i górników. Zakończenie uroczystości zaplanowano na 14.00.

3 grudnia, kilka minut po południu, od strony kopalni wyjechała grupa samochodów, wśród których uwagę zwracały wóz transmisyjny Polskiego Radia i poruszające się za nim trzy limuzyny. Gdy kawkada zrównała się z posesją nr 47

przy ulicy Krakowskiej, wybuchła mina ukryta we wkopanym w ziemię przydrożnym słupku. Posypały się odłamki, ale obeszło się bez ofiar śmiertelnych. Było jednak dwoje rannych: trzynastoletnia Lidia Krętuś, która przyglądała się z okna budynku przejazdowi samochodów, oraz przechodzący ulicą górnik Jan Bryl. Uszkodzony został też jeden z pojazdów. Reprezentacyjne →

▶ Widok na Zagórze z zaznaczeniem miejsca wybuchu bomby

▶ Uczestnictwo w uroczystych otwarciach, inauguracjach czy obchodach pozwalało przedstawicielom władzy pokazać się „wśród ludu” w roli dobrego gospodarza; na zdjęciu delegacja rządowa z Władysławem Gomułką (czwarty od lewej) podczas obchodów rocznicy bitwy grunwaldzkiej, lipiec 1960 roku



► Funkcjonariusze prowadzący śledztwo po zamachu z 3 grudnia 1961 roku sporządzili w Zagórzcu dokumentację fotograficzną, chcąc wykluczyć te posesje, z których nie było widoku na miejsce wybuchu; tym sposobem wytypowali dom sprawcy (fot. po prawej)

acz stanowiące własność prywatną – auto marki Standard straciło szyby i zostało mocno pokiereszowane odłamkami, lecz kierowcy nic się nie stało. W samochodowej kolumnie nie było Gomułki ani jego świty, ponieważ I sekretarz PZPR nadal przebywał w tym czasie w kopalni i dekorował jej budowniczych.

### Kolejna porażka wykluczona

O eksplozji powiadomiono niezwłocznie płk. Franciszka Szlachcica, komendanta wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, który natychmiast przyjechał do Zagórzca. Stał przed wyjątkowo trudnym zadaniem: zamachowiec musiał zostać koniecznie schwytyany, i to szybko. Ponowna nieudolność katowickiej SB i milicji nie wchodziła w rachubę, bo kosztowałaby komendanta co najmniej posadę, bez względu na jego dobre kontakty z wiceministrem spraw wewnętrznych Mieczysławem Moczarem, i mogłyby być odczytywana jako faktyczna niechęć do wykrycia sprawców detonacji. To zaś, przy panującej w przywódczych kręgach PZPR podejrzliwości, mogłoby zrodzić domysły o zawiązaniu spisku z udziałem funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – tym bardziej że w obu przypadkach celem bomb był samochód, którym podróżował Gomułka.

W tej sytuacji Szlachcic przede wszystkim polecił zapewnić I sekretarzowi KC

bezpieczny wyjazd z Zagórzca. Podobnie jak w 1959 roku, wprowadzono ścisłą – i skuteczną, jak się okazało – blokadę informacyjną. Komendant wydał rozkaz o powołaniu grupy operacyjnej, mającej rozwikłać sprawę wybuchu (nadano jej kryptonim „Antena”). Jej członkowie jeszcze 3 grudnia wyruszyli na miejsce zamachu. Ekipy funkcjonariuszy rozpoczęły pracę od skontaktowania się z rozbudowaną siatką informatorów, działającą w okolicach Zagórzca od 1959 roku, oraz zbierania raportów i doniesień. Grupa śledcza zajęła się wstępnymi przesłuchaniami świadków eksplozji oraz zabezpieczeniem miejsca wybuchu i poszukiwaniem pozostałości miny. Rejon zamachu przeszukały też patrole Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. Udało się odnaleźć znacznie więcej elementów niż w 1959 roku: kilkadziesiąt odłamków, kawałki ceramiki, przewody prowadzące od miny do napowietrznej linii sieci energetycznej (część kabli instalacji zapłonowej odkryto pod ziemią), fragmenty zapalnika oraz kawałki drewna, betonu i papieru, wydobyte z leja. Kilka komisji biegłych zaczęło odtwarzać na tej podstawie konstrukcję miny oraz instalacji służącej do jej odpalenia.

Z Katowic postępy śledztwa nadzorował Sztab Grupy Operacyjnej, kierowany przez Szlachcica i jego zastępców ds. bezpieczeństwa: Mariana Dziekana

i Włodzimierza Kruszyńskiego. Przez kilka dni po zamachu sztab zbierał się codziennie, by podsumować dotychczasowe ustalenia i wytyczyć plany postępowania na następne dni. Do Zagórzca przybyli też z Warszawy wysocy rangą funkcjonariusze MSW: płk Stanisław Filipiak, wicedyrektor Departamentu III, zajmującego się zwalczaniem opozycji politycznej, oraz płk Idzi Bryniarski, dyrektor Biura Śledczego – jak można domniemywać, obaj raczej w charakterze nadzorców niż z pomocą merytoryczną.

### Sztygar, kryminalista, właściciel drutu

Ponad czterdziestu funkcjonariuszy pionów operacyjnych SB – zorganizowanych w czterech ekipach – pracowało w samym Zagórzcu oraz w okolicznych kopalniach „Mortimer” i „Porąbka”. Informacji pracownikom Grupy Operacyjnej dostarczało ok. 220 konfidentów. Wsparcia udzieliły też powołane *ad hoc* dwie kolejne ekipy (ogółem pięćdziesiąt osób), działające w pobliskich miejscowościach: Klimontowie i Kazimierzu. Pomagali im milicjanci ze Służby Kryminalnej i jednostek terenowych, których zadaniem było dokonanie rozpoznania wśród elementu przestępczego z Zagłębia Dąbrowskiego (wraz z uruchomieniem milicyjnej siatki konfidentów). Pracą grupy śledczej, sformowanej wśród pracowników Wydziału



Śledczego katowickiej SB, kierował naczelnik tego wydziału, ppłk Karol Janoszek. Jego podwładni skoncentrowali się na przesłuchaniach świadków oraz zapoznawaniu się z ustaleniami biegłych rzeczoznawców. Zaangażowano do współdziałania także pionierzy techniczne SB.

Po dziesięciu dniach prowadzenia sprawy Grupa Operacyjna zdobyła osiemdziesiąt sześć informacji, głównie agenturalnych, które rokowały jakieś nadzieje na zdemaskowanie zamachowca, toteż aktywnie je „pogłębiano”. Ponadto w Zagórz i okolicy wytypowano 436 osób dysponujących wiedzą niezbędną do skonstruowania bomby i poddano je inwigilacji. Instalowano im podsłuchy, przejmowano korespondencję, otoczono je agenturą i dyskretnie obserwowano.

Niebawem rozpoczęły się zatrzymania. Do aresztu trafili m.in.: mieszkaniec Zagórz, u którego znaleziono zwój drutu podobnego do użytego w instalacji bomby zapłonowej; górnik z kopalni „Mortimer”, którego teściowa podczas wizyty funkcjonariuszy usiłowała spalić jakieś przewody; sztygar z kopalni „Mortimer”, mający odpowiednią wiedzę fachową i zachowujący się „podejrzanie”; oraz kryminalista, który oprócz „dziwnego zachowania” zwrócił na siebie uwagę wypowiedziami, że czegoś się dowiedział o zamachowcu. Równocześnie eliminowano z kręgu podejrzanych osoby, co do których posądzenia okazały się niesłuszne. Na przykład po dokładnym sprawdzeniu zaniechano inwigilacji Stanisława Rokickiego i jego zięcia Zbi-

gniewa Szymczyka, których ponad rok przetrzymywano w areszcie po wybuchu bomby w 1959 roku. Na właściwy trop naprowadziły jednak funkcjonariuszy SB nie doniesienia informatorów, lecz wstępne raporty eksperckie.

### Pytamy o rury, szukamy nożyc

Specjaliści badający konstrukcję „samodziałowej miny odłamkowej” – jak oficjalnie nazwano bombę – dosyć szybko doszli do pierwszych ustaleń istotnych dla śledztwa. Pomocne okazało się sumienne zabezpieczenie fragmentów miny odnalezionych na miejscu detonacji. Z przewodów wysokiego napięcia ściągnięto kabel stanowiący część instalacji zapłonowej. Kończył się on charakterystycznym haczykiem domowej produkcji, wyciętym z blachy zwykłymi nożycami i zacisniętym kombinerkami lub szczypcami. Ekspert zakładali, że te narzędzia będzie można jednoznacznie zidentyfikować po ich odnalezieniu. Alarmowali przy tym, że muszą zostać odszukane jak najszybciej, gdyż zamachowiec może się ich pozbyć, o ile już tego nie zrobił. Zwracali też uwagę na to, że beton użyty do konstrukcji słupka, w którym umieszczono minę, ma nietypowe proporcje i najprawdopodobniej wymieszano go metodami chałupniczymi – jakieś ślady, choćby w resztki gruzu czy zabrudzona miednica, mogły więc pomóc zdemaskować sprawcę.

Jako że działania operacyjne oprócz mnożenia potencjalnych tropów niczego konkretnego na razie nie przynosiły, a śledztwo nie wykazywało szczegól-

nych postępów, Sztab Grupy Operacyjnej zaczął rozważać przeprowadzenie masowych rewizji domowych wśród mieszkańców Zagórz. 18 grudnia powstał plan jednoczesnego przeszukania u siedemdziesięciu najbardziej podejrzanych osób. Zakładano, że 20 grudnia o 7 rano 260 funkcjonariuszy wkroczy do mieszkań i rozpocznie poszukiwanie zapraw cementowych, rur ceramicznych, przełączników elektrycznych, przewodów i innych podejrzanych części, które mogły posłużyć do konstrukcji miny. Ważniejsze jednak było dyskretnie odnalezienie nożyc, kleszczy czy kombinerek i pobranie ich odcisków w miękkim metalu w taki sposób, by świadkowie rewizji nie zorientowali się, co faktycznie jest głównym celem działań funkcjonariuszy. Akcję przeprowadzono zgodnie z planem. Kierował nią ppłk Janoszek, który zdecydował o włączeniu do grupy rewidowanych jeszcze jednej, siedemdziesiątej pierwszej osoby: Stanisława Jarosa. Pobrano ok. dwustu odcisków narzędzi, które przekazano do badań laboratoryjnych. Kilka osób natychmiast aresztowano, ponieważ w ich domach znaleziono „podejrzane przedmioty”. Większość zatrzymanych dosyć szybko zwolniono, ale objęto ich ścisłą inwigilacją (łącznie z przeglądaniem korespondencji i zainstalowaniem podsłuchów).

W tym właśnie momencie działania operacyjne zaczęły przynosić pożądany skutek. W podsłuchanej rozmowie żona Wacława Sandeckiego, jednego z zatrzymanych po rewizji w areszcie, powiedziała swej matce, że jeśli mąż nie wróci szybko do domu, to ona wskaże zamachowca. W celi Sandeckiego umieszczono zatem konfidenta, który niebawem zawiadomił SB, że ten podejrzewa o skonstruowanie bomby Stanisława Jarosa, który choć nie miał odpowiedniego formalnego wykształcenia, to posiadał wystarczającą wiedzę z dziedziny elektrotechniki, by sporządzić i zdetonować minę. Ponadto w dzień poprzedzający zamach Jarosa widziano w okolicach ulicy Krakowskiej. Sandeckie został przesłuchany i to samo, co powiedział tajemnemu współpracownikowi SB, zeznał do protokołu.



Fot. AIPN

➤ Zamachowiec Stanisław Jaros oraz skazani wraz z nim za współudział Józef Lotko i Wacław Sandeckie

Fot. AIIPN



► Lornetka, mapa i elementy elektrotechniczne zabezpieczone 20 grudnia 1961 roku w czasie rewizji u Stanisława Jarosa

Szybko zebrano wszelkie możliwe informacje o Jarosie. Okazało się, że w przeszłości spowodował on kilka eksplozji, a ponadto – mimo braku stałego zatrudnienia – miał spore oszczędności (tłumaczył się, że kilka lat wcześniej znalazł dolary i złote ruble, które za dużą sumę odsprzedał jakiemuś Cyganowi). To jednak były tylko informacje dodatkowe. Jarosa obciążyły przede wszystkim wyniki badań laboratoryjnych odcisków narzędzi sporządzonych w trakcie rewizji jego mieszkania. Rezultaty analizy świadczyły o tym, że to właśnie przy użyciu tych narzędzi sporządzono elementy systemu zdalnego odpalenia bomby. Wieczorem 28 grudnia 1961 roku Jaros został aresztowany. W czasie przeszukania przeprowadzonego w jego domu zarekwirowano narzędzia elektrotechniczne. Znalaziono też resztki zaprawy cementowej. Dowody zostały przekazane ekspertom Komendy Głównej MO do badań mechanicznych.

### Dobry glina, zły glina

Jarosa osadzono w areszcie w Będzinie i wstępnie przesłuchano. Zachował zimną krew i do zamachu się nie przyznawał. Śledczy uważali, że „złamanie” go nie będzie łatwe. Sztab Grupy Operacyjnej postanowił, że w tej sytuacji podejrzany zostanie przewieziony do Centralnego Więzienia w Katowicach. Funkcjonariusze SB zdecydowali się na zastosowanie tzw. konwejera, czyli wielodniowych, długotrwałych przesłuchań. Mieli je prowadzić dwaj śledczy, przy czym jeden miał odgrywać rolę „dobrego”, drugi zaś „złego gliny”. Do celi Jarosa został też skierowany tajny współpracownik, „agent celny z odpowiednią legendą”, uznawany przez SB za człowieka „na wysokim

poziomie intelektualnym, spokojnego, posiadającego walory szybkiego zjednywania sobie osób”. Konfident prowadził z aresztowanym długie rozmowy, opowiadając mu o znanych z historii bohaterach, którzy podejmując walkę z pobudek ideowych, starali się do swych racji przekonać przesłuchujących ich policjantów.

Konwejer i namowy „agenta celnego” odniosły skutek po kilku dniach. Nocą 7 stycznia 1962 roku Jaros załamał się i wyznał swemu towarzyszowi z celi, że to on zdetonował bombę – i tę przeciwko Gomułce, i tę przeciwko Chruszczowowi – i poprosił go o radę, czy ma się do tego przyznać. Tajny współpracownik przekonał go, by zeznał wszystko, bo to tylko polepszy jego sytuację procesową, a nad ranem poinformował funkcjonariuszy o wyznaniu „współwzięnia”. Podczas kolejnego przesłuchania Jaros oznajmił, że chce złożyć zeznania, i opisał śledczym okoliczności zamachów z 1959 i 1961 roku oraz sporządził schematy wykonanych przez siebie bomb. Funkcjonariusze założyli wówczas, że to również on dokonał niewyjaśnionych aktów sabotażu przeprowadzonych w latach 1952–1953 w kilku zakładach przemysłowych w Zagłębiu Dąbrowskim, i zaczęli go przesłuchiwać także pod tym kątem. Jaros potwierdził te domniemania, wyjawiał, gdzie ukrywał wykorzystywany w ładunkach materiał wybuchowy, a nawet wskazał dwóch kolegów, którzy mu wówczas pomogli. Okazali się nimi Józef Lotko (kolega Jarosa z dawnych lat) i Waclaw Sandecki. Obaj zostali aresztowani i potwierdzili zeznania zamachowca.

Po tym wszystkim Jaros przyznał się „agentowi celnemu”, że w trakcie jednego z kolejnych przesłuchań postara się zaatakować przesłuchującego go funk-

cjonariusza i spróbuje uciec, w najgorszym zaś wypadku popełni samobójstwo. Trafił wówczas do celi ze specjalnymi zabezpieczeniami, zaostrożono wobec niego więzienny rygor, a przesłuchiwany był zawsze przez dwóch śledczych.

### „Czułem uraz do MO”

Proces sądowy Jarosa i dwóch jego towarzyszy rozpoczął się 9 maja 1962 roku przed trzyosobowym składem Sądu Wojewódzkiego w Katowicach. Zamachowiec, przedstawiając pobudki swego działania, wyjaśnił, że w 1948 roku został aresztowany i skazany za działalność w antykomunistycznej organizacji konspiracyjnej. Od tej pory, jak stwierdził, „czuł szczególnie uraz do organów MO za niehumanitarne postępowanie w stosunku do niego”. To – w połączeniu z chęcią „szkodzenia państwu” – skłoniło go do przeprowadzenia serii akcji sabotażowych w latach 1952–1953; swych kolegów nakłonił zaś do pomocy, przekonując ich, że po kilku „operacjach” uciekną do zachodniej Europy, gdzie jako kombatan-ci walki z komunizmem zostaną dobrze potraktowani. Serię sabotaży przerwał powołanie go do służby wojskowej.

Powiedział następnie, że podczas zamachów w 1959 i 1961 roku nie zamierzał nikogo pozbawić życia, chodziło mu bowiem, jak odnotowano w aktach procesowych, „o pewną demonstrację, [...] o rozgłos za granicą, aby wykazać, że istnieje w Polsce podziemie, siła dążąca do zmiany ustroju”. Sąd tylko częściowo uwierzył w to wyjaśnienie, przyjął bowiem, że zamach na Gomułkę przedsięwzięty został niewątpliwie w celu pozbawienia go życia. Proces zakończył się 25 maja 1962 roku. Po wysłuchaniu ostatniego słowa oskarżonych sąd wydał wyrok: Jaros został skazany na karę śmierci, Sandecki i Lotko – odpowiednio na sześć i pięć lat pozbawienia wolności. Sąd Najwyższy odrzucił wniosek Jarosa o rewizję wyroku, a Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. W styczniu 1963 roku zamachowiec z Zagorza został powieszony. 🚩



# „Rozwydrzeni janczarzy” i „kukła moskiewska”, czyli emigracja o stanie wojennym

Krzysztof Tarka

W ciągu szesnastu miesięcy „polskiego karnawału” w wypowiedziach emigracyjnych działaczy i publicystów dominował umiarkowany ton. Po wprowadzeniu stanu wojennego retoryka zmieniła się diametralnie. Rząd emigracyjny i większość tamtejszych środowisk ostro krytykowały politykę Jaruzelskiego. Znaleźli się jednak i tacy, którzy chwalili dyktatora.

**J**uż następnego dnia po ogłoszeniu 13 grudnia 1981 roku stanu wojennego rząd RP na uchodźstwie alarmował w specjalnym oświadczeniu: „Po 36 latach rządów komunistycznych w Polsce, po doprowadzeniu do upadku gospodarki narodowej, partia komunistyczna stawia przeciw klasie robotniczej zorganizowanej w Solidarności oddziały wojska. Jest to rozpaczliwa i chyba ostatnia próba uratowania systemu komunistycznego w Polsce, w kraju, gdzie komunizm zbankrutował”. Autorzy tych słów nie mieli wątpliwości, że decyzja o zdławieniu Solidarności została narzucona przez ZSRS, „została narzucona przez Sowiety, wciąż sprawujące kontrolę nad sytuacją poprzez partię komunistyczną w Polsce”.



Fot. AIPN

## „Masowa zagłada” internowanych

Na kolejnym posiedzeniu, 17 grudnia, rząd RP w Londynie uchwalił *Apel do Wolnego Świata*. Został on rozesłany do zachodnich rządów i instytucji międzynarodowych oraz opublikowany w prasie emigracyjnej. Pod apelem podpisali się prezydent Edward Raczynski oraz premier Kazimierz Sabbat. Emigracyjne władze ponownie potępiły „wojskową dyktaturę komunistyczną w Polsce”, która „usiłuje sterroryzować naród”. Apelowaly też do „wolnego świata” o niezwłoczne zwołanie Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych w celu potępienia „akcji terroru” w Polsce. Domagały się, aby Rada Bezpieczeństwa ONZ zmusiła władze PRL do zniesienia stanu wojennego, zwolnienia internowanych i rozpoczęcia rozmów z przedstawicielami Solidarności i Kościoła. W *Apelu do Wolnego Świata* pojawiło się też żądanie wysłania do Polski misji Międzynarodo-

► Generał Wojciech Jaruzelski w przemówieniu telewizyjnym ogłasza wprowadzenie stanu wojennego, 13 grudnia 1981 roku

wego Czerwonego Krzyża, aby zbadała warunki w obozach, „w których grozi więźniom masowa zagłada”.

Nie mając dokładnych informacji, władze emigracyjne kreśliły niemal apokaliptyczny obraz sytuacji w kraju rządzonym przez wojskową juntę, która „używa brutalnej siły uzbrojonych oddziałów. Morduje robotników, więzi przywódców i zamyka w obozach internowania dziesiątki tysięcy zwolenników Solidarności”. Brak łączności z krajem potęgował groźbę sytuacji. W dramatycznym apelu prezydent i premier na wychodźstwie szacowali, że „w obozach internowania przebywa około 50 000 ludzi w warunkach grożących utratą życia z powodu zimna i głodu”. Przywódcy „polskiego” Londynu zwracali się również do międzynarodowych organizacji o przygotowanie planu pomocy gospodarczej dla Polski, pod warunkiem ►

jednak przywrócenia w PRL podstawowych praw człowieka i wolności obywatelskich.

### Solidarni z Solidarnością

Przez dwa tygodnie, począwszy od 17 grudnia 1981 roku, przed ambasadą PRL w Londynie kilkunastu młodych Polaków i Anglików demonstrowało przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Na wysepce na środku ulicy, tuż naprzeciw ambasady, ustawili trzy krzyże nawiązujące do Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku. Wokół powiewały polskie flagi i transparent z napisem „Solidarity with »Solidarność«” (Solidarność z Solidarnością).

W niedzielę 20 grudnia, w odpowiedzi na wprowadzenie w PRL stanu wojennego, Polish Solidarity Campaign – ruch powstały w Wielkiej Brytanii w roku 1980 – zorganizowała wiec protestacyjny w londyńskim Hyde Parku. Mimo padającego śniegu i deszczu w demonstracji wzięło udział około 15 tys. osób, z których olbrzymią większość stanowili

młodzi Polacy. Ze specjalnie zbudowanej trybuny do zgromadzonych przemawiali przedstawiciele głównych brytyjskich partii politycznych i związków zawodowych. Mówcy podkreślali swoją solidarność z polską Solidarnością, domagali się też zwolnienia internowanych. Następnie sformował się pochód, który skierował się pod ambasadę PRL. Na czele manifestacji szli przedstawiciele rządu emigracyjnego z premierem Kazimierzem Sabbatem. Ponieważ policja zamknęła ulicę, przy której znajduje się ambasada, pochód nie dotarł przed sam budynek, a pismo protestacyjne doręczyła kilkusobowa delegacja.

### Jaruzelski: „miernota”, „kukła moskiewska”, „polski Quisling”

W „polskim” Londynie dominowało przekonanie, że stan wojenny został wprowadzony pod naciskiem Kremla. Karol Zbyszewski, redaktor naczelny „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, komentując sytuację w kraju w ostatnim dniu 1981 roku, stwierdził: „dziś mamy polskiego Quislinga, i to na skalę większą niż autentyczny Norweg. Jaruzelski wykonuje moskiewską robotę polskimi rękami. Gdy chodzi o przewrotność, o znajdowanie sprzedawczyków, o umiejętność zamazywania swej roli i czynienia pozorów, że rządzą miejscowi ludzie, to Moskale są mistrzami. [...] Tyrania Jaruzelskiego, kukły moskiewskiej – stwierdził – będzie tym przykrzejsza, że to tyrania miernoty”.

W pierwszych tygodniach stanu wojennego premier Sabbat oceniał, że mimo zaskoczenia, starannego przygotowania oraz sprawnego wykonania plan „sterroryzowania narodu nie powiodł się”. Według szefa emigracyjnego rządu, „Jaruzelski i jego mocodawcy przeliczyli się. Wyzwolenie od strachu, które nastąpiło w ostatnich latach, okazało się zjawiskiem trwałym”. Po 13 grudnia na świecie ujawniła się też „ogromna fala sympatii do Polski”. W tej sytuacji Sabbat ciągle miał nadzieję, że pod naciskiem Zachodu „Jaruzelski będzie zmuszony wejść na drogę negocjacji i że Sowiety taką drogę zaaprobuja”. Rozmowy



Fot. NAC

► Kazimierz Sabbat (z prawej) podczas spotkania z emigracją polską; Monachium, 30 maja 1987 roku

miałyby się toczyć w trójkącie: Kościół, Solidarność i władze PRL. Emigracyjny premier liczył na to, że „rola Jaruzelskiego szybko się skończy”, gdyż „dyktatura wojskowa jest sprzeczna z doktryną komunistyczną”. Uważał, że w nowej sytuacji w kraju „emigracja polityczna ma szczególnie ważną rolę do spełnienia”. Wobec odcięcia Polski od świata „tylko emigracja może wypowiadać prawdziwy pogląd narodu”.

Podczas uroczystości noworocznych na londyńskim „zamku” 1 stycznia 1982 roku premier Sabbat ponownie poświęcił swoje przemówienie sytuacji w kraju. Podkreślił, że dokonując zamachu stanu, gen. Jaruzelski wprowadził dyktaturę wojskową: „Czy uczynił to z poduszczenia Moskwy, czy pod naciskiem Moskwy, w każdym wypadku uczynił to w interesie Moskwy. Tak oto powtarza się w historii Polski haniebna Targowica”. Odcięcie Polski od świata sprawiło, że po raz kolejny Sabbat znacznie wyolbrzymiał liczbę ofiar stanu wojennego: „Mówi się o setkach zabitych, o tysiącach rannych i poturbowanych, o dziesiątkach tysięcy zamkniętych w obozach internowania, bez ogrzewania w warunkach zagrażających zagładą”.

W noworocznym przemówieniu „zamarach Jaruzelskiego na wolę narodu polskiego” potępił również prezydent Raczyński. Z oburzeniem podkreślił, że „oszustwo i bandytyzm wschodni zdaje się nie mieć miary”. Wzywał jednak rodaków do rozważli i odpowiedzialności

► Gdański Pomnik Poległych Stoczniovców także dla emigracji był symbolem walki z komunizmem; na zdjęciu czołg pod pomnikiem tuż po wprowadzeniu stanu wojennego



Fot. Janusz Rydzewski/Ośrodek KARTA



za kraj: „naród nasz musi postępować rozumnie, bo przegrać może i naród najsilniejszy na skutek popełnionych błędów”.

4 stycznia 1982 roku Polish Solidarity Campaign zorganizowała w Royal Albert Hall wielki publiczny wiec *Rally for Poland*, który zgromadził blisko 5 tys. osób, w większości Polaków. Podczas spotkania premier Sabbath kolejny raz protestował przeciwko więzieniu i nieludzkiemu traktowaniu „tysiący niewinnych ludzi”. Apelowal też o pomoc charytatywną dla rodaków w kraju, a w przyszłości również o pomoc ekonomiczną dla Polski. Głos zabrali także przedstawiciele brytyjskich partii politycznych oraz związków zawodowych. Największe brawa zebrał Frank Chapple. Sekretarz generalny związku zawodowego elektryków, monterów i hydrauliczków wezwał do odrzucenia układów jałtańskich i potępienia Kremla za niewątpliwy udział w przygotowaniu stanu wojennego w Polsce. W wygłoszonym z pasją przemówieniu skrytykował również zachodnie rządy za ich postawę wobec Polski po zakończeniu II wojny światowej.

### „Banda rozwydrzonych janczarów”

Wprowadzenie stanu wojennego w ostrym tonie potępiły władze emigracyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego. W oświadczeniu z 8 stycznia 1982 roku stwierdzały: „zbankrutowany i znienawidzony reżym komunistyczny wypowiedział wojnę narodowi polskiemu. [...] Polska stała się jednym wielkim obozem koncentracyjnym. [...] Tysiące niewinnych ludzi, nie wyłączając kobiet – matek małoletnich dzieci, zostały pozbawione wolności i osadzone w nieludzkich warunkach w obozach koncentracyjnych według sowieckich wzorów. Setki zostało pomordowanych oraz ciężko rannych na skutek ataków milicji, bezpieki i wojska. [...] Wszystko to zostało opracowane i zarządzone przez Moskwę, wykonane przez zdrajców – »nowych targowiczian«, komunistów polskich z Jaruzelskim na czele”.

Publicysta organu prasowego ludowców „Jutro Polski” w przepełnionym emocjami artykule przyrównał nawet



Fot. Ośrodek KARTA

▶ Edward Raczyński, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie

stan wojenny do Katynia: „W samym środku Europy – pisał Janusz Kowalewski – w końcu dwudziestego wieku, 13 grudnia roku Pańskiego 1981, stu-tysięczna banda rozwydrzonych janczarów, na rozkaz swych właścicieli, właścicieli niewolników ze Wschodu, rozpoczęła mordowanie, niszczenie, tępienie 36-milionowego narodu – za to, że ten naród niczego więcej nie chciał na tej ziemi, jak tylko chleba i wolności. [...] To był Katyń w ogromnej historycznej skali. Tym różny od wszystkich poprzednich – z hitlerowskim włącznie – że do łez i krwi, do tragedii i męki ofiar i całego narodu dołączyła się tym razem plama najhaniebniejsza, karta historii Polski najczarniejsza – że to był – i jest wciąż, niestety, KATYŃ KAINOWY. Oprawcami na rozkaz i według dokładnie opracowa-

wanych instrukcji Moskwy – byli jednak Polacy, jeśli janczarskie formacje mają jakąś narodowość”.

Eugeniusz Romiszewski, redaktor „Orla Białego”, podzielał opinię, że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego została narzucona przez Związek Sowiecki: „Moskwa – napisał w styczniowym numerze miesięcznika z 1982 roku – nakazała Jaruzelskiemu sterroryzować Solidarność polskimi bagnetami”. Wskazywał też na ogromne znaczenie 16 miesięcy legalnego istnienia w PRL niezależnego związku zawodowego: „ten odradzający powiew na miarę historyczną był niezmiernie Polakom potrzebny i jest zdobyczą nie do odebrania, bezcenną wartością na przyszłość. [...] Niech nikt z Polaków nie żałuje doświadczeń ubiegłego roku – opłaca się Polsce stokrotnie”.

W lutowym numerze „Orla Białego” Romiszewski nie tylko podtrzymał tezę o sowieckiej inspiracji, ale stwierdził wręcz, że „tw. »stan wojenny« w Polsce nie jest niczym innym, jak tylko z grubszą zamaskowaną zbrojną interwencją sowiecką w wewnętrzne sprawy Polski”. Sprzeciwiał się też nazywaniu „formacji reżymowych w Polsce” wojskiem polskim, a ich dowódcy polskim generałem. Nie miał wątpliwości, że Jaruzelski był „wyhodowanym w Sowietach politrukiem, czyli urabiaczem wojska w duchu posłuszeństwa tyranii sowieckiej i gorliwym stróżem tego posłuszeństwa. [...] Gdyby był rzeczywiście »generałem polskim«, to należałoby mu się, nawet bez sądu, kula w łeb za działalność na rzecz wrogów. Ale on jest sowieckim generałem, spełniającym posłuszenie nałożony na niego żandarmski obowiązek”.

▶ Winiety emigracyjnego czasopisma „Orzeł Biały”



Fot. AIPN



Fot. NAC

► Eugeniusz Romiszewski był przekonany, że stan wojenny w Polsce to zakamuflowana interwencja sowiecka

W oświadczeniu z 8 lutego 1982 roku emigracyjna Federacja Ruchów Demokratycznych (PPS, PRW „NiD”, SD) przeciwstawiała się zarzutom szefa rządzącej w kraju „komunistycznej junty” pod adresem Solidarności. Podkreślono, że to nie Solidarność doprowadziła Polskę do katastrofy gospodarczej, ale „pozostające poza

wszelką kontrolą społeczną, trzydziestopięcioletnie rządy komunistyczne”. Wbrew oskarżeniom gen. Jaruzelskiego – dowodzili autorzy oświadczenia – Solidarność nie szukała też konfrontacji z władzami PRL, „lecz to właśnie władze od samego początku planowały taką konfrontację z Solidarnością”, czyniąc do niej wielomiesięczne przygotowania militarne. Przekonywano, że walka z całym społeczeństwem musi się ostatecznie skończyć przegraną komunistów.

### Lepsza „junta” niż Żydzi i „piłsudczyzna”

Odmienne akcenty pojawiły się na łamach „Myśli Polskiej”. Działacze emigracyjnego Stronnictwa Narodowego wyrażali ambiwalentny stosunek do Solidarności. Doceniając wolnościowy zryw w Sierpniu 1980 roku, w następnych miesiącach z narastającą nieufnością i niechęcią obserwowali wpływy „lewicy laickiej” (działacze Komitetu Obrony

► Emigracyjny organ PSL „Jutro Polski”

Robotników) w Solidarności. Antoni Dargas, prezes SN i redaktor naczelny „Myśli Polskiej”, uważał, że wprowadzenie stanu wojennego i przejście faktycznej władzy przez wojsko było konsekwencją „niemożności znalezienia rozwiązań przez samych Polaków”. Wobec „szybko zbliżającej się katastrofy” sprawą zasadniczą było dla Dargasa uzdrowienie polskiej gospodarki. W nowej sytuacji za nieodzowne uważał jednak odwołanie zawieszenia Solidarności. Według niego, było to „najkrótszą drogą do pozyskania choćby minimum zaufania społecznego przez nową władzę”, a „bez tego minimum nie może być mowy o wyprowadzeniu Polski z katastrofy gospodarczej”. Redaktor „Myśli Polskiej”, przestrzegając przed wpływami „lewicy laickiej” oraz „elementów czysto radykalnych” w Solidarności, wskazywał na „wielki autorytet” Lecha Wałęsy i „jego instynktowne wycucie rzeczywistości”.

Jeszcze bardziej wyostrożone opinie głosił Jędrzej Giertych. Jeden z czołowych działaczy ruchu narodowego na emigracji (choć w 1961 roku usunięty z SN) nie tylko przestrzegał rodaków w kraju przed „trockistami” z KOR, odrodzeniem „piłsudczyzny” oraz wpływami żydowskimi i niemieckimi, ale także z aprobatą wypowiadał się na temat autorów stanu wojennego. W broszurze opublikowanej w Londynie w maju 1982 roku, demaskując działaczy KOR, twierdził, że w ostatnich miesiącach poprzedniego roku „narastała w Polsce rewolucja”, która wiodła ją w „fałszywym kierunku”. Najważniejszą rzeczą, której potrzebował kraj, była zaś „wytrwała praca, praca i praca; i gospodarczy wysiłek”. Tymczasem „rewolucja, której organizatorzy i propagatorzy wywoływali w całej Polsce strajki i wzywali cały naród do nieróbstwa i wypoczynku, prowadziła Polskę do dalszego jeszcze pogłębienia ogólnego rozstroju i ruiny”. Niosła też ze sobą „perspektywę interwencji zbrojnej sowieckiej”. Na szczęście – dowodził Giertych – ten czarny sce-

nariusz się nie ziścił. „Zapewne nie spodobą się to niektórym moim czytelnikom, lecz oświadczam otwarcie, że uważam, że dobrze się stało, iż omawiany tu przewrót w dniu 13 grudnia nastąpił” – stwierdził publicysta. Według Giertycha, stan wojenny był działaniem polskim i Polsce służącym: „Grupa wojskowa polska uznała za potrzebne położyć tamę rozwijającej się anarchii i szykującej się rewolucji i dokonała przewrotu siłami polskimi i w interesie polskim”. Generała Jaruzelskiego, rozprawiającego się z byłymi działaczami KOR i Solidarnością, Giertych traktował jako taktycznego sojusznika w walce z „trockistami” i wpływami żydowskimi. Kreował wręcz autora stanu wojennego na bohatera, wzór patrioty, opatrnościowego męża stanu. Jesienią 1982 roku wybrane fragmenty tej broszury przedrukował krajowy „Żołnierz Wolności”, jeden z głównych organów prasowych stanu wojennego. Cykl miał wspólny tytuł: „Przedstawiciel emigracji polskiej w Londynie o ekstremistach »Solidarności«”. O przedruku odpowiednio dobranych fragmentów broszury zdecydowała zapewne zbieżność wielu ocen i poglądów Giertycha z oficjalnymi tezami propagandy PRL.

### Z podniesioną głową

Po roku „wojny Jaruzelskiego przeciw własnemu Narodowi” premier Kazimierz Sabbat ocenił, że stan wojenny nie przyniósł zakładanych celów: nie spowodował rozbitcia Solidarności ani nie zmusił sterroryzowanego społeczeństwa do posłuszeństwa wobec władzy komunistycznej. Emigracyjny premier wskazywał też na szczególną rolę, która przypadła Kościołowi w Polsce. Sabbat podkreślił, że emigracja, rozumiejąc konieczność działania rozważnego, biorąc pod uwagę położenie geograficzne i układ sił, nigdy „nie nawoływała kraju do aktów desperacji, do czynów szalonych”, ale „nigdy też nie namawialiśmy do pogodzenia się z narzuconą nam w Teheranie i Jalcie niewolą”.

prof. dr hab. Krzysztof Tarka – historyk, kierownik Katedry Historii Najnowszej Uniwersytetu Polskiego, autor m.in. książki *Emigracyjna dyplomacja: polityka zagraniczna rządu RP na uchodźstwie 1945–1990* (2003)



Fot. AIPN



# ŚLADAMI ZBRODNI

— fragment albumu IPN

## PRZEDMOWA

Łukasz Kamiński

Od początku istnienia Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu jednym z jego najważniejszych zadań jest badanie i dokumentowanie zbrodni komunistycznych, w znacznej części popełnionych w latach 1944–1956. Są one zarówno przedmiotem śledztw, badań naukowych, jak i tematem działalności edukacyjnej. W toku tych działań gromadzona jest wiedza o mechanizmach zbrodni, o ofiarach i sprawcach, a także o miejscach ich popełnienia.

W 2006 r. dr Tomasz Łabuszewski zaproponował, by dotychczasowe działania uzupełnić o proces identyfikacji obiektów – miejsc zbrodni – znanych w wielu przypadkach tylko z relacji lub zapisów archiwalnych, oraz udokumentować ich aktualny stan. W ramach projektu „Śladami zbrodni” opisano setki obiektów w całej Polsce. Dokonano wielu poruszających odkryć – m.in. wykonanych ręką więźniów inskrypcji na ścianach cel. Niezwykle poruszające były także te oględziny dawnych aresztów i więzień, w których uczestniczyły osoby przetrzymywane kiedyś w tych miejscach. Działaniom o charakterze naukowym towarzyszył projekt edukacyjny, dzięki czemu udało się uwrażliwić społeczność lokalną i ukazać znaczenie obiektów, o których dawnej roli nieraz zapomniano. Praca ta z pewnością daleka jest od zakończenia, wiele obiektów będących niemyimi świadkami dramatycznych wydarzeń przebudowano bądź też uległo zniszczeniu.

Efekty zarówno działań dokumentacyjnych, jak i edukacyjnych umieszczano na bieżąco w portalu [www.slady.ipn.gov.pl](http://www.slady.ipn.gov.pl). Ich podsumowaniem jest niniejsze wydawnictwo. Pragnę serdecznie podziękować koordynatorowi i wszystkim uczestnikom projektu za wieloletnią pracę, dzięki której możemy poznać swoistą „geografię zbrodni” w powojennej Polsce. Nie bez goryczy należy zauważyć, że wykonane podczas działań dokumentacyjnych zdjęcia niekiedy stanowią już jedyny ślad miejsc popełnienia komunistycznych zbrodni.

W listopadzie 2011 r. Instytut Pamięci Narodowej zawarł z Ministerstwem Sprawiedliwości i Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa porozumienie, którego celem stanowi odnalezienie miejsc pochówku ofiar reżimu komunistycznego oraz godne uczczenie ich pamięci. Niezbędnym elementem prowadzonych prac jest identyfikacja odnajdywanych szczątków polskich bohaterów. W tej części prac aktywnie uczestniczy Pomorski Uniwersytet Medyczny, który w porozumieniu z IPN stworzył Polską Bazę Genetyczną Ofiar Totalitaryzmów. Działania te są w dużym stopniu możliwe dzięki ustaleniom poczynionym w toku realizacji projektu „Śladami zbrodni”.

Ze szczególnym społecznym oddźwiękiem spotkały się prace poszukiwawcze na cmentarzu powązkowskim w Warszawie. Na kwaterze „L”, zwanej także „Łączką”, odnaleziono dotychczas szczątki 117 osób. Skala medialnego i społecznego zainteresowania prowadzonymi ekshumacjami związana jest m.in. z tym, że wśród poszukiwanych na Powązkach bohaterów naszej najnowszej historii znajdują się gen. August Emil Fieldorf „Nil” oraz rtm. Witold Pilecki.

Prace na „Łączce” skierowały uwagę znacznej części Polaków na kwestię do tej pory nieobecna na szerszą skalę w społecznej świadomości. Zaczęto sobie zdawać sprawę, że wciąż obok nas istnieją miejsca związane z popełnionymi w latach 1944–1956 zbrodniami komunistycznymi – miejsca kaźni i tajnego pochówku ofiar.

Jestem przekonany, że ten monumentalny album przyczyni się do wzrostu zainteresowania miejscami zbrodni, a także do ich odpowiedniego upamiętnienia i ochrony śladów tragicznych wydarzeń w postaci inskrypcji na murach czy elementów oryginalnego wyposażenia miejsc kaźni. Mam nadzieję, że chociaż w kilku z nich powstaną muzea poświęcone pamięci ofiar komunistycznego terroru. Jesteśmy to winni dziesiątkom tysięcy więzionych, torturowanych i zamordowanych.

Pracom nad udokumentowaniem miejsc zbrodni oraz poszukiwaniem miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego towarzyszą silne emocje, wzbudzają one różne refleksje. 24 sierpnia 2012 r. na cmentarzu powązkowskim w Warszawie odbyła się uroczystość przeniesienia szczątków ponad stu osób, wydobytych z anonimowych dołów śmierci. Patrząc na dziesiątki bezimiennych jeszcze trumien, mając świadomość, kto w nich spoczywa, można było pomyśleć, że oto odbywa się symboliczny pogrzeb szczątków Polskiego Państwa Podziemnego, a jednocześnie szczątków tej Polski, która mogła zaistnieć po wojnie – Rzeczypospolitej wolnej i niepodległej. Ludzie, którzy mogli ją stworzyć, zostali zmuszeni do pozostania na emigracji, przeszli przez kazamaty aresztów UB, więzienia i obozy. Tysiące z nich zamordowano. Jestem głęboko przekonany, że zachowując pamięć o miejscach kaźni i odnajdując rozsiane po całym kraju mogiły, nie tylko wypełniamy swój fundamentalny obowiązek wobec ofiar komunistycznego terroru i ich rodzin. Praca ta ma także istotne znaczenie dla przyszłości. Przywracana pamięć o wielkich postaciach naszej historii inspiruje do działania, do zaangażowania w życie publiczne Rzeczypospolitej, którą budujemy. W jej fundamentach składamy odnalezione prochy bohaterów.





## WOJEWÓDZTWO PODLASKIE



# BIELSK PODLASKI UL. ŻWIRKI I WIGURY 4 Siedziba PUBP/PU ds. BP (1944–1956)

### Historia obiektu

Budynek klasztoru Karmelitów z XVII w., rozbudowany w XVIII w., po kasacji zakonu przeznaczony na więzienie. W latach 1919–1929 pełnił funkcję aresztu powiatowego, później – internatu i szkoły dla dziewcząt. W sierpniu 1944 r. obiekt został zajęty przez NKWD. Od września tego roku był wykorzystywany przez UB, choć do lata 1945 r. kilku pomieszczeń używał NKWD.

### Siedziba PUBP

W budynku głównym, otoczo-  
nym murem w kształcie czworoboku z wieżyczkami, urządzono

m.in. pokoje przesłuchań, świetlicę, kuchnię i stołówkę. W niewielkim budynku na wewnętrznym dziedzińcu znajdował się areszt. Był on położony od strony ulicy, przylegał do muru zewnętrznego. Były tam cztery cele, kuchnia i pomieszczenie w wejściu, w którym czuwał strażnik. Po drugiej stronie placu znajdował się karcer.

Śledztwa, jakie przechodzili więźniowie PUBP w Bielsku Podlaskim, były szczególnie ciężkie. Wielu z nich w trakcie przesłuchań zamęczono. Świadkowie wspominają o rozstrzelaniu więźniów bez wyroku pod murem zwanym ścianą

śmierci. Zwłoki zamęczonych, rozstrzelanych, a także przywiezionych z obław topiono w studni na dziedzińcu klasztornym, palono i grzebano na dziedzińcu lub wywożono do lasu w Piliakach (miejsce masowych mogił z okresu hitlerowskiego) i na cmentarz, gdzie przez pewien czas PUBP miał wydzieloną przestrzeń. W późniejszych latach podczas robót ziemnych odnajdowano na dziedzińcu byłego klasztoru kości ludzkie. Specyficzną torturą bielskiego UB było umieszczenie w mурowanym piecu chlebowym, który znajdował się w areszcie. Przypominało to umieszczanie

w karcerze, tylko wydawało się bardziej okrutne, bo wpełniony do pieca więzień nie miał możliwości zrobienia jakiegokolwiek ruchu, na głowę kapała mu cała czas woda.

### Dalsze losy obiektu

Po 1956 r. w budynkach opuszczonych przez UB zainstalowano Urząd Pocztowy i Szkołę Muzyczną. W 1992 r. pomieszczenia odzyskała parafia katolicka. Mieści się tam teraz Państwowa Szkoła Muzyczna. Wnętrza zostały przebudowane, zachowały się natomiast oryginalny układ przestrzenny posesji, mury, wieżyczki i brama.

SIEDZIBA PUBP. Zdjęcie współczesne. Fot. T. Danilecki, Ł. Lubicz-Łapiński.



W/c m-ku z P-stoku "w święta B.N." w Bielsku-Podl. kilku funkcion. UB popijającem zabiło "dla zabawy" 4 os. i 1 zraniło; dobilo ją następnie. Trupy pochowano wczesnym rankiem.





BRONISŁAW BORTNOWSKI  
szef PUBP w latach 1949-1950.  
AIPN Bi.



FUNKCJONARIUSZE PUBP  
w Bielsku Podlaskim na dziedzińcu  
urzędu. AIPN Bi.

Pow. Mielsk Podl.  
30.XI.UB. z sowietami przeprowadzi obławę w rejonie wsi Łępcia. Koszpa  
ni przez oddz. samoobrony /zszczęty wykoje partyzantka/ z zemsty spalili w  
wsi Łępcie 1 dom i 6 zagrod gospod. i zabili w czasie tego 4 osoby.  
6.XII. w sile 10 samoch. ciężar. UB. i sow. otoczyli dom Kryniakiego w wsi  
Schaby. w czasie rewizji u Kryniakiego nie znaleźli, przeto podpalili wsi-  
dynki gospodarskie.  
10.XII. UB. przeprowadziło obławę na terenach wsi Łępcia, Kobuse, Łoce Sola,  
Winie i Trzaski. Aresztowano kilkanaście osób, z czego 5 z Kobusie wyprostawili  
do lasu Czaje i tam zabili. Świłki były tak zmasakrowane, że tylko na podsta-  
wie znalezionych dokumentów udało się zabitych zidentyfikować.  
12.XI. UB. aresztowało gospod. wsi Kobuse, który w dniu 5.XII. odwoził ran-  
nego żołn. samoobr. Wypytywany dokąd jeździł, został bestialsko pobity, tak w  
końcu nóg i rąk połamane wychodziły mu przez skórę - mimo tego "dochodził"  
nie dało wyników, więc UB. skatowanego zabiło.  
UB. nadal kwateruje w terenie w m. Cichanowice, Siemiątynie i Brudak, stale  
robi wypad w teren. Skład 1/3 Polaków, 2/3 kaczep, Białorusinów i innych  
szaniejności.

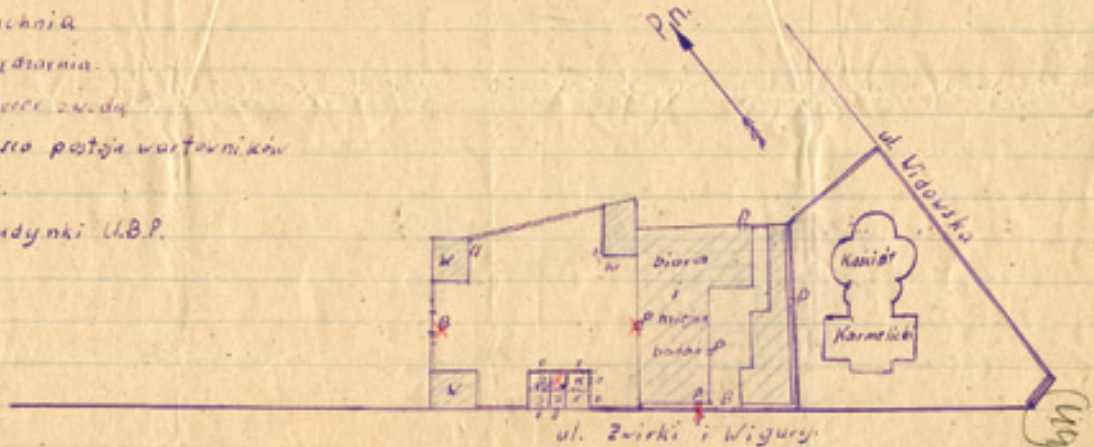
FRAGMENT MELDUNKU  
białostockiego WiN. AIPN Bi.

PLAN PUBP w Bielsku Podlaskim  
sporządzony w 1946 r. przez białostocki  
WiN. AIPN Bi.

Plan U.B.P. w Bielsku Podlaskim.

Legenda

- B/ Bramy wjazdowe
- P/ Przejścia, drzwi, słaywane.
- D/ Drzwi i przejścia nie używane
- of Obiekt z cel.
- W/ Wierzeźki
- 1/2/3/4/ Numery cel.
- K/ Kuchnia
- Piec - wzdziarnia.
- kn/ kacerz zwiada
- X Miejsca postój wartowników
- uj ustęp.
- Budynek U.B.P.

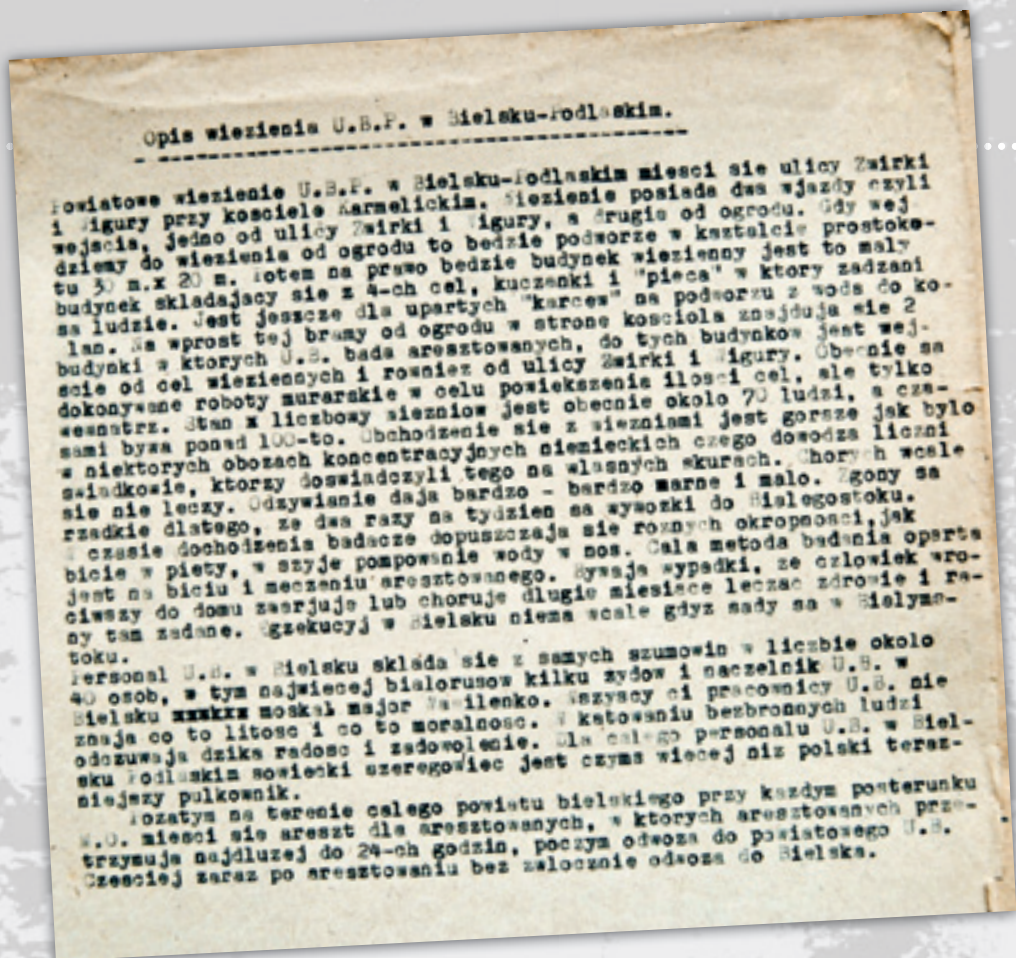






SIEDZIBA PUBP

– fragment dziedzińca oraz widok od strony bramy głównej. Zdjęcia współczesne.  
Fot. T. Danilecki, Ł. Lubicz-Lapiński.



OPIS ARESZTU PUBP w Bielsku Podlaskim sporządzony w 1946 r. przez białostocki WiN. AIPN Bi.

## Opis zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy PUBP

Przykładem zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy PUBP w Bielsku Podlaskim jest sprawa Józefa Niechody. Został on zatrzymany w grudniu 1949 r., na podstawie zeznania jednego z aresztowanych. Przesłuchiwali go i bili kierownik referatu III Wiktor Trochimczyk oraz referenci tego referatu Bogusław Pytlarz i Jan Żyto. Pomimo że oskarżenie było fałszywe, pod wpływem bicia Niechoda przyznał się do zarzucanych czynów. Postawiony przed szefem urzędu Bronisławem Bortnowskim uznał, że ma szansę odwołania swoich zeznań i złożenia skargi na znęcających się nad nim funkcjonariuszy.

Bortnowski nie tylko nie nakazał przerwania tortur, ale sam dołączył się do bicia Niechody. Przesłuchiwanego zmuszano do przysiadów, bito po twarzy, uderzano kolbą karabinu. 28 grudnia Jan Żyto owinął głowę Niechody marynarką, aby uciszyć jego krzyki. Następnie przytrzymał więźnia na krześle, bijąc go jednocześnie gumową pałką po plecach, a Trochimczyk uderzał go drewnianym kijem po gołych piętach, pośladkach i całym ciele. Pobity Niechoda zaczął gorączkować i majaczyć, więc przesłuchanie przerwano i położono go do aresztu, aby doszedł do siebie. Dwa dni później, gdy

okazało się, że stan więźnia się nie poprawił, wezwano lekarza. Pomimo interwencji medycznej Niechoda tej nocy zmarł. Oględziny zwłok wykazały liczne obrzęki i wylewy krwawe na całym ciele, obfite podbiegnięcia krwią klatki piersiowej wynikały, według opinii lekarza, na skutek obrażeń zadanych narzędziami tępymi. Ponadto lekarz zwrócił uwagę na uszkodzenie wewnętrzne głowy, skrępy i płynną krew pod oponami mózgowymi. Ciało nie wydano rodzinie.

Według Żyty, Niechoda został pochowany przez funkcjonariusza PUBP Kazimierza Świątkę na

cmentarzu w Bielsku. Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku 26 lipca 1950 r. skazał Wiktora Trochimczyka i Jana Żytę za nadużycie władzy na dwa lata więzienia, Bogusława Pytlarza na rok. Wszyscy trzej zostali też zwolnieni dyscyplinarnie ze służby. Bortnowski nie przyznał się do winy, twierdząc, że nie uczestniczył w przesłuchaniach i nie wiedział o stosowaniu niedozwolonych metod śledztwa przez podwładnych. Mimo obciążających go zeznań złożonych przez współoskarżonych nie trafił na salę sądową, został jedynie dyscyplinarnie zdegradowany i otrzymał karę aresztu.





▶ Takiego napastnika chciałby każdy klub: Andrzej Szarmach (z prawej) walczy o piłkę w meczu z Włochami podczas mistrzostw świata w RFN w 1974 roku

# Zatrzymać Szarmacha!

**Karol Nawrocki**

**W PRL o tym, kto ma być prezesem PZPN, trenerem piłkarskiej reprezentacji Polski i czy piłkarze ligowi mogą zmieniać kluby, decydowały partia komunistyczna lub „inne czynniki polityczne”. Na przykład o przeniesieniu Stanisława Terleckiego z Gwardii Warszawa do ŁKS Łódź zdecydował tow. Edward Gierek, a o zmianie barw klubowych Romana Koseckiego – minister gen. Czesław Kiszczak. Podobnie było w przypadku Andrzeja Szarmacha.**

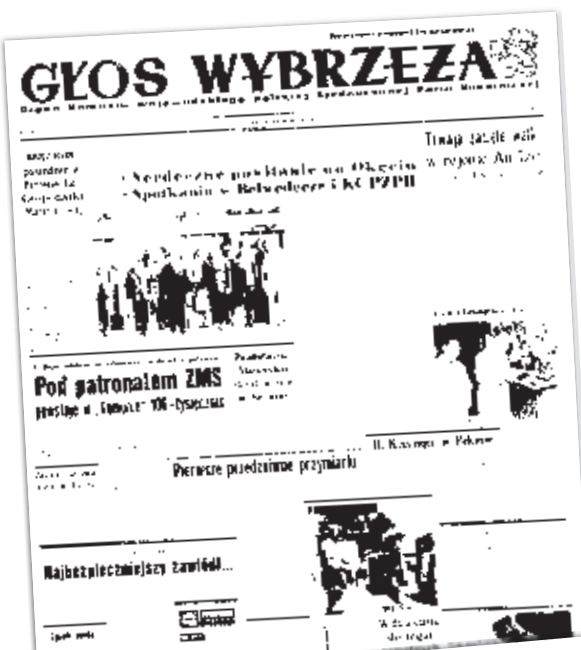
**W** sezonie 1971/1972 kibice piłkarscy na Pomorzu Gdańskim nie mieli wielu powodów do radości. Żadna z ich drużyn nie występowała w I lidze i wiele wskazywało na to, że szybko się to nie zmieni. Dla zdolnych młodych piłkarzy taki stan rzeczy oznaczał konieczność szukania etatu w innych regionach.

Miejscowi działacze partyjni byli jednak temu przeciwni. Dobitnie ujął to Tadeusz Fiszbach, ówczesny

sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku: „Nie jest wskazane przenoszenie lepszych zawodników z drużyny do drużyny, gdyż to podważa ambicje poszczególnych klubów sportowych i nie oddziałuje wychowawczo – przekonywał 16 lipca 1971 roku. – Również należy bronić naszych zawodników przed przechodzeniem poza region województwa, z czym Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki [WKKFiT] ma duże trudności. Trzeba czasami

pomocy instancji partyjnych”. Warto zaznaczyć, że Fiszbach – znacząca postać polityczna województwa przez całą dekadę lat siedemdziesiątych – w młodości był zdobywcą medali podczas regionalnych zawodów lekkoatletycznych.

Opinia dygnitarza PZPR zachęciła lokalną prasę do zajęcia się tematyką piłkarskich transferów. Na łamach partyjnej gazety „Głos Wybrzeża” – w dziale „Rozmowy z czytelnikami” – pojawiła się opinia „kibica pesymisty”, który ▶



## Na straży przyzwoitości

Mógł się o tym przekonać gdańszczanin Andrzej Szarmach (ur. 1950) – jeden z najlepszych napastników w historii polskiej piłki nożnej. Doceniony na turnieju „dzikich drużyn”, otrzymał szansę gry w Polonii Gdańsk pod okiem trenera Mieczysława Ludzińskiego. Prawdziwa eksplozja talentu popularnego „Diabła” nastąpiła jednak po jego przejściu do drużyny gdyńskiej. Bez trudu pokonywał drugoligowych bramkarzy i w 1972 roku został królem strzelców zaplecza ekstraklasy. „Głos Wybrzeża” informował: „piłkarskimi umiejętnościami, niewątpliwym talentem

z Zabrza), którzy rozmawiali o „piłce i pieniądzach”. Dziennikarze wykonali kilka telefonów i w restauracji „Gedania” zjawili się działacze Arki Gdynia. W samą porę, bo przy jednym ze stolików siedzieli już Szarmachowie i Piecha. Po chwili „pan z Zabrza” odszedł, a bracia Szarmachowie upierali się, że go nie znają, gdyż jedynie przysiadł się do ich stolika.

Informując o tym wydarzeniu, „Głos Wybrzeża” grzmiał: „sportem, a zwłaszcza piłkarstwem, wciąż rządzą niepisane prawa przekupstwa. [...] Jak długo nie ukrócimy tego, jak długo w charakterze sępów krążyć będą po Polsce emisariusze klubów-potentatów, jak długo przewracać będą w głowach młodym ludziom – dotąd będziemy świadkami spraw ze sportem niemających nic wspólnego”. Autor artykułu zalecał piłkarzom odrzucenie pokus materialnych i myśli o wielkiej karierze, a całą winę za kuszenie młodych, nieświadomych zawodników zrzucił na działaczy sportowych. Podał również receptę na udoskonalenie sytuacji w okresie transferowym: „potrzebne jest natychmiastowe, bezkompromisowe podjęcie walki z zabagnionym odcinkiem naszego sportowego życia. Dość mamy demoralizacji, wyrzucmy wreszcie na margines tych wszystkich pseudodziałaczy, którzy nie przebijają w środkach, którzy rozmawiają z młodym piłkarzem... prowadzą w restauracji”.

Artykuły na temat „kaperownictwa” ukazały się jeszcze w „Głosie Wybrzeża” 27 i 28 czerwca oraz 4, 6 i 11 lipca. Podawano m.in., że czytelnicy żądają „podjęcia przez władze piłkarskie ostrych kroków zaradczych”, oburzają się na „demoralizację młodych ludzi” oraz protestują przeciwko „wyrzucaniu ich ze środowiska, w którym się wychowali i gdzie stawiali swe pierwsze sportowe kroki”. W obronie Szarmacha wystąpiła „grupa młodych piłkarzy”, ale gdański dziennik odpowiedział zdecydowanie: „Byliśmy świadkami ordynarnej próby kaperowania młodego, uzdolnionego piłka-

## Kaperownicy na Wybrzeżu Początek sportowego skandalu?

Wszystko było niespodziewane. W pokoju dalażu sportowego „Głosu”, wczoraj w późnych godzinach popołudniowych, ujawnił się kierownik taksówki nr 509. Był podenerwowany, w ręku trzymał bloczek rachunkowy.

— Panie redaktorze — powierzył mi się — wyślę mi listę, że jestem się przypochybnym adresem na dotychczasowej sprawie. Proszę o pomoc w kontakcie z tymi mężczyznami, interesując się sportem,

Jestem gotowy zwrócić im się o pomoc i wcale nie chcę im robić kłopotu. Jestem gotowy zwrócić im się o pomoc i wcale nie chcę im robić kłopotu. Jestem gotowy zwrócić im się o pomoc i wcale nie chcę im robić kłopotu.

W tym celu...  
Północnymi umiejętnościami...  
Dokładzenie na str. 2)

► „Głos Wybrzeża” włączył się w bój o Szarmacha, ujawniając praktyki podkupowania zawodników przez kluby

oburzał się, że pięciu zawodników grających w MZKS Arka Gdynia „zostało skaperowanych” z Gdańska i osłabiło w ten sposób drużynę z rodzinnego miasta. Redakcja dziennika odpisała, że zawodnicy wolą grać w lepszych klubach, bo to korzystnie wpływa na ich rozwój, ale jednocześnie zaznaczyła, że każdy transfer powinien być dokładnie uzgodniony z okręgowymi władzami piłkarskimi i kierownictwem klubu. Trudno sobie wyobrazić, jak w praktyce miałyby to przebiegać. Przecież żadna drużyna nie chciałaby się pozbywać najlepszych graczy, tym bardziej że socjalistyczna ideologia nakazywała, by zmiana barw klubowych odbywała się bezprowizyjnie.

młodego gdyńskiego piłkarza interesowało się już wiele polskich klubów”. Jednak działacze Arki uznali, że talent tego bramkostrzelnego zawodnika powinien nadal rozwijać się w ich drugoligowej drużynie. Szarmach, dla którego taki scenariusz oznaczałby stracony sezon, postanowił sam zdecydować o swej sportowej karierze.

19 czerwca 1972 roku do redakcji „Głosu Wybrzeża” zgłosił się kierownik taksówki. „Był podenerwowany, w ręku trzymał bloczek rachunkowy” – relacjonowała dzień później gazeta. Taksówkarz tłumaczył, że wiózł Andrzeja Szarmacha, jego brata oraz „pana ze Śląska” (z bloczka rachunkowego wyczytał, że był to Paweł Piecha



Fot. Stanisław Jakubowski/PAP



➤ Górnicy w Zabrze witają „swojego” brązowego medalistę Andrzeja Szarmacha po powrocie z mistrzostw świata

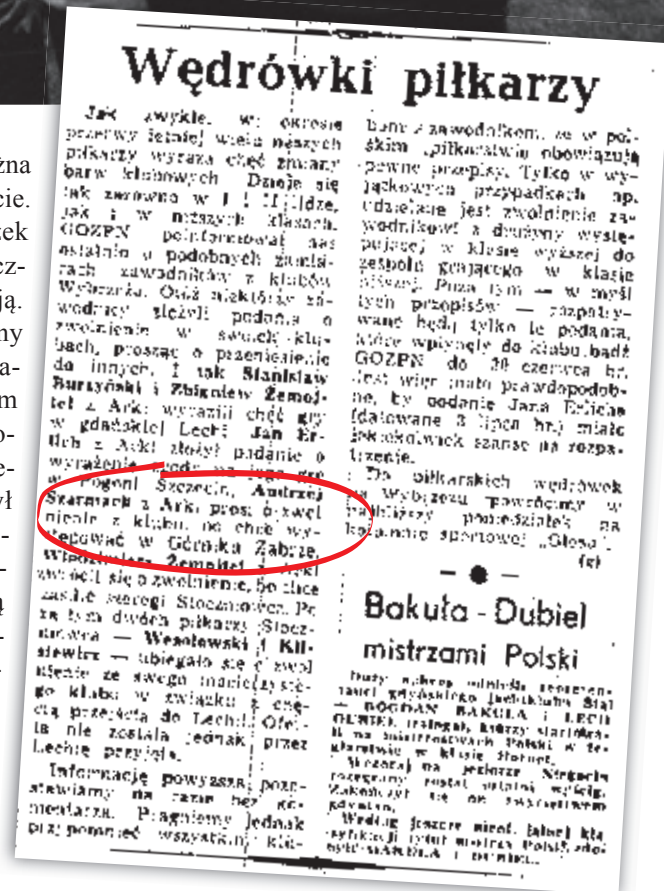
rza. Co gorsze, działo się to w miejscu, które ze sportem nie ma nic wspólnego. Informując o tym, redakcja chciała zwrócić uwagę na wciąż panoszącą się zło”.

**Transfer w peerelowskim stylu**  
Wojnę pomorskich działaczy piłkarskich oraz prasy z „kaperownictwem” zakończyła dopiero wolta sekretarza KW PZPR Tadeusza Fiszbacha. Na spotkaniu z przedstawicielami Gdańskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej i WKKFiT oraz największych klubów sportowych, które odbyło się 10 lipca 1972 roku, stwierdził on, że „sprawa przejścia zawodnika z niższej klasy powinna być naturalnym procesem”. I dodał: „Pozycja Górnika Zabrze, Ruchu [Chorzów] czy przebój poznańskiego Lecha do ekstraklasy nie są wynikiem chciwości, lecz materialnych działań. Ten realizm w określaniu pozycji klubowego zespołu niezbędny jest wielu działaczom”.

Andrzej Szarmach nie zameldował się na letnim zgrupowaniu swojego

klubu w Kartuzach, nie można go było znaleźć w Trójmieście. Gdański Okręgowy Związek Piłki Nożnej ukarał go zaocznie półroczną dyskwalifikacją. Wkrótce potem utalentowany piłkarz „odnalazł się” w Zabrze. Występy w tamtejszym Górniku zapoczątkowały powołaniem Szarmacha do reprezentacji Polski. Zdobył w niej 32 bramki w 61 meczach. W swojej bogatej karierze był m.in. medalistą igrzysk olimpijskich w Montrealu w 1976 roku (król strzelców) oraz mistrzostw świata w RFN (1974) i w Hiszpanii (1982). Występował we francuskich klubach AJ Auxerre (1980–1985), EA Guingamp (1985–1987) i Clermont Foot (1987–1989). W polskich i francuskich drużynach pierwszoligowych zdobył łącznie 203 bramki. ➤

Karol Nawrocki – pracownik OBEP IPN w Gdańsku



➤ Transferom piłkarzy także w PRL towarzyszyły emocje i kontrowersje



# Karawana do marzeń. Wanda Rutkiewicz (1943–1992)

▸ Wanda Rutkiewicz na ścianie w Górach Sokolich w 1968 roku

Joanna Hytrek-Hryciuk

Była niekwestionowaną gwiazdą polskiego i światowego himalaizmu: trzecią kobietą, która zdobyła najwyższą górę świata – Mount Everest; pierwszą na szczycie K2, który uchodzi za najtrudniejszy ze wszystkich ośmiotysięczników. Wzorem Jerzego Kukuczki chciała zdobyć „Koronę Himalajów i Karakorum” – wszystkie czternaście ośmiotysięczników. Kukuczce udało się to w 1987 roku, jej zabrakło sześciu szczytów – w maju 1992 roku zaginęła pod jednym z nich. Wanda Rutkiewicz, bo o niej mowa, gdyby żyła, 4 lutego skończyłaby siedemdziesiąt lat.

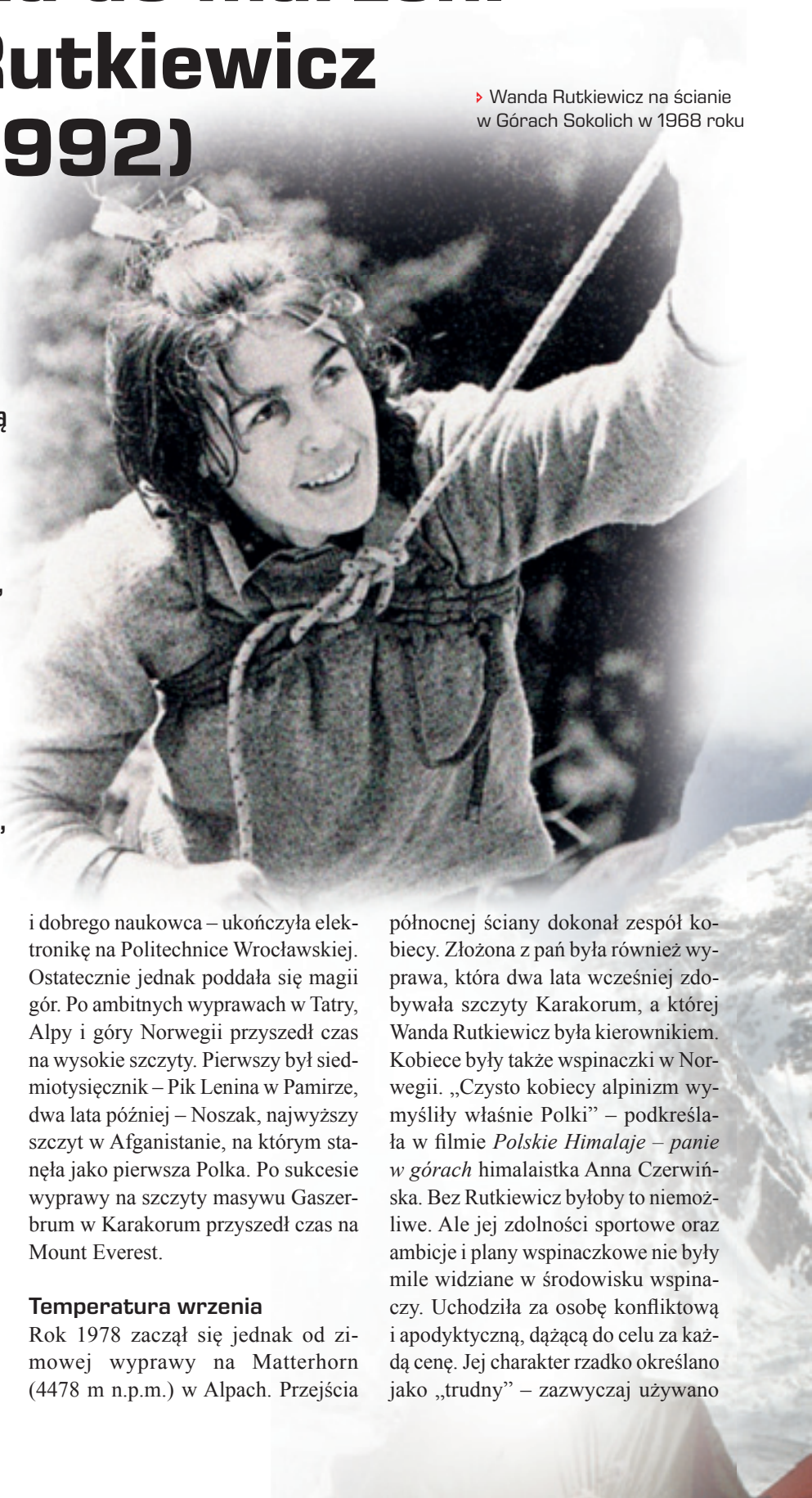
**S**ukiennice to nazwa grupy granitowych skał w zachodniej części Sudetów. Krótko po tym jak po II wojnie rodzina Wandy w wyniku zmiany granic musiała przenieść się z Plungian na Litwie do Łańcuta, a następnie do Wrocławia, pasmo górskie, w którym znajdowały się Sukiennice, zmieniło nazwę z Landeshuter Kamm na Rudawy Janowickie. Był to element repolonizacji regionu. W latach sześćdziesiątych debiutowała tam także Wanda Rutkiewicz, wówczas jeszcze Błaszkiwicz. Zapowiadała się na świetną siatkarkę

i dobrego naukowca – ukończyła elektronikę na Politechnice Wrocławskiej. Ostatecznie jednak poddała się magii gór. Po ambitnych wyprawach w Tatry, Alpy i góry Norwegii przyszedł czas na wysokie szczyty. Pierwszy był siedmiotysięcznik – Pik Lenina w Pamirze, dwa lata później – Noszak, najwyższy szczyt w Afganistanie, na którym stała jako pierwsza Polka. Po sukcesie wyprawy na szczyty masywu Gaszerbrum w Karakorum przyszedł czas na Mount Everest.

## Temperatura wrzenia

Rok 1978 zaczął się jednak od zimowej wyprawy na Matterhorn (4478 m n.p.m.) w Alpach. Przejścia

północnej ściany dokonał zespół kobiety. Złożona z pań była również wyprawa, która dwa lata wcześniej zdobywała szczyty Karakorum, a której Wanda Rutkiewicz była kierownikiem. Kobięce były także wspinaczki w Norwegii. „Czysto kobiety alpinizm wymyśliły właśnie Polki” – podkreślała w filmie *Polskie Himalaje – panie w górach* himalaistka Anna Czerwińska. Bez Rutkiewicz byłoby to niemożliwe. Ale jej zdolności sportowe oraz ambicje i plany wspinaczkowe nie były mile widziane w środowisku wspinaczy. Uchodziła za osobę konfliktową i apodyktyczną, dążącą do celu za każdą cenę. Jej charakter rzadko określano jako „trudny” – zazwyczaj używano





bardziej dosadnych słów. Podczas wyprawy w góry Karakorum Rutkiewicz, wówczas kierownik wyprawy, stanęła przed nie lada dylematem pogodzenia interesów zespołu kobiecego i męskiego. Atmosferę wyprawy doskonale oddaje tytuł filmu dokumentalnego w reżyserii Andrzeja Zajączkowskiego – *Temperatura wrzenia* (1975). „Nie dbałam o formy – tłumaczyła Rutkiewicz w udzielonym Barbarze Rusowicz wywiadzie rzece. – Myślę, że gdybym była po prostu miłsza, problem by nie powstał. Ale ja nie umiem grać [...] obce mi są kobiece sztuczki”.

Nastroje podczas wyprawy na Mount Everest nie były lepsze. Polska alpinistka była członkiem niemiecko-szwajcarskiej ekipy wspinaczy. Na szczycie najwyższej góry świata stanęła 16 października 1978 roku. Wydawało jej się, że z wierzchołka widać krzywiznę ziemi, a szczyty otaczające Everest są od niego wyższe. Rutkiewicz osiągnęła wierzchołek około 14.00. Cztery godziny później

ogłoszono decyzję rzymskiego konklawe – krakowski metropolita, kard. Karol Wojtyła został wybrany na papieża. Rok później himalaistka podarowała mu kamyk ze szczytu Everestu. Do historii przeszedł komentarz Jana Pawła II: „Dobry Bóg sprawił, że jednego dnia stanęliśmy tak wysoko”.

### Wanda, Edmund, Tenzing

Prasa w Polsce żyła informacjami z Watykanu oraz trwającym w Olsztynie forum PRL-RFN. W „Życiu Warszawy” wiadomość, że Polka podejmuje próbę ataku na szczyt Everestu, zamieszczono wśród innych wiadomości sportowych, wewnątrz numeru. Notatkę o próbie bicia polskiego rekordu wysokości wyprzedziła m.in. informacja o radzieckich kosmonautach, którzy rekord już pobili: w stanie nieważkości przebywali aż 123 dni. Wiadomość o sukcesie wyprawy (na szczyt weszło łącznie siedemnaście osób) pierwsza podała agencja Associated Press. Wkrótce „radość

z sukcesu” ogłosiły gazety w Polsce: „Trybuna Ludu” cytowała słowa przewodniczącego Polskiego Związku Alpinizmu, Andrzeja Paczkowskiego (dziś profesor historii, członek Rady IPN), który porównał wyczyn Rutkiewicz do pierwszego wejścia na Everest Edmunda Hillary’ego i Tenzinga Norgaya. Dziennikarz „Życia Warszawy” podkreślał z kolei, że był to rok alpinistycznych sukcesów. Informację o wyczynie Polki zamieściła nawet opiniotwórcza „Polityka”. Notka liczyła zaledwie cztery wiersze, z czego w dwóch była mowa o gratulacjach od premiera Piotra Jaroszewicza.

Dobra passa polskich wspinaczy była na rękę władzy „ludowej”: odwracała uwagę od problemów i zaspokajała głód sukcesów na arenie międzynarodowej. Tłum dziennikarzy czekał też na Okęciu na powrót Rutkiewicz do Polski. Himalaistka szczerze opowiadała reporterom o swoim strachu, euforii, zmęczeniu oraz obawach kolegów, że jako kobieta będzie dla wyprawy ▶

▶ Wanda Rutkiewicz podczas wyprawy na K-2 (w tle) w 1982 roku

## Widziane z bliska

Tak się złożyło, że lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XX wieku, gdy byłem prezesem Polskiego Związku Alpinizmu, należały do najlepszych w dziejach polskiego himalaizmu, w czym, oczywiście, nie było mojej zasługi. Nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, skąd wziął się ten impet. Niekiedy mówiono o charakterze narodowym, przypomniano husarię lub szarżę pod Somosierrą. Kiedy indziej – o tym, że alpinizm był sposobem ucieczki od szarej rzeczywistości PRL, co motywowało do jego uprawiania. Faktem jest tylko to, że rzeczywiście mniej więcej od połowy lat siedemdziesiątych przez jakieś dwadzieścia lat polscy wspinacze należeli do ścisłej światowej czołówki, wymyślili lub promowali himalaizm zimowy (pomysł Andrzeja Zawady) i himalaizm kobiecy, który był głównie dziełem Wandy Rutkiewicz. Odbywało się to wszystko w specyficznych warunkach: złotówka była niewymienialna, paszporty dostawało się „po uważaniu” SB, w Polsce nie produkowano nowoczesnego sprzętu i nikt go nie sprowadzał do sklepów. Trudno było nawet kupić żywność (a w 1981 roku pojawiły się przecieży kartki). Jednak zgodnie z gierkowskim hasłem „Polak potrafi!”, przeszkody te udawało się usunąć lub (częściej) ominąć, a niektórzy himalaistki (i himalaistki, nie wyłączając Wandy) nawet zarabiali na wyprawach, handlując hinduskimi ciuchami czy afgańskimi kozuchami. Aby zdobyć środki, bezczelnie wykorzystywano różne inicjatywy partyjno-państwowe (jak Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży) i śmiało wchodziło w „biznesowe” układy, podejmując np. prace wysokościowe. Sukcesy owocowały zainteresowaniem władzy, której zależało na ich propagandowym wydźwięku. Dziesiątki himalaistów otrzymały medale „Za wybitne osiągnięcia sportowe”, a zdarzyły się nawet talony na małe fiaty (za zimowe wejście na Everest!). Budżet państwa skromnie, ale jednak dosyć systematycznie wspierał wyprawy, przede wszystkim tzw. wyprawy narodowe. Choć w środowisku alpinistycznym wiele osób – i to z czołówki – było zaangażowanych w działalność opozycyjną i w Solidarność, nie miało to większego wpływu na stosunek władz sportu ani do Związku, ani do wypraw: pożytek z ich sukcesów był ważniejszy. Nie było to jednak żadną ochroną. Najwyższy wyrok w stanie wojennym (dziesięć lat więzienia) dostała Ewa Kubasiewicz, ówczesna wiceprezes Klubu Wysokogórskiego Trójmiasto. I tak to się jakoś – to znaczy: wspaniale – kręciło. Ot, PRL w kropli wody.

Andrzej Paczkowski

ciężarem. W jednym z wywiadów Rutkiewicz rzuciła, że ma dość wypraw w góry wysokie i zamierza wspinanie potraktować bardziej... rekreacyjnie. Wkrótce jednak alpinizm stał się dla niej zawodem: zaczęła udzielać wywiadów, pisać książki, kręcić filmy, wygłaszać prelekcje.

## Ze szczytu na szczyt

W 1980 roku wyjechała do Austrii, gdzie po raz kolejny próbowała uporządkować życie prywatne: pierwsze małżeństwo z Wojciechem Rutkiewiczem zakończyło się po trzech latach. W Austrii podjęła drugą próbę: została żoną chirurga i alpinisty Helmuta Scharfettera. W Innsbrucku zastał ją też stan wojenny. Środowisko polskich wspinaczy było silnie związane z opozycją (wspinali się przecież Janusz Onyszkiewicz i Henryk Wujec). Także Rutkiewicz poparła NSZZ „Solidarność” – jako jedna z pierwszych, zapisała się do związku, jeszcze będąc pracownikiem warszawskiego Instytutu Maszyn Matematycznych.

Choć nie sprzyjała temu ani sytuacja polityczna (stan wojenny), ani stan zdrowia (w 1981 roku podczas wspinaczki na kaukaskim Elbrusie złamała nogę i nie mogła samodzielnie chodzić), zdecydowała się kontynuować przygotowania do wyprawy na K2. Zgodę władz PRL na wyjazd dwunastu alpinistek oraz równoległe działającej wyprawy męskiej określiła jako „próbę zachowania pozorów normalności”. Szczytu nie udało się zdobyć. W czasie wyprawy zmarła Halina Krüger-Syrokomska, partnerka ze wspinaczek w Norwegii i wyprawy na Gaszerbrum. Wanda Rutkiewicz nie wspięła się podczas tego wyjazdu – nadal musiała poruszać się o kulach, ale mimo tego przeszła lodowiec Baltoro, aby dotrzeć do bazy wyprawy. Było to nie lada wyczynem i świadczyło o olbrzymim uporze.

Dwa lata później noga była już zdrowa, życie prywatne znowu legło w gruzach (związku z Scharfetterem nie udało się utrzymać), a Rutkiewicz,

razem z Krystyną Palmowską i Anną Czerwińską, zdobyła Nanga Parbat w Himalajach. Do 1990 roku weszła na szczyty kolejnych sześciu ośmiotysięczników, m.in. K2. Tak narodził się pomysł „Karawany do marzeń” – plan wejścia na pozostałych osiem wierzchołków w ciągu niespełna... dwóch lat. Sztuka zdobycia wszystkich czternastu ośmiotysięczników udała się wówczas zaledwie jednemu Polakowi – Jerzemu Kukuczce, który w chwili rozpoczęcia „Karawany...” już nie żył: zginął, wspinając się na południowej ścianie Lhotse. Plan Rutkiewicz łamał dotychczasowy schemat uczestnictwa w wielkich międzynarodowych wyprawach. Himalaistka planowała przemieszczanie się ze szczytu na szczyt, co pozwoliłoby na oszczędność pieniędzy, sił i czasu; miała już przecież 47 lat. We wrześniu 1991 roku stanęła samotnie na szczycie Czo Oju; zaledwie miesiąc później na Annapurnie.

## Uciec jak najwyżej

12 maja 1992 roku meksykański himalaista Carlos Carsolio i Rutkiewicz wspinali się razem na szczyt Kanczendzongi na granicy Indii i Nepalu. Meksykanin wszedł na szczyt. Nie wiadomo, co się stało z Polką; do dziś nie odnaleziono jej ciała.

W ubiegłym roku minęło dwadzieścia lat od tragedii w Himalajach. Aby upamiętnić tę rocznicę, na symbolicznym cmentarzu pod Osterwą w Tatrach Słowackich umieszczono tablicę poświęconą Wandzie Rutkiewicz: „Na zawsze została pod Kanczendzongą”. Jej „Karawanę do marzeń” zrealizowała trzy lata temu hiszpańska himalaistka Eurne Pasaban. 🇵🇸

Wykorzystane w tekście cytaty pochodzą z książki Barbary Rusowicz *Wszystko o Wandzie Rutkiewicz. Wywiad-rzeka*, Toruń, Piła 1992.

dr Joanna Hytrek-Hryciuk – pracownik OBEP IPN we Wrocławiu, autorka książki *„Rosjanie nadchodzą!”. Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948* (2010)



# Jak studenci wywalczyli swoją Solidarność

Michał Siedziako

**Strajki sierpniowe z 1980 roku, zakończone podpisaniem porozumień między uczestnikami protestu a władzami PRL, rozpoczęły wyjątkowy okres w historii Polski. W ślad za robotnikami, którym udało się wywalczyć niezależne, samorządne związki zawodowe, o swoje prawa zaczęły upominać się także inne grupy społeczne – w tym studenci.**

**Z**gromadzona pod bramą Stoczni Gdańskiej im. Lenina grupa studentów (wśród nich byli późniejszy premier Donald Tusk i pisarz Paweł Huelle) 27 sierpnia 1980 roku ogłosiła apel, w którym zadeklarowała solidarność ze strajkującymi stoczniovcami i poparcie dla ich postulatów. Studenci żądali także przywrócenia autonomii szkołom wyższym i utworzenia „niezależnej, samorządnej organizacji studenckiej o charakterze apolitycznym”. W kolejnych tygodniach na uczelniach w całej Polsce zaczęły powstawać komitety założycielskie nowego studenckiego stowarzyszenia, które miało być przeciwwagą dla reżimowego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP).

**Związek zawodowy studentów**  
Delegaci niezależnych struktur studenckich po raz pierwszy spotkali się 22 września w Warszawie. Podczas dyskusji zarysowały się dwie koncepcje przyszłego działania. Pierwsza, wysuwana przez stołecznych studentów, po-

pieranych przez gdańszczan, zakładała powołanie jednolitej, ogólnopolskiej organizacji. W myśl drugiej, lansowanej przez środowisko krakowskie, nowe stowarzyszenie miało rejestrować swoje struktury na poziomie uczelnianym, na ogólnopolskim zaś tworzyć luźną fede-

rację. Poparcie zyskała koncepcja warszawska. Podczas zjazdu 18 i 19 października przyjęto nazwę – Niezależne Zrzeszenie Studentów, uchwalono statut i wybrano jedenastoosobowy Ogólnopolski Komitet Założycielski (OKZ), który miał się zająć rejestracją zrzeszenia. ➤



Fot. AIPN

➤ Wejście główne do gmachu Collegium Novum Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu podczas strajku studenckiego w sprawie NZS; na szybach plakaty z napisami m.in. „NZS”, „Podajcie nam palec a my wywarzymy wam rękę”, „Strajk solidarnościowy z Łodzią”, 8–18 lutego 1981 roku



Fot. AIPN

➤ Studenci UAM przygotowują hasła strajkowe; po lewej, za studentem leży karta z napisem „Prosimy o pomoc żywnościową”, na stole przy koszyku częściowo widoczny „Prawda ważniejsza od spokoju”, student maluje „Dlaczego strajkujemy – prawda jest ważniejsza od spo...”, a studentka – „Strajk jest złem koniecznym – zło konieczne jest potrzebą – potrzeba służy dobru”, 8–18 lutego 1981 roku



Fot. AIPN

► Strajkujący studenci w okupowanej sali na Uniwersytecie Łódzkim; 1981 rok

Wniosek o zarejestrowanie „niezależnego, samorządnego związku zawodowego studentów” OKZ złożył w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie 20 października 1980 roku. Sąd aż do 13 listopada zwlekał z podjęciem decyzji, a następnie wniosek odrzucił, tłumacząc, że studenci – nie będąc pracownikami ani pracodawcami – nie mogą założyć związku zawodowego. „Formą zrzeszania się młodzieży studiującej są organizacje młodzieżowe, a nie związki zawodowe” – napisano w uzasadnieniu. Osobowość prawną takim organizacjom mógł zaś nadać tylko minister nauki i szkolnictwa wyższego. Tego samego dnia pełniący tę funkcję Janusz Górski zaproponował studentom podjęcie rozmów.

### Gra na zwłokę

Negocjacje rozpoczęły się 15 listopada. Przedstawiciele OKZ NZS postulowali zmianę rozporządzenia ministra szkolnictwa wyższego z 1960 roku o organizacjach studenckich. Ich zdaniem, należało znieść wymóg uzyskania opinii władz uczelni przy rejestracji nowych organizacji, a także zmienić sposób nadzoru nad nimi i obowiązującą dotychczas, zbyt prostą procedurę ich rozwiązywania.

Rozmowy trwały kilka tygodni, strona ministerialna wyraźnie grała na zwłokę: minister Górski nie podpisał komunikatu

końcowego po spotkaniu z przedstawicielami NZS 17 listopada, a na kolejnym, 24 listopada, przedstawił projekt odbiegający od wcześniejszych ustaleń.

Wobec ciągłego odwoływania rejestracji studenci podjęli 27 listopada strajk okupacyjny w siedzibie rektoratu Uniwersytetu Warszawskiego w Pałacu Kazimierzowskim. Do strajkujących, którym przewodziła Małgorzata Drewiczewska, przybył minister, ale rozmowy przyniosły jedynie obietnicę wprowadzenia nowego rozporządzenia w życie do 20 grudnia 1980 roku.

Po zakończeniu protestu OKZ złożył w Sądzie Najwyższym odwołanie od odmownej decyzji Sądu Wojewódzkiego w Warszawie w sprawie rejestracji NZS. Jednak wobec stanowiska władz studenci nie mieli szans na rejestrację drogą sądową. Pozostawały im negocjacje z ministrem. Porozumienie osiągnięto podczas spotkania 9 grudnia. W jego rezultacie nowe rozporządzenie ministra Górskiego opublikowano 14 stycznia w Dzienniku Ustaw (a więc blisko miesiąc po obiecany wcześniej terminie).

Dwa dni później do Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki wpłynął wniosek o rejestrację NZS. Ku zaskoczeniu wnioskodawców 22 stycznia ministerstwo zażądało wprowadzenia do statutu piętnastu poprawek, w większości nieistotnych. Zaproponowano m.in. zastąpienie sformułowania „niezawisłość kultury i sztuki” wyrażeniem „swobodny rozwój kultury i sztuki” czy zamianę „organizacji uczelnianej” na „oddział uczelniany”. Odzwierciedlało to, jak słusznie zauważył jeden z liderów OKZ, Jacek Czaputowicz, „sposób myślenia urzędników, którzy rościli sobie prawo do głębokiej ingerencji w statut organizacji studenckiej”. 29 stycznia komitet złożył w ministerstwie poprawiony dokument, ale rejestracji studenci doczekali się dopiero w lutym, pod naciskiem strajków na uczelniach w całym kraju.



Fot. AIPN

► Strajk okupacyjny na Uniwersytecie Łódzkim; widoczne hasła skierowane do ministra Górskiego: „Czy z każdego magistra można zrobić ministra” i „Panie ministrze w czasie obrad będziemy panu patrzyli w oczy – potem już tylko na ręce”; 1981 rok



## „Żądamy natychmiastowej rejestracji NZS!”

Impuls do organizowania protestów wyszedł z Łodzi, gdzie już 6 stycznia 1981 roku na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego studenci ogłosili tzw. solidarne czekanie (uczestniczyli w zajęciach, ale pozostawali na uczelni przez cały czas, także po ich zakończeniu). Ich protest był odpowiedzią na postawę dziekana wydziału, który od 10 grudnia 1980 roku trzykrotnie uchylał się od rozpatrzenia przedstawianych mu postulatów, dotyczących m.in. zmian w programie nauczania – likwidacji praktyk robotniczych, egzaminu z nauk politycznych i lektoratu z języka rosyjskiego. Na czele „solidarnego czekania” stanął Studencki Komitet Jedności (SKJ), w którego skład weszli przedstawiciele NZS, SZSP oraz studentów niezrzeszonych.

7 stycznia rozpoczęły się rozmowy protestujących z rektorem i władzami Wydziału Prawa i Administracji UŁ. Ich klimat tak relacjonował uczestniczący w strajku Adam Hohendorff: „Dziekani usiłują perswadować, że protest jest niesłuszny i że realizacja zgłoszonych postulatów wymaga więcej czasu, że postępujemy jak dzieci, że w 1968 roku był powód do strajkowania, teraz nie ma. Atmosfera dyskusji stała się nie do zniesienia. Dopiero autorytatywny głos przedstawiciela Solidarności utwierdził nas w przekonaniu, że nasz protest jest w pełni uzasadniony”. Po obietnicy rektora, że dwóch przedstawicieli studentów będzie mogło spotkać się z ministrem Górskim, rankiem 11 stycznia zakończono „solidarne czekanie”.

15 stycznia łódzcy studenci przekazali ministrowi swoje postulaty, a termin rozpoczęcia negocjacji ustalono na 21 stycznia. Tego dnia w Łodzi pojawił się jednak tylko zastępca ministra – Stanisław Czajka. Kiedy okazało się, że nie ma on uprawnień do podjęcia wiążących decyzji, SKJ ogłosił strajk okupacyjny, do którego szybko przyłączyły się inne łódzkie uczelnie: Akademia Medyczna, Politechnika Łódzka i Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna. Dalsze negocjacje miała prowadzić Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza (MPK), złożo-



Fot. AIPN

▶ Łódzcy studenci podczas strajku okupacyjnego: pod ścianą miejsca do spania, na ścianie napisy: „Palenie pod karą śmierci zabronione”, „Nie ma takiego mądrego, który by u nas nie zgłupiał!”, „Nie takie góry zdobyliśmy jak minister Górski”, „Kto się boi Górskiego? Czajka, a nie my”, „Nigdy już nie zdarzy się Dziś, które Jutro będzie tylko dalekim Wczoraj”, „Ministrowie stracha mają, gdy studenci UŁ żądają”, „Tu śpi Ewusia i Tereska”, „Tu śpi, strajkuje Romuś”, „Tu śpi Boguś”, „Góra z górą się nie zejdzie, ale studenci z Górskim muszą”, 1981 rok

na z przedstawicieli wszystkich łódzkich szkół wyższych.

Spośród kilkudziesięciu postulatów MKP większość odnosiła się do funkcjonowania uczelni, żądano m.in. wprowadzenia wybieralności władz uczelnianych wszystkich szczebli, wprowadzenia reprezentantów studenckich do rad wydziałowych, instytutowych i senatów, samodzielności programowej szkół wyższych, uznania za fakultatywne przedmiotów takich, jak: ekonomia polityczna, podstawy nauk politycznych, podstawy filozofii i socjologii marksistowskiej, a także zakazu działalności na terenie uczelni Służby Bezpieczeństwa, zmian w szkoleniu woj-



Fot. AIPN

▶ Jednym z postulatów studenckich było ułatwienie wyjazdów za granicę, ale hasła miały także wydźwięk antyrządziecki – na zdjęciu hasło z protestu łódzkiego

skowym studentów i absolwentów, zwiększenia nakładów na szkolnictwo oraz zniesienia obowiązkowej nauki rosyjskiego, obowiązkowych praktyk robotniczych i tzw. punktów za pochodzenie przy rekrutacji na studia.

Odrębną grupę stanowiły tzw. postulaty ogólnospołeczne, wśród których znalazły się m.in. żądania zaprzestania represji wobec działaczy opozycji, pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych brutalnego stłumienia protestów robotniczych w grudniu 1970 i czerwcu 1976 roku, ograniczenia cenzury, swobody korzystania z paszportów, zniesienia systemu nomenklatury czy powołania sejmowej komisji do zbadania nadużyć MO i SB. W tej grupie umieszczono także postulat natychmiastowej rejestracji NZS.

Do Łodzi przybyli przedstawiciele OKZ: Leszek Przysiężny, Piotr Bikont, Barbara Kozłowska, Stefan Cieśla, Wojciech Bogaczyk i Krzysztof Osiński. Początkowo ich kontakty z miejscowymi liderami obfitowały w napięcia i różnice zdań. Do kwestii spornych należały m.in.: udział przedstawicieli SZSP w kierownictwie łódzkich strajków oraz to, kto ma prowadzić rozmowy z władzami. Przedstawiciele „krajówki” w nerwowej atmosferze zagrozili, że odmówią poparcia łódzkiemu protestowi. W odpowie-





Fot. AIPN

► Studenci domagali się także uwolnienia więźniów politycznych, na zdjęciu manifestacja w obronie NZS, 25 maja 1981 roku

dzi łodzianie zarzucili OKZ „działalność destrukcyjną”. W najgorętszym momencie sporu szef komitetu strajkowego na Wydziale Filologicznym UŁ, Wojciech Dyniak, podjął decyzję o zablokowaniu połączeń telefonicznych oraz wejść i wyjść z gmachu zajmowanego przez strajkujących. Wobec delegatów OKZ i paru miejscowych zastosowano na kilka godzin „areszt prewencyjny”. Konflikt udało się zażegnać dzięki mediacji lokalnych działaczy Solidarności, m.in. Jerzego Kropiwnickiego i Benedykta Czumy. W oświadczeniu z 27 stycznia 1981 roku OKZ NZS poparł strajk łódzki i zaapelował do studentów z innych uczelni, aby podjęli akcje solidarnościowe. Dwa dni później rozpoczęły się negocjacje MKP z ministrem Górskim.

Ponieważ trwała przerwa międzysemestralna, wspomniany apel nie od razu zyskał odzew. Najwcześniej, bo już 9 lutego, do zajęć wracali studenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Akademii Medycznej w Warszawie. Tam też zostały podjęte w tym dniu pierwsze strajki na znak solidarności z Łodzią. Akcja protestacyjna szybko rozprzestrzeniła się na kolejne uczelnie – strajki okupacyjne ogłoszono m.in. w Krakowie, Katowicach, Szczecinie i Toruniu. Według ob-

liczeń władz na 86 działających w Polsce uczelni, do strajku włączyło się 29, przy czym w końcowej fazie protestu uczestniczyły już wszystkie „ważniejsze ośrodki akademickie”. Zdaniem historyka Tomasza Kozłowskiego, mogły strajkować nawet 34 tys. studentów (na studiach dziennych w całej Polsce studiowało wówczas ok. 299 tys. osób).

### Jeszcze Polska nie zginęła

Tymczasem przeciągały się negocjacje MKP z ministrem Górskim. Wyraźnie celowo odwlekał on rejestrację zrzeszenia, licząc, że strajki uda się wygasić pustymi obietnicami. Większego sensu nie miały właściwie rozmowy o postulatach *stricte* politycznych, jak np. uwolnienie więzionych za działalność opozycyjną, których realizacja pozostawała *de facto* poza kompetencjami ministerstwa nauki. Pod presją fali strajkowej – rozlewającej się na kolejne uczelnie – minister stopniowo zgadzał się jednak na ustępstwa związane z reformami w szkołach wyższych. 9 lutego zadeklarował, że jest gotów do kompromisu w sprawie lektoratów języków obcych (miałyby nimi zarządzać rady wydziałów poszczególnych uczelni), szkolenia wojskowego (obietnica reformy konsultowanej z przedstawicielami studentów) i ułatwień w dostępie

do paszportów dla studentów. Wciąż bez rozstrzygnięcia pozostawał jednakże postulat najważniejszy – rejestracja NZS.

Władze starały się wymóc na studentach wpisanie sformułowania o kierowniczej roli PZPR do statutu ich niezależnej organizacji. Sprawę próbowano nawet rozgrywać zakulisowo – wicepremier Mieczysław F. Rakowski i minister do spraw związków zawodowych Stanisław Ciosek indagowali w tej kwestii doradcę Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”, Bronisława Geremka, który jednak po rozmowie ze studentami nie poparł postulatów władz. Idąc niejako okólną drogą, 14 lutego minister Górski zażądał od studentów wprowadzenia do statutu NZS punktu mówiącego o tym, że działa ono na podstawie Konstytucji PRL. Ustawa zasadnicza po zmianach z 1976 roku jasno precyzowała, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa jest państwem socjalistycznym”, a „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”. Minister chciał także, aby statut NZS mówił o udziale zrzeszenia w procesie dydaktyczno-wychowawczym i regulował zasady organizowania strajków na uczelni (miałyby to być możliwe za zgodą minimum połowy studentów).

Kompromis udało się wypracować 17 lutego. Tego dnia minister Górski dwukrotnie spotkał się ze studentami. W pierwszym spotkaniu, z przedstawicielami łódzkiej MKP, brali udział także Mieczysław Rakowski i Stanisław Ciosek. Podtrzymano na nim wcześniejsze ustalenia – strajk w Łodzi miał zakończyć się po rejestracji NZS. Na drugim spotkaniu u ministra pojawili się wieczorem reprezentanci OKZ, którzy uprzednio, na zorganizowanym *ad hoc* tego samego dnia zebraniu przedstawiciele 28 uczelnianych struktur zrzeszenia, uzyskali zgodę na wpisanie do statutu, że działa ono na podstawie Konstytucji PRL. Tym samym została zlikwidowana ostatnia przeszkoda na drodze do porozumienia. Kwestie strajków studenckich miała uregulować późniejsza nowelizacja rozporządzenia o organizacjach studenckich. O godz. 22:15 NZS zostało ostatecznie zarejestrowane.



Nazajutrz w Łodzi podpisano porozumienie kończące strajk. Atmosferę towarzyszącą temu wydarzeniu oddaje wpis w pamiętniku Jadwigi Kowalczyk, ówczesnej studentki łódzkiej Akademii Medycznej: „Wszyscy powstajemy z krzesel, ale to nie wystarczy, więc zrzucamy buty i wchodzimy na krzesła – bijemy brawo, wznosimy radosne okrzyki. I nagle cisza, a po chwili ktoś intonuje »Jeszcze Polska...«, więc schodzimy z krzesel i głośno, równo, z harmonią głosów męskich i żeńskich śpiewamy hymn narodowy. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie słyszałam hymnu śpiewanego z takiej potrzeby, z takiego zaangażowania wewnętrznego”.

W pierwszym punkcie podpisanego dokumentu czytamy: „Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki akceptuje i gwarantuje niezależność uczelni w sprawach naukowych, dydaktycznych i wewnątrzorganizacyjnych”. Studentom udało się wynegocjować m.in. zgodę na wejście ich przedstawicieli do ciał kolegialnych uczelni w proporcji 1:3, obietnicę konsultacji z organizacjami studenckimi projektów dotyczących ich ustaw czy swobodny wybór co najmniej dwóch lektoratów z języka obcego spośród wykazu przedstawionego przez władze poszczególnych uczelni. Minister zobowiązywał się też m.in. do uchylecia do końca maja 1981 roku rządowej uchwały o studenckich praktykach robotniczych i do wystąpienia o zwiększenie od 1982 roku udziału szkolnictwa wyższego w podziale dochodu narodowego o 0,1 proc.

Znaczna część postanowień porozumienia zawierała jednak mgliste oświadczenia strony rządowej i stwierdzenia, jakoby to, co postulują studenci, w istocie zbiegało się ze stanem faktycznym lub też było w trakcie realizacji. Mało konkretnych ustaleń i wiele stanowisk rozbieżnych zawierała część porozumienia dotycząca postulatów „ogólnospołecznych”.

### „Bezkarne działanie sił kontrrewolucyjnych”

Taki kształt porozumienia dla wielu studentów nie był satysfakcjonujący. Dlatego choć MKP wezwwała do

zakończenia strajków, na niektórych uczelniach, m.in. w Poznaniu, Krakowie, Warszawie i Szczecinie, postanowiono kontynuować akcję. Strajkujący w szczecińskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej wyjaśnili w komunikacie, że – ich zdaniem – środowisko studenckie nie powinno ograniczać się do postulatów związanych ze szkolnictwem wyższym, ale żądać także wolności dla więźniów politycznych, ukarania winnych wydarzeń z marca 1968, grudnia 1970 i czerwca 1976 roku, nowej ustawy o cenzurze oraz swobody wyjazdów poza granice kraju (sprawy te nie zostały rozstrzygnięte w porozumieniu łódzkim). Dalej stwierdzano: „Studenci jako pełnoprawni członkowie społeczeństwa i przyszła inteligencja narodu, są szczególnie upoważnieni do zabierania głosu w tych sprawach. Realizacja wymienionych żądań jest konieczna dla procesu rzeczywistej odnowy. Jesteśmy moralnie zobowiązani do wzięcia udziału w walce o demokrację”.

Choć nie wszyscy studenci byli zadowoleni z porozumienia, z punktu widzenia władz zawierało ono jednak duże ustępstwa. Liderzy PZPR, którzy na przełomie lutego i marca 1981 roku brali udział w XXVI Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, zostali zresztą za nie skrytykowani przez samego Leonida Breżniewa. Jak wspominał gen. Wojciech Jaruzelski, od 11 lutego premier PRL, „towarzyszom ze Wschodu” nie podobała się już sama rejestracja NZS. Mieli oni jakoby namawiać polskich przywódców do „zdecydowanego kontrnatarcia” wobec „bezkarnej działalności sił kontrrewolucyjnych”.

Do ostatecznego wygaszenia protestów przyczynił się Mieczysław Rakowski, który 18 lutego obiecał przedstawicielom OKZ NZS dalsze rozmowy. Po tym spotkaniu OKZ zaapelował do wszystkich uczelni w kraju o zakończenie strajków. Następnego dnia komitet strajkowy NZS UAM w Poznaniu zawiesił protest do czasu osiągnięcia porozumienia na szczeblu ogólnopolskim. W oświadczeniu skrytykował porozumienie łódzkie, stwierdzając jednocześnie, że należy dać rządowi



Fot. AIPN

► Ściana jednego z uczelnianych budynków, oblepiona hasłami strajkowymi, 1981 rok

szansę na podjęcie dalszych negocjacji „w atmosferze spokoju i pracy Uczelni” (w taki sposób spełnienie wspomnianej obietnicy uwarunkował zresztą wicepremier). Na zakończenie ostrzegano: „Jeśli jednak nadzieja ta [na porozumienie], zawiędzie będziemy musieli powrócić do akcji strajkowej”. W ślad za Poznaniem strajki zawiesiły inne uczelnie.

Mimo że nie udało się uzyskać porozumienia w wielu ważnych kwestiach, bilans strajków lutowych był dla studentów korzystny. Organizacje uczelniane NZS mogły sprawdzić się w działaniu, atmosfera strajków służyła integracji środowiska. I co najważniejsze – po wielu miesiącach udało się zalegalizować Niezależne Zrzeszenie Studentów. Studenci wywalczyli swoją Solidarność. 🍀

Michał Siedziako – politolog, pracownik OBEP IPN w Szczecinie, zajmuje się m.in. wyborami oraz opozycją demokratyczną w PRL

# Egzekucja w obiektywie

Paweł Sasanka

**Wojna w Wietnamie pokazała, że zdjęcia mogą być najpotężniejszą bronią na świecie.**

**B**ył 1 lutego 1968 roku. Dwa dni wcześniej, w dniu święta Tet (od którego pochodzi nazwa ofensywy, jednego z najważniejszych epizodów wojny wietnamskiej), oddziały regularnej armii północnowietnamskiej i Wietkongu przeprowadziły serię zaskakujących ataków we wszystkich większych miastach Południowego Wietnamu, leżących na południe od strefy zdemilitaryzowanej wzdłuż 17. równoleżnika. Walki trwały także w centrum Sajgonu. Kilkudziesięcioosobowe oddziały Wietkongu – żołnierzy w cywilnych ubraniach lub przebranych w policyjne mundury, prowadzonych przez znających miasto przewodników – próbowały z zaskoczenia zdobyć kluczowe obiekty, m.in. pałac prezydencki, ambasadę amerykańską, kwaterę główną marynarki wojennej, szefostwo połączonych sztabów i budynek Radia Sajgon.

## Wojna wkracza do domów

Na oczach fotoreportera Associated Press Eddie'ego Adamsa i operatora telewizji NBC Vo Suu rozegrał się dramat. Przed ich obiektywami stał w cywilnym ubraniu bezbronna mężczyzna ze skrzepowanymi rękami, którego twarz wykrzywiła się w straszliwym grymasie w momencie, w którym mierzący w jego głowę żołnierz pociągnął za spust. Zabójcą okazał się później generał południowowietnamskiej policji Nguyễn Ngọc Loan, wpływowy, znany z okrucieństwa i stosowania tortur, nazywany postrachem Sajgonu.

Fotografia uwieczniająca moment egzekucji obiegła świat, stała się wstrząsającym dowodem bezsensowności i brutalności wojny wiet-

namskiej, a jej autor Eddie Adams otrzymał Nagrodę Pulitzera i World Press Photo. Wraz z wieloma innymi przejmującymi zdjęciami był to kolejny przykład na to, że sugestywność i siła oddziaływania fotografii i obrazu są wielokrotnie większe niż słowa pisanego. Wprawdzie pod względem militarnym ofensywa Tet zakończyła się klęską komunistów, ale za sprawą kadrów takich jak ten zmienił się stosunek amerykańskiego społeczeństwa do wojny wietnamskiej, postrzeganej coraz częściej jako brudna wojna. Emocjonalna reakcja mediów jeszcze spotęgowała szok w Ameryce. Wcześniej wojna rozgrywała się gdzieś daleko, poza południowowietnamskimi miastami, a dziennikarze widzieli rzeczywistą walkę z rzadka, musieli jej szukać sami. Teraz byli wstrząśnięci przerażającą bliskością bitwy prowadzonej na ich oczach, kilka kroków od hoteli, w których mieszkali. To za ich sprawą wojna, głównie poprzez ekran telewizorów, wtargnęła do milionów amerykańskich domów, otwierając nowy rozdział historii fotografii prasowej.

## Zabić aparatem

Wspomniane zdjęcie mówi wiele o charakterze medium, jakim jest fotografia. Skłania do refleksji nad jej siłą oraz obiektywizmem, bezstronnością i prawdziwością, wbrew popularnemu przekonaniu, że „obraz jest obiektywnym zapisem wydarzenia z przeszłości”. Patrząc na zdjęcie, zwłaszcza dramatyczne, często mamy świadomości, że aparat fotograficzny nie jest narzędziem bardziej neutralnym niż niegdyś maszyna do pisania, a dziś komputer z edytorem



tekstu, bo we wszystkich tych przypadkach decydują osobiste poglądy i przekonania twórcy. Wielu fotografów wierzy, że ich obowiązkiem jest zrobienie zdjęcia i powiedzenie prawdy, tak jak ją pojmują. Równocześnie, podobnie jak w wielu innych profesjach, zachowanie obiektywizmu pozostaje ideałem niedościgłym, a czasem wręcz niepożądanym. Pomijając już sytuacje, w których fotografia nabiera znaczenia wbrew intencjom autora, równie często była, jest i będzie wykorzystywana jako narzędzie propagandy w celu kształtowania opinii.

Obraz przedstawiający wojskowego zabijającego z zimną krwią bezbronnego cywila szokował. Niemniej – w żadnym razie nie usprawiedliwiając samego zabójstwa – nie mówił nic o poprzedzających wydarzenia i ofierze, którą nie był przypadkowy cywil, lecz walczący chwilę wcześniej żołnierz bez munduru. Ofiarę zabitą na zdjęciu zidentyfikowano później jako oficera Wietkongu Nguyễn Văn Lêma, po raz ostatni widzianego przez żonę przed rozpoczęciem ofensywy Tet. Nigdy nie wyjaśniono okoliczności towarzyszących egzekucji. Według wersji, która w jakimś stopniu usprawiedliwiała czyn gen. Nguyễn Ngọc Loana, widoczny na zdjęciu rozstrzelany człowiek dowodził oddziałem śmierci, który tego dnia zamordował kilkudziesięciu oficerów południowowietnamskiej policji i członków ich rodzin, a pojmano go w pobliżu



ciał ofiar, wśród których byli krewni podwładnych Nguyễn Ngọc Loana, w tym kilkoro dzieci. Według innej wersji, Nguyễn Văn Lém był zwykłym oficerem politycznym.

Eddie Adams, autor jednego z najsłynniejszych zdjęć ilustrujących okrucieństwo wojny, miał później poczucie, że fotografia nabrała znaczenia

wbrew jego intencjom, i miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Mówił: „Na tej fotografii zginęły dwie osoby: ta, która ginie od kuli, i gen. Nguyễn Ngọc Loan. Generał zabił żołnierza Wietkongu, ja zabiłem generała moim aparatem. Fotografie są najpotężniejszą bronią na świecie. Ludzie ufają zdjęciom, ale fotografie naprawdę mogą kłamać, nawet niezmanipulowa-

ne. Są tylko półprawdami. Moja fotografia nie mówiła nic o tym: »Co byś zrobił, gdybyś był generałem w tym miejscu i czasie i gdybyś złapał tego, który przed chwilą zabił dwóch lub trzech Amerykanów?«”.

### Od generała do kucharza

Oriana Fallaci, włoska dziennikarka i pisarka, która zdobyła sławę jako au-



Fot. PAP

**miejsce:** Sajgon, Wietnam  
**data:** 1 lutego 1968 roku  
**autor:** Eddie Adams  
**widoczne osoby:** gen. Nguyễn Ngọc Loan, oficer Wietkongu Nguyễn Văn Lém  
**uwagi:** Nagroda Pulitzera i World Press Photo

torka wielu wywiadów z wybitnymi politykami, a od 1967 roku pracowała jako korespondent wojenny w Wietnamie, rozmawiała z gen. Nguyễnem trzy miesiące przed egzekucją dokonaną przez niego w błysku fleszy. Po latach nie kryła, że czuła wówczas wobec rozmówcy pogardę i nienawiść. Miała wrażenie, że uwiedziony przez władzę generał zachowuje się, jakby lubił to, co robi. Wspominała, że przed publikacją francuskiego wydania jej książki o Wietnamie słynne zdjęcie stało się powodem jej kłótni z wydawcą. Chciał on umieścić je na okładce, ona jednak uważała, że zdjęcie Nguyễna zabijającego żołnierza Wietkongu piętnuje zbrodnie dokonane tylko przez jedną stronę, co nie będzie odpowiadało treści książki poświęconej podłożom, do których dochodziło po obu stronach konfliktu. Zdjęcie ostatecznie znalazło się na okładce książki.

Przypadek sprawił, że Fallaci spotkała po latach człowieka, który w Sajgonie napawał ją obrzydzeniem. Nguyễn Ngoc Loan prowadził wraz z żoną tanią restaurację na przedmieściu Burke w Wirginii w Stanach Zjednoczonych. Gdy go zobaczyła, odniosła wrażenie, że w jego położeniu było coś niesamowitego, upokarzającego, jakby spotkała go kara dotkliwsza od cierpień, gdy został ranny, a nawet od śmierci. Według niej, „musiał to rozumieć, skoro stał tak z gniewną rezygnacją i pośpiesznie wkładał do kieszeni pieniądze, jakby zawstydzalo go przyjmowanie napiwku”.

Po wyjściu ostatniego klienta zaczęli rozmawiać i poznała jego dalsze losy.

Kilka miesięcy po powstaniu słynnego zdjęcia został ciężko ranny, amputowano mu nogę. Według niego, TO zdjęcie stało się znane w Sajgonie dopiero w 1971 roku, gdy książka Fallaci z NIM na okładce załała miasto. „Była wszędzie: w księgarniach, prywatnych domach, biurach. Mieliśmy ją wszyscy, jak kalendarz” – wspominał, dodając, że Wietkong zaczął używać jej w celach propagandowych, a i jego wrogowie w rządzie posługiwali się nią w walce z nim. Zapamiętał szczególnie dzień, gdy zdjęcie zobaczyły jego dzieci. Wspominał, że nie chciały iść do szkoły, bo „w szkole jest książka, która pokazuje, jak tatuś zabija człowieka, [...] a inne dzieci mówią, że tatuś jest zabójcą. Tatuś nie jest zabójcą, wyjaśniła im żona, jest żołnierzem [...]. Nie, ponieważ żołnierze strzelają do ludzi, którzy strzelają, a tatuś strzelił do człowieka ze związanymi rękami”. Przed końcem tego spotkania Nguyễn Ngoc Loan powiedział, że po wielokrotnym przeczytaniu książki Fallaci, gdy był już opuszczony przez wszystkich, pozabawiony stanowiska i zmuszony do odejścia z armii, zdał sobie sprawę, że miała rację: „Człowiek, który dowodzi, zawsze jest zły. Czyż nie traktują mnie tak, jak ja traktowałem innych, kiedy byłem generałem i naczelnikiem policji? O tym, że ma pani rację, przekonałem się w ostatnich dniach w Sajgonie”. Wraz z jego upadkiem w 1975 roku stracił wszystko, osiadł w Stanach Zjednoczonych i otworzył restaurację, którą prowadził do 1991 roku, gdy jego tożsamość wyszła na jaw. Zmarł w 1998 roku w wieku 67 lat.

W jednej z ostatnich książek poświęconych ofensywie Tet przedstawiono Nguyễna Ngoc Loana jako uczciwego i nieskorumpowanego (co należało do rzadkości) oficera, który zapewnił stabilizację południowowietnamskiego reżimu – nie wspominając wszakże, jakie metody przy tym stosował. Z powodu twardych zabiegów o utrzymanie partnerskiej relacji w stosunkach z amerykańskim sojusznikiem miał się stać dla Amerykanów problemem. Nie zgadzał się na ich prawne uprzywilejowanie w Południowym Wietnamie, nalegał na objęcie wszystkich amerykańskich cywilów lokalną jurysdykcją oraz dbał o zachowanie wyłączności miejscowych władz na aresztowanie i sądenie południowowietnamskich obywateli. Co więcej, Nguyễn Ngoc Loan umiejętnie torpedował zakulisowe próby amerykańskich negocjacji z Wietnamem Północnym za plecami reżimu południowowietnamskiego, co – jak się sądzi – stało się ostateczną przyczyną jego upadku: Amerykanie zmusili go do odejścia.

Eddie Adams zapamiętał, że w czasie ostatniej wizyty w restauracji dawnego generała na przedmieściach Burke w Wirginii na ścianie w toalecie zobaczył napis: „Wiemy, kim jesteś, skurwielu”.

dr Paweł Sasanka – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, twórca i współtwórca wielu wystaw historycznych, autor m.in. książki *Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje* (2006)

W tekście wykorzystano m.in. cytaty pochodzące z książki Oriany Fallaci *Wywiad z władzą*, Warszawa 2012.

## HISTORIA JEDNEGO ZDJĘCIA

To i wiele innych zdjęć (wraz z ich nierzadko mało znanymi historiami) składających się na obraz drugiej połowy „niepłynnego wieku XX” z perspektywy zimnowojennego podziału świata i jego dramatycznych konsekwencji opublikowano w ukazującym się w marcu albumie Pawła Sasanki i Sławomira Stępnia *Zimna wojna. Krótka historia podzielonego świata*, wydanym nakładem Instytutu Pamięi Narodowej.

Powyższym artykułem otwieramy łamy „Pamięci.pl” dla tekstów poświęconych fotografii historycznej. Interesują nas zdjęcia słynne, o często fascynującej, a mało znanej historii. Interesują nas też fotografie nieznanne, z archiwów domowych, przedstawiające wydarzenia historyczne; mogą być nawet nie najlepsze pod względem technicznym, najważniejsze, żeby miały ciekawą przeszłość, np. wspomnienie autora o okolicznościach towarzyszących naciśnięciu migawki. Zapraszamy!



# Podgaje: niewyjaśniona zbrodnia

Maciej Maciejowski

**W Podgajach, niewielkiej wsi koło Pily, pod koniec II wojny światowej zostali zamordowani polscy jeńcy wojenni. Okoliczności ich śmierci do dziś stanowią zagadkę.**

**W** styczniu 1945 roku wojska sowieckie rozpoczęły nową wielką ofensywę przeciwko Niemcom i szybko zbliżyły się do Odry. Umocniona wieś Podgaje (niem. Flederbörn), do której podejście osłaniały rzeka Gwda oraz wielkie masywy leśne i liczne jeziora, była kluczowym punktem niemieckiego oporu w pierwszym okresie walk o Wał Pomorski. W Podgajach znajdowało się ważne skrzyżowanie dróg, którymi pod naporem błyskawicznej ofensywy sowieckiej wojska niemieckie wycofywały się w kierunku Szczecinka, Koszalina i Kołobrzegu. Nic dziwnego, że Niemcy chcieli jak najdłużej zachować ten odcinek w swoich rękach.

Rozpoznaniem obrony niemieckiej na zachodnim brzegu Gwdy oraz ustaleniem sił wroga broniących się w Podgajach miała się zająć 4. kompania 2. batalionu 3. pułku piechoty z walczącej u boku Sowietów 1. Dywizji Piechoty „ludowego” Wojska Polskiego. Kompania ta – licząca ok. siedemdziesięciu, osiemdziesięciu żołnierzy pod dowództwem ppor. Alfreda Sofki – 31 stycznia została otoczona i odcięta od reszty batalionu, a następnie mimo zaciętej obrony rozbita. Z okrążenia wyrwali się tylko dwaj żołnierze: Stanisław Życzynski i Antoni Tytanik, którzy nad ranem 1 lutego dotarli do polskich stanowisk razem z powierzoną im rusznicą przeciwpancerną.

## Makabryczne odkrycie

Do niewoli dostało się około pięćdziesięciu polskich żołnierzy. Ciężko ranni zostali od razu dobiti. Fakt ten potwierdzili później szer. Władysław Gąsiorowski, którego żołnierze niemieccy porzucili na miejscu walki, uznawszy za martwego, i por. Zbigniew Furgała, który zbiegł z niewoli. Według relacji Edwarda Rohatyńskiego, żołnierza, który dotarł do miejsca walki 4. kompanii kilka godzin później, ciała polskich żołnierzy były do tego stopnia zmasakrowane, że konieczna była identyfikacja przy użyciu książeczek wojskowych. Reszta 2. batalionu nie zdołała

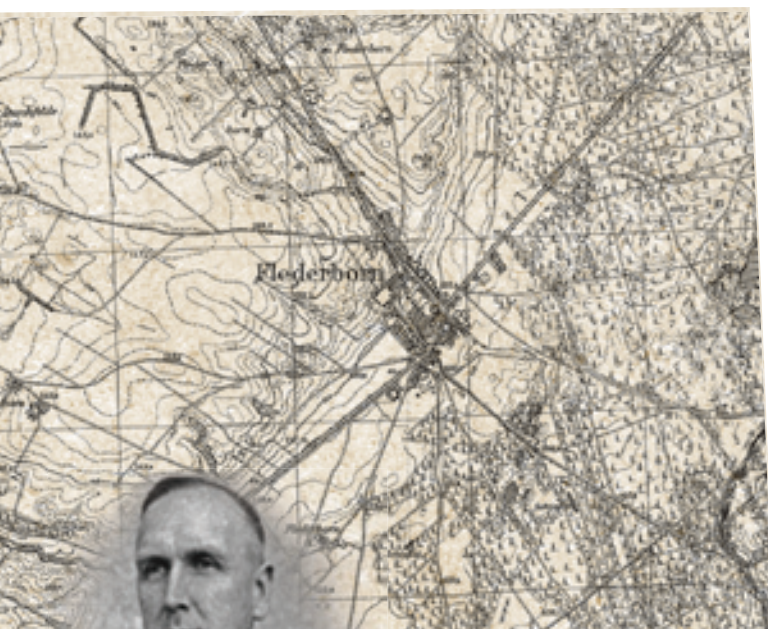


► Pomnik upamiętniający żołnierzy polskich zamordowanych w Podgajach w 1945 roku

przebić się z odsieczą, bo na jej drodze stanął 48. Zmotoryzowany Pułk SS „General Seyffardt” (w jego skład wchodził ochotnicy holenderscy oraz zmobilizowani volksdeutsche z Rumunii i Węgier), podlegający operacyjnie złożonej głównie z Łotyszy 15. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Lettland”.

Po ciężkich walkach (ponad ośmiuset zabitych, rannych i zaginionych) Podgaje zostały zdobyte 3 lutego. Wówczas dokonano makabrycznego odkrycia – w jednej ze spalonych stodół natrafiono na szczątki 32 wziętych do niewoli żołnierzy 4. kompanii. Z przeprowadzonych oględzin wynikało, że jeńcy – powiązani drutem kolczastym oraz łańcuchami – zostali spaleni żywcem (wskazywały na to pęcherze na ciałach oraz unoszący się zapach benzyny). Część stawiła opór, o czym świadczyły przestrzelone czaszki. Szczątki spalonych żołnierzy zostały pogrzebane we wspólnej mogile, a następnie przeniesione do Wałcza – na cmentarz zbiorczy polskich żołnierzy poległych podczas zdobywania umocnień Wału Pomorskiego.

Szczegóły losów polskich jeńców poznano m.in. dzięki relacji wspomnianego por. Zbigniewa Furgały (1926–2009), któremu udało się zbiec z niewoli. Furgała podkreślił, że postanowili uciec, gdy Niemcy skatowali wywołaną ►



► SS-Sturmabführer  
Julius Kilitis

na przesłuchanie grupę żołnierzy: „Po krótkim czasie koledzy nasi, m.in. chorąży Zdzisław Pilawa, wrócili zmasakrowani, z połamanymi nogami i rękami, niektórych przyniesiono. Widząc, że czeka nas to samo, postanowiliśmy zorganizować ucieczkę. Nie było wyboru. Chcieliśmy dać szansę tym, którzy mogli jeszcze o własnych siłach ratować życie”.

Ucieczka, podjęta przez około dwudziestu żołnierzy, udała się tylko Furgale i kapr. Bernardowi Bondziureckiemu, który w części dokumentów figuruje jako Bolesław Bondzielewski (nie przeżył wojny). Pozostałych żołnierzy zamordowano prawdopodobnie w akcie zemsty.

### Sprzeczne wersje

W okresie PRL o zbrodni w Podgajach była mowa w mediach, literaturze popularnonaukowej i naukowej. W 1979 roku m.in. na podstawie relacji por. Furgala powstał sugestywny film fabularny *Elegia* w reżyserii Pawła Komorowskiego ze zdjęciami wybitnego operatora Jerzego Wójcika. Jednocześnie zadziwia, jak niewiele zrobiono w kwestii ustalenia tożsamości zbrodniarzy. Być może stało się tak dlatego, że odpowiedzialność spoczywała przynajmniej częściowo na obcojęzycznych formacjach w służbie III Rzeszy, a to zbyt komplikowało oficjalny obraz Niemców nazistów. Śledztwo w sprawie zbrodni w Podgajach prowadziła Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Koszalinie. Zawiesiła je w roku 1974.

Tymczasem niektórzy autorzy niemieccy postawili tezę, że to Rosjanie są odpowiedzialni za śmierć polskich żołnierzy. Helmut Lindenblatt, autor książki *Pommern 1945*, stwierdził, że Polacy zginęli od strzałów sowieckiej lub

polskiej artylerii podczas ucieczki przez pola otaczające Podgaje. Inni autorzy napomykali, iż ten sam ostrzał mógł spowodować podpalenie stodoły z jeńcami. O ile pierwszą wersję bez trudu można odrzucić, o tyle trudno całkowicie wykluczyć drugą hipotezę (skrępowane ciała znaleziono w spalonej stodole, nie zaś na przedpolu wsi). Wiadomo, że od 1 do 3 lutego 1945 roku Podgaje znalazły się pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim, powodującym niemal całkowite zniszczenie wsi i wielkie straty po stronie Niemców oraz ich sojuszników. Jednak nawet gdyby przyjąć, że Polacy zginęli od ostrzału prowadzonego przez swoich towarzyszy, okoliczności tej tragedii nie zdejmują odpowiedzialności z formacji SS działających w tym rejonie. Umieszczenie skrępowanych jeńców w bezpośredniej strefie frontowej wystawiało ich bowiem na niechybną śmierć.

### Szukanie sprawców

Największą jednostką stawiającą opór 1. Dywizji Piechoty WP w rejonie Podgajów była łotewska 15. Dywizja Grenadierów Pancernych SS „Letland”. Żołnierze tej formacji pochodzili z poboru, a jej kadre wyższą stanowili w większości przedwojenni oficerowie i podoficerowie z czasów niepodległości Łotwy. W okresie zmagania o Podgaje dywizję dowodził urodzony w Walonii Niemiec SS-Oberführer Adolf Ax (1906–1983). W Podgajach znalazł się jednak dopiero wieczorem 2 lutego, by podjąć decyzję o opuszczeniu wsi rankiem następnego dnia. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Koszalinie stwierdza – na podstawie zeznań niemieckiego jeńca Johanna Backhausa – że dowódcą dywizji był gen. mjr Papper. Ten trop należy uznać za błędny, gdyż oficer ten nie występuje w innych dokumentach.

Kadra dowódcza 15. dywizji poniosła duże straty w walkach na linii Łędyczek–Podgaje–Jastrowie. Miało to zapewne wpływ na trudności w odtworzeniu przebiegu wydarzeń związanych ze zbrodnią w Podgajach oraz w identyfikacji odpowiedzialnych za nią osób. 3 lutego 1945 roku w Podgajach zginął szef sztabu mjr Erich Wulff. Tego samego dnia poległo trzech innych wysokich rangą oficerów (Friedrich Rubenis, Hermann Dostmann, Egons Eglite). Ranny został SS-Obersturmbannführer Alberts Viksne, dowódca 34. pułku. Jego miejsce zajął 7 lutego SS-Sturmabführer Julius Kilitis (1902–1961), dotychczasowy dowódca 1. batalionu 34. pułku.

W swoich wspomnieniach dotyczących m.in. walk o Podgaje, opublikowanych w 1956 roku w Kanadzie, Kilitis podaje, że jego batalion wziął do niewoli żołnierzy polskiej 4. kompanii, a następnie przekazał ich Niemcom, którzy mieli zlikwidować jeńców 1 lutego: „Choć wojna ma niewiele wspólnego z ludzkimi uczuciami, odbieram ją jako konieczne i nieuniknione zło. Ale istnieje ogromna różnica między walką twarzą w twarz a zwykłym mordercą. Ogólnie rzecz ujmując, jest to kwestią ludzkiego sumienia, a ja nie chciałem stracić swojego”. Wrażliwość deklarowana przez oficera łotewskiego klóci się z potwierdzonym faktem



dobijania rannych jeńców. Jednak jego relacja potwierdza mord, a nie wersję o przypadkowej śmierci polskich żołnierzy. Oceniając wiarygodność tychże wspomnień, trzeba wszakże zachować ostrożność i uwzględnić, że Kilitis mógł próbować zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Wśród przekazów zgromadzonych w trakcie wieloletniego śledztwa zwraca uwagę relacja byłego robotnika przymusowego w Podgajach, Jerzego Szymańskiego, który przedstawił swoją rozmowę z lotewskim dezerterskim służącym w sztabie Dywizji „Letland”. Dezerterski ten na początku lutego 1945 roku zeznał, że sprawcami mordu byli jego rodacy, którymi miał kierować oficer w randze kapitana. Szymański widział również beczki z benzyną, przynoszone z ciągnika gąsienicowego w kierunku stodoły, gdzie byli przetrzymywani jeńcy. Z relacji wspomnianego wcześniej por. Furgały wynika z kolei, że w osaczeniu 4. kompanii brali udział żołnierze poruszający się na nartach. Narciarzami dysponował przydzielony do lotewskiej dywizji niemiecki 35. batalion szkolno-zapasowy, dowodzony przez SS-Hauptsturmführera Helmuta Joachima, który miał zginąć w ostatnich dniach stycznia 1945 roku.

Kolejnym podejrzanym o współudział w zbrodni w Podgajach jest SS-Obersturmbannführer Paul Massel, dowódca 48. pułku grenadierów pancernych SS „General Seyffardt” z holenderskiej 23. Dywizji SS. Massel zginął 1 lub 2 lutego 1945 roku – właśnie podczas walk o Podgaje. W rejonie tym znajdowała się także niewielka jednostka w sile niepełnego batalionu – tzw. Kampfgruppe „Scheibe”, dowodzona przez SS-Obersturmbannführera Siegfrieda Scheibe. Scheibe zginął 26 kwietnia 1945 roku w okolicach Halbe na Łużycach – podczas próby przedarcia się z kotła. Źródła potwierdzają ponadto obecność w powyższym rejonie niedobitków 1035. pułku z 59. dywizji piechoty, dowodzonych przez niejakiego płk. Rhode. Przy okazji należy

Fot. Filmołetka Narodowa



► Temat zbrodni w Podgajach podjął Paweł Komerowski w filmie fabularnym *Elegia* z 1979 roku

odrzuć pojawiającą się w literaturze informację o działalności na tym terenie żołnierzy „Kampfgruppe Elster”. Formacja taka rzeczywiście istniała, jednak w sierpniu i wrześniu 1944 roku walczyła przeciw aliantom zachodnim we Francji.

Pod koniec wojny większość lotewskiej dywizji (ok. 8500 żołnierzy) dostała się w Schwerinie do niewoli aliantów zachodnich. Amerykanie przyznali im później prawo do azylu.

### Zbrodnia bez kary

Zawieszona w 1974 roku śledztwo koszalińskiej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich podjęła ponownie w wolnej Polsce Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Sięgnięto do archiwów polskich i niemieckich oraz relacji świadków.

Przez wiele lat – pomimo zgromadzenia bogatego materiału – trudno było wskazać człowieka bezpośrednio odpowiedzialnego za śmierć polskich jeńców. Być może rozwiązanie zagadki znajduje się w przywoływanych już wspomnieniach Julijusa Kilitisa, który kilkakrotnie podkreślał, że polskich jeńców zamordowali żołnierze 48. pułku SS. Z relacji Kilitisa wynika, że 31 stycznia i 1 lutego główną jednostką niemiecką broniącą Podgaje, niezależnie od formacji lotewskich, był 2. batalion tegoż pułku dowodzony przez SS-Hauptsturmführera Friedricha (u Kilitisa występuje jako Helmut) Trägers. Kilitis nie obwinia go o kierowanie egzekucją, ale należy uznać za wysoce prawdopodobne, że to właśnie ten niemiecki oficer jest odpowiedzialny za popełnioną zbrodnię. Jego stopień wojskowy odpowiada przekazom polskich świadków. ■

dr Maciej Maciejowski – pracownik Oddziału IPN w Szczecinie

Redakcja dziękuje Muzeum Ziemi Złotowskiej za pomoc w zilustrowaniu artykułu



► Tablica z nazwiskami 32 żołnierzy 1. Dywizji Piechoty, którzy zginęli w Podgajach



# Wilcze echa

Jerzy Eisler

Fot. Filmoteka Narodowa

**Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek w historii hollywoodzka gwiazda, będąca u szczytu popularności, zagrała główną rolę w filmie produkcji polskiej. Mało kto jednak pamięta, że przynajmniej raz była na to realna szansa.**

**W** 1966 roku poważnie brano pod uwagę obsadzenie w głównej roli w przygotowywanym wtedy filmie przygodowym *Wilcze echa* jednego z najpopularniejszych wówczas aktorów kina akcji: Kirka Douglasa. Amerykański gwiazdor nawet przyjechał do Polski i odwiedził popularną łódzką „Filmówkę”. Gdy elegancko ubrany przybył limuzyną do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Teatralnej im. Leona Schillera, powitali go studenci w strojach rodem z klasycznego westernu. W miasteczku jak z Dzikiego Zachodu „kowboje” i „rewolwerowcy” w kapeluszach i z coltami u boku zaczepiali i prowokowali przybysza, który bronił się pięściami i bodajże „zdobyczym” rewolwerem. To niezwykle spotkanie (Kirk Douglas od razu świetnie wczuł się

w rolę, autentycznie rozbawiony pomysłem młodych filmowców) zostało utrwalone na taśmie filmowej przez Ferduna Erola i Marka Piwowskiego w zrealizowanej szkolnej etiudzie filmowej.

## O'Ya zamiast Douglasa

Niestety, w czerwcu następnego roku na Bliskim Wschodzie wybuchła „wojna sześciodniowa”, a zaraz potem w Polsce rozpoczęła się nieudolnie skrywana pod hasłami antysyjoniistycznymi kampania antysemitka. W takiej sytuacji mający żydowskie korzenie Kirk Douglas nie chciał brać udziału w realizacji polskiego filmu. Niemal w trybie alarmowym został więc ściągnięty z Estonii aktor i sportowiec (koszykarz i waterpolista), przeszło dwumetrowy Bruno O'Ya, który na następne ćwierć wieku zatrzymał się w Polsce. Zamieszkał we Wrocławiu i zagrał (głównie role drugoplanowe) w kilkudziesięciu polskich filmach. Oprócz roli chorążego Piotra Słotwiny w *Wilczych echach* największą popularność przyniosła mu kreacja Józwy Butryma w *Po-topie* w reżyserii Jerzego Hoffmana.

W latach sześćdziesiątych – w ramach popieranej przez „czynniki oficjalne” walki o zapewnienie widzom godzi-

➤ Westernowa (easternowa?) atmosfera w *Wilczych Echach*; na zdjęciu Marek Perepeczko



wej rozrywki – reżyserzy zaczęli kręcić rozgrywane się w okresie powojennym tzw. polskie westerny. Gdyby nie kojarzyło się to z podobnymi filmami przygodowymi realizowanymi w Związku Radzieckim, których akcja toczyła się tam w początku lat dwudziestych, należałoby chyba raczej mówić o easternach. W roku 1964 Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski zrealizowali *Prawo i pięść*, cztery lata później Aleksander Ścibor-Rylski nakręcił *Wilcze echa* i wreszcie w 1970 roku – Waldemar Podgórski przygotował *Południk Zero*. Wszystkie te filmy rozgrywały się w pierwszych latach po II wojnie światowej i wszystkie odwoływały się do tradycyjnego archetypu westernu: walki samotnego sprawiedliwego z grupą bezwzględnych bandytów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że najwięcej wyraźnych cech westernowych miały właśnie *Wilcze echa*, których twórcy – jak się wydaje – świadomie odwoływali się do tradycyjnych opowieści o Dzikim Zachodzie. Już pierwsze kadry nawiązują do klasycznych westernów: charakterystyczne dla większości filmów tego typu czerwone litery napisów początkowych pojawiają się – wzorem hollywoodzkich obrazów – na tle grupy jeźdźców galopujących po rozległych połoninach. Głos lektora (dubbingującego w tym filmie Brunona O'Yę Bogusza Bilewskiego) informuje, że w Bieszczadach wojna trwała o kilka lat dłużej niż w innych zakątkach kraju i zakończyła się wraz z rozbięciem „band nacjonalistów ukraińskich spod znaku UPA”. Niejedyny raz zresztą mówi się w tym filmie w ten sposób o pokonanych. Niezależnie bowiem od intencji twórców *Wilcze echa* są także świadectwem czasów, w których zostały zrealizowane (premiera miały wszak w kwietniu 1968 roku).

### Scenarzysta za kamerą

Należy w tym miejscu podkreślić, że nie to jednak stało się ich znakiem firmowym, lecz piękne kolorowe zdjęcia bieszczadzkiej połoniny autorstwa Stanisława Lotha – niczym nieustępujące najlepszym amerykańskim dokonaniom na tym polu – oraz prawdziwie westernowa muzyka Wojciecha Kilara, którego można bez cienia przesady uznać za polskiego Ennio Morricone. Wydaje się jednak, że same malownicze zdjęcia i porywająca muzyka nie wystarczyłyby, aby film mógł odnieść sukces u masowego widza. Kluczową rolę w tym wypadku odegrały – odwołując się do klasycznego westernowego wątku walki dobra ze złem i prawa z bezprawiem – scenariusz Danuty i Aleksandra Ścibor-Rylskich oraz sprawna reżyseria tego ostatniego.

Ścibor-Rylski był przede wszystkim scenarzystą, ale w latach sześćdziesiątych postanowił stanąć za kamerą i zrealizować kilka spośród swoich scenariuszy. Nie ukrywał przy tym, że ma ambicję tworzyć filmy dla masowego widza: kręcił zatem komedie obyczajowe (*Ich dzień powszedni*), filmy sensacyjne (*Morderca zostawia ślad*), wojenne (*Sąsiedzi*), a w roku 1967 przystąpił do pracy nad „polskim

westernem”. Uważał bowiem, że lata bezpośrednio powojenne będą może – gdy z czasem wygasną spory polityczne i ideowe (jak wiadomo nie wygasły do dziś, a nawet można powiedzieć, że po 1989 roku na swój sposób odżyły ze zdwojoną siłą) – pełniły w historii Polski podobną rolę mitotwórczą, jaką pełnił okres podboju Dzikiego Zachodu w dziejach Stanów Zjednoczonych.

### Dziki Zachód w Bieszczadach

Na ogół akcja tych „polskich westernów”, jak w przypadku wspomnianych już filmów *Prawo i pięść* czy *Południk Zero*, rozgrywała się na tzw. Ziemiach Odzyskanych, które doskonale nadawały się do roli naszego *Far West*. W przypadku *Wilczych ech* postąpiono jednak inaczej i ich akcję umieszczono w Bieszczadach – wyludnionych po przeprowadzeniu akcji „Wisła” i rozbiciu oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii. Bohaterem filmu był, posiadający bogate doświadczenie z partyzantki i późniejszej walki z Ukraińcami, wspomniany już chorąży Słotwina. Przyzwyczajony do życia w ciągłym napięciu i walce, nie potrafił odnaleźć się i funkcjonować w nowej, pokojowej rzeczywistości. Irytowała go i męczyła codzienna działalność administracyjna. Chciałby żyć jak dawniej i po prostu nudził się, a przy okazji, „ścigając po górach bandytów”, beztrako przekraczał granice państwowe, naruszając terytorium „bratnich państw”: na początku filmu Czechosłowacji, a na końcu Związku Radzieckiego, za każdym razem ściągając na siebie gniew przełożonych. Za pierwszym razem musiał odejść z Wojsk Ochrony Pogranicza, za drugim z Milicji Obywatelskiej.

Słotwina został wplątany – czy może raczej sam się wplątał – w walkę z bandytami udającymi milicjantów w wyludnionej Derenicy. „Milicjanci” ci, nie przebijając w środkach, szukali ukrytego w jednym z bunkrów na tym terenie skarbu Tryzuba, czyli pieniędzy sotni. Samotnemu sprawiedliwemu pomagała atrakcyjna Tekla, grana przez popularną w końcu lat sześćdziesiątych Irenę Karel. Nawiasem mówiąc, nie pierwszy i nie ostatni raz w dziejach kina aktorka występująca w filmie, którego akcja rozgrywa się w innych czasach, wyglądała jak zupełnie współczesna kobieta. Irena Karel miała na głowie nie tylko burzę blond włosów, ale występowała w modnej w końcu lat sześćdziesiątych, lecz nie dwadzieścia lat wcześniej, spódniczce odsłaniającej kolana. Od pewnego momentu parę tę wspierali milicjant i były bandyta Aldek Piwko – zagrany z dystansem przez Marka Perepeczkę – oraz poszukiwany przez jego byłych kompanów ponury i nieufny Witold Szczytko, były milicjant, w którego wcielił się Zbigniew Dobrzyński. Aktorstwo było zresztą zdecydowanie mocną stroną tego filmu. Oprócz artystów już wymienionych, w rolach drugoplanowych, a niekiedy nawet w epizodach wystąpili tacy znakomici aktorzy jak: Janusz Kłosiński, Bronisław Pawlik, Ryszard Pietruski, Mieczysław Stoor czy Andrzej Szalawski. ▶



Fot. FilMOTEKA Narodowa

zawodowy polski kaskader Krzysztof Fus, który w *Wilczych echach* dublował Marka Perepeczkę w scenie upadku z wysokiej skarpy, a za Brunona O'Yę wykonał brawurowy skok do studni z pędzącego konia, poza planem został stratowany przez konia i odniósł dotkliwe obrażenia. Film jednak szczęśliwie udało się ukończyć i wprowadzić na ekrany. Spotkał się z dość przychylnym przyjęciem widowni i gorszym ze strony recenzentów, co zresztą specjalnie nie dziwi w przypadku tego typu obrazów.

Z dzisiejszej perspektywy *Wilcze echa* jawią się przede wszystkim jako świadectwo okresu, w którym zostały nakręcone. Pozytywny bohater, Słotwina, wedle naszej obecnej wiedzy historycznej raczej nie zasługiwałby na podziw i uznanie. Prawdopodobnie przynajmniej część dzisiejszych widzów widziałaby w nim przede wszystkim przedstawiciela komunistycznego aparatu opresji, a nie sprawiedliwego szeryfa samotnie walczącego ze złem. Takie spojrzenie – w kontekście tego akurat filmu – wydaje się jednak nieuzasadnione. Trudno przecież *Wilcze echa* uznać za film *sensu stricto* historyczny. Ma on z historią mniej więcej tyle wspólnego, ile mają klasyczne westerny z dziejami podboju Dzikiego Zachodu. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), „*Polskie miesiące*”, czyli kryzys(y) w PRL (2008)

▶ Czy Douglas byłby lepszym szeryfem niż O'Ya? Na zdjęciu Stanisław Łopatowski (jako członek bandy) i Bruno O'Ya

### Pech mistrzów

Niewątpliwie atutem *Wilczych ech* była także bardzo sprawna – jak na warunki polskie – realizacja scen akcji: konnych pościgów, bójek, strzelanin, efektów pirotechnicznych itp. Niestety, filmowców prześladował pech i nie omijały ich dość poważne wypadki. Antoni Byszewski – dublujący w efektownej scenie upadku z konia Leopolda Nowaka, który na planie był także asystentem reżysera – złamał łopatkę. Trzeba tutaj dodać, że był to może najwybitniejszy specjalista i konsultant do spraw koni i pojazdów zaprzęgowych w dziejach polskiej kinematografii. Gdy w 1962 roku Francuzi kręcili w Polsce przygodowy film płaszcza i szpady *Mandrin*, właśnie Byszewski im pomagał.

Nie był to koniec zmartwień ekipy filmowej. Bolesnej kontuzji uległ także operator Władysław Nagy, uderzony w głowę przez kamerę, o którą zahaczył jeden z koni. Z kolei pierwszy

▶ Bandyci (Zdzisław Kuźniar i Ryszard Ronczewski) schwytani przez dzielnego „szeryfa”, chorążego Słotwinę (Bruno O'Ya)



Fot. FilMOTEKA Narodowa



# Arsenały wydobyte z ziemi

Michał Mackiewicz

Mimo że od zakończenia ostatniej wojny w tej części Europy upłynęło już blisko siedemdziesiąt lat, polska ziemia wciąż skrywa ogromne ilości pamiątek militarnych. Są to przede wszystkim pozostałości po dwóch światowych konfliktach, podczas których przez nasz kraj przetaczały się milionowe armie uzbrojone po zęby w nowoczesny i różnorodny sprzęt bojowy.

**M**ilitaria mają znaczną wartość kolekcjonerską, dlatego też od kilkunastu lat rozwija się w Polsce ich żywiołowe poszukiwanie. Na rynku są dostępne coraz bardziej zaawansowane wykrywacze metali, dzięki Internetowi z kolei łatwo można się zaopatrzyć w archiwalne mapy i plany bitew, potem zaś dokonać identyfikacji znalezisk. Polskie prawo w kwestii tego rodzaju poszukiwań jest dość restrykcyjne, wobec czego większość detektorystów zwyczajnie łamie przepisy, a zjawisko związane z penetracją poboju pozostaje właściwie poza wszelką kontrolą. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że jeśli poszukiwacze stosują się do swego niepisanego kodeksu – z najważniejszym jego punktem: „trzymaj się z dala od stanowisk archeologicznych” – szkody dziedzictwu narodowemu raczej nie czynią.

► Polski hełm wz. 31 odnaleziony w 2009 roku przy ul. Targowej w Warszawie

## Niewypały i niewybuchy

Działalność poszukiwaczy militariów koncentruje się na terenach ogólnodostępnych, nieurbanizowanych, a więc w lasach i na nieużytkach rolnych. Miasta w zasadzie pozostają poza obszarem ich aktywności. Tymczasem liczne przedsięwzięcia inwestycyjno-budowlane oraz niekończące się remonty sprawiają, że wciąż są odkrywane wojenne pozostałości także w aglomeracjach miejskich. Są to przede wszystkim rozmaite pociski artyleryjskie oraz granaty moździerzowe. Część z nich to niewypały, a więc

amunicja niewystrzelona, czasem całe jej składy. Inne z kolei są niewybuchami, czyli pociskami, które z różnych powodów (jak np. wadliwy zapalnik) nie eksplodowały po uderzeniu w cel. Produkowane w dziesiątkach milionów egzemplarzy, zwykle nie są cennymi zabytkami. Niekiedy zdarzają się jednak wyjątki, jak chociażby pocisk od niemieckiego najcięższego moździerza typu „Karl”, ostrzelującego warszawskich powstańców w roku 1944, znaleziony w zeszłym roku podczas budowy II linii metra. Amunicja artyleryjska, zwłaszcza większych kalibrów, stanowi wciąż śmiertelne zagrożenie, dlatego rzadko trafia do muzeów – najczęściej saperzy, po zabezpieczeniu i przetransportowaniu na poligon, wysadzają ją w powietrze.

## Karabiny w strzechach

Zupełnie inaczej rzecz się ma z bronią. Przede wszystkim nie jest ona zazwyczaj niebezpieczna i policja lub saperzy chętnie przekazują ją rozmaitym placówkom muzealnym. Wszystko oczywiście odbywa się z zachowaniem odpowiednich procedur, niezbędne ►



Fot. Muzeum Wojska Polskiego



► Pistolet Mauser wz. 1910 kal. 6,35 mm

Fot. Muzeum Wojska Polskiego





Fot. Muzeum Wojska Polskiego



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

▶ Pistolety VIS wz. 35 wydobyte z ziemi przy ul. Bagatela w Warszawie; stan przed konserwacją i po konserwacji

jest uzyskanie zgody właściwego konserwatora zabytków, który decyduje, gdzie mają trafić wydobyte z ziemi (i nie tylko z ziemi) militaria.

Broń lub jej elementy mają niejednokrotnie dużą wartość historyczną. Czasami są odnajdywane jednostkowo, unikatowe wzory, częściej jednak o wyjątkowym znaczeniu decyduje kontekst znaleziska. Zupełnie tak, jak w przypadku zabytków archeologicznych pozyskiwanych w trakcie wykopalisk. To właśnie kontekst pozwala archeologom lub muzealnikom przypisać odnalezione przedmioty konkretnym wydarzeniom, a nawet osobom.

W ciągu kilku ostatnich lat zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie wzbogaciły się o bardzo cenne zespoły broni odnalezione w stolicy. Zostały odkryte przypadkowo albo w trakcie remontów, albo podczas prac budowlanych. Wszystkie związane są z walkami obronnymi we wrześniu 1939 roku. Te cenne z punktu widzenia historycznego przedmioty zostały ukryte przez polskich żołnierzy najprawdopodobniej w chwili kapitulacji. Zjawisko to było wówczas powszechne, bojowy sprzęt zakopywano lub ukrywano w inny sposób (np. w strzechach wiejskich chałup), zakładając, że wkrótce będzie go można wykorzystać

w dalszej walce. Olbrzymią część tego arsenału rzeczywiście podjęły organizacje podziemne i dlatego uzbrojenie pochodzące z przedwrześniowej armii było w nich najliczniej reprezentowane w początkowych latach okupacji.

### Tajny arsenał na Pradze

Często zdarzało się jednak, że zakopanej broni nikt nie wydobył. Przyczyn mogło być wiele; konspiracja z najbliższej okolicy nie musiała znać miejsca jej ukrycia, a ci, którzy bojowy sprzęt zakopywali, zginęli albo byli w niewoli. Często też po prostu zakopany arsenał znajdował się na terenie zajęтым przez Niemców bądź blisko

▶ Erkaem Browning wz. 28  
– znalezisko z Łazienek Królewskich



Fot. Muzeum Wojska Polskiego



ich posterunków, co uniemożliwiało jego wydobycie. Niewątpliwie z tą drugą sytuacją mieliśmy do czynienia w przypadku broni odkrytej w Łazienkach Królewskich w 2007 roku. Zespół składał się z dziewięciu ręcznych karabinów maszynowych wz. 28 Browning oraz pistoletu VIS wz. 35. Przez całą okupację na terenie ogrodów stacjonowały jednostki niemieckie, wobec czego Polacy nie mogli odzyskać tej cennej (zwłaszcza erkaemy) broni. W roku 2008 udało się z kolei odkryć ciekawe militaria pod ul. Bagatela. Poza dwoma visami były tam granaty obronne, artyleryjska busola/kątomierz, raketnica sygnałowa „Perkun”, lornetka, torba oficerska oraz ładownica trójkomorowa z amunicją karabinową 7,92 x 57 mm (Mauser). Przedmioty te należały prawdopodobnie do żołnierzy którejś z jednostek artylerii Wojska Polskiego (być może

98. Dywizjonu Artylerii Ciężkiej lub 3. Pułku Artylerii Ciężkiej).

Bezdyskusyjnie najciekawszym i najbardziej imponującym znaleziskiem z ostatnich lat jest zespół broni wydobyty w 2009 roku z ziemi przy ul. Targowej na warszawskiej Pradze. Składało się nań: pięć erkaemów wz. 28 Browning oraz sześć zapasowych luf, trzy karabiny przeciwpancerne wz. 35 UR, dwa granatniki wz. 36 kal. 47 mm, hełm polski wz. 31, pistolet Mauser wz. 1910 oraz kilka tysięcy sztuk amunicji (ta ostatnia została zabrana przez saperów). Miejsce znalezienia pozwala z dużą dozą prawdopodobieństwa łączyć odnalezioną broń z 21. Pułkiem Piechoty „Dzieci Warszawy”. Ta jednostka – dowodzona przez płk. Stanisława Sosabowskiego (późniejszego dowódcę słynnej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej) – okryła się chwałą

w czasie obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku.

Wszystkie odnajdywane przedmioty są poddawane pieczołowitym zabiegom konserwatorskim w pracowniach Muzeum Wojska Polskiego. Wiele z nich jest publicznie pokazywanych z okazji rozmaitych wystaw, część trafiła na ekspozycję stałą. Bezsprzecznie największe wrażenie na zwiedzających robią zdjęcia broni zrobione przed konserwacją, które można porównać z oryginalnym eksponatem leżącym w gablocie. Miejmy nadzieję, że mimo nadciągającego ponoc kryzysu w budownictwie, zbiory muzealne wzbogacą się w najbliższym czasie o nowe znaleziska... 🇵🇱

**Michał Mackiewicz** – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

► Zespół broni odnaleziony przy ul. Targowej na warszawskiej Pradze



# Niemiecki projekt polskiego orła

Tomasz Zawistowski

**Legiony Polskie, Polski Korpus Posiłkowy, wreszcie Wojsko Polskie – wszystkie te trzy nazwy funkcjonowały w pierwszych miesiącach roku 1917. Określały one tę samą formację, składającą się z trzech brygad polskich żołnierzy, walczących od ponad dwóch lat – w austriackich mundurach i z austriacką bronią – przeciwko Moskałom. Legionistów niespodziewanie wycofano z frontu i, nie pierwszy zresztą raz, użyto jako karty przetargowej w rozgrywce politycznej. Ceną, którą mieli zapłacić, była konieczność rozstania się z drogą żołnierskiemu sercu legionową symboliką, oznakami stopni, oznakami specjalności, a wreszcie – z legionowymi orłami.**

**W** następstwie aktu 5 listopada 1916 roku, wydanego przez cesarza Niemiec i Austro-Węger po ponad dwóch latach I wojny światowej, Polski Korpus Posiłkowy został przekazany przez Austriaków pod dowództwo niemieckie. Zagadnienie umundurowania i wyposażenia oddziałów miało od tej pory znajdować się w gestii intendentury niemieckiej, co wykluczało używanie dotychczasowej formy umundurowania, wzorowanej na austriackiej i wykorzystującej wiele typowych austriackich elementów. Zdawały sobie z tego sprawę zarówno dowództwo niemieckie, jak i strona polska, niemniej różnice w postrzeganiu sposobu rozwiązania tego problemu były ogromne. W wyniku tego rok 1917 przyniósł legionistom dwa całkowicie różne projekty mundurów.

**Orły zwane beselerowskimi**  
Strona niemiecka od chwili przyjęcia polskich oddziałów pod swoje dowództwo dostrzegła konieczność odpowiedniego ich umundurowania, wobec czego już pod koniec 1916 roku przygotowała propozycję uzupełnienia swoich typowych mundurów barwy *feldgrau* polskimi orłami i nowymi nakryciami głowy. Nieatrakcyjność tego pomysłu spowodowała powołanie polskiej komisji mundurowej, której blisko półroczna praca zaowocowała przygotowaniem przepisu mundurowego wz. 1917 w kwietniu tegoż roku. Dowództwo niemieckie nie zrezygnowało jednak z zamiaru przeforsowania swojej pierwotnej wersji. Próbę taką podjęto wobec rekrutów na kursach szkoleniowych (*Ausbildungskursus*), zwanych też obozami ćwiczebnymi, zlokalizowanych w Ostrowi Mazowieckiej, Zambrowie i Zegrzu, do których

dołączono część żołnierzy-królewiaków wydzielonych z pułków liniowych.

W maju 1916 roku Niemcy podjęli zdecydowane działania zmierzające do przemundurowania kursantów na własną modłę. Można przypuszczać, że chcieli stworzyć dystans między nimi a żołnierzami pułków liniowych przez ubranie ich w różne mundury; tak to w każdym razie odczytali polscy żołnierze.

Anatol Minkowski, ówczesny porucznik 2. pułku piechoty Polskiej Siły Zbrojnej, wspominał pierwszą próbę wprowadzenia mundurów w obozach ćwiczebnych 2. i 5. p.p. w Komorowie koło Ostrowi: „Wkrótce oznajmiono nam, że obozy ćwiczebne otrzymają nowiutkie »polskie« umundurowanie, pułki jednak tych mundurów nie otrzymają. Mundur, dla nas przygotowany, był bliźniaczo podobny do munduru niemieckiego, miał tylko na rękawie



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł „beselerowski” Polskiej Siły Zbrojnej przeznaczony do noszenia na niemieckiej czapce ułańskiej wz. 1915



Fot. ze zbiorów autora



► Orzeł „beselerowski” Polskiej Siły Zbrojnej przeznaczony do noszenia na rogatywce, rok 1917

naszytego na amarantowym tle wielkiego orła i imponującą rogatą czapkę. Jaki zresztą był, to była sprawa drugorzędna. Chodziło o zasadę: nie damy się inaczej niż pułk umundurować”.

Podstawowym elementem polskim, którym uzupełniono niemiecki mundur, była czapka rogatywka z orłem bez tarczy amazonek naszytym na owalną, biało-amarantową podkładkę. Oprócz tego wykonano oznakę naramienną w postaci identycznego jak na czapce orła na sukiennej, amarantowej, sześcioramiennej gwiazdzie, zwaną „gwiazdą Beselera” – od nazwiska niemieckiego generał-gubernatora Hansa von Beselera. Warto zauważyć, że podkładki pod orły czapkowe i naramienne były produkowane równocześnie, a w celu maksymalnie efektywnego wykorzystania sukna owal amarantu naszywki czapkowej wycinano z amarantowej podkładki pod gwiazdę.

Wątpliwości co do wyglądu godła potwierdza wspomnienie pułkownika Stanisława Kwaśniewskiego, w 1917 roku oficera armii austro-węgierskiej przydzielonego czasowo do Polskiej Siły Zbrojnej: „Rekrutów nie napłynęło zbyt wiele [tak w oryginale – przyp. red.]. Byli wśród nich przeważnie chłopcy, co to w domu byli zawadą, ale byli i tacy, co do tego wojska polskiego zgłosili się z zapalem, w przekonaniu, że dobrze przysłużą się Ojczyźnie. Rogatywki niemieckiej roboty podobały się nawet, tylko »kura« w czerwonym polu, naszyta na ramieniu pruskiego

kabata, nie bardzo była podobna do orła białego; ale na drelichach nawet i »kury« nie było”.

Z notatek płk. Kwaśniewskiego wynika, że „gwiazdy Beselera” były przeznaczone do noszenia nie na drelichach, ale na „kabatach”. Chodzi tu najpewniej o kurtki sukienne. Jak dotąd nie udało się odnaleźć zdjęć archiwalnych dokumentujących używanie omawianych emblematów.

Nie jest łatwo stwierdzić po latach, jakimi przesłankami kierował się niemiecki autor projektu. Orzeł, w najprzeróżniejszych postaciach, był używany od chwili ogłoszenia aktu 5 listopada w charakterze godła państwowego, różne jego wersje pojawiały się na pieczęciach, banknotach i ścianach sal sądowych. Tak więc użycie uproszczonej i zminiaturyzowanej

wersji orła w charakterze oznaki narodowej dla wojska było oczywiste, podobnie jak uzupełnienie go barwami biało-amarantowymi. Skąd natomiast wziął się kuriozalny pomysł użycia sześcioramiennej gwiazdy – trudno powiedzieć.



► Oznaka naramienna zwana „gwiazdą Beselera”

Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora

► Szeregowy Polskiej Siły Zbrojnej w mundurze typu niemieckiego i z orłem „beselerowskim” na czapce, rok 1917

Chociaż sprzeciw strony polskiej dotyczył ogólnie nazbyt niemieckiego charakteru mundurów, to w szczegółach dotyczących orła kontrowersje budziły: brak tarczy amazonek, czyli tradycyjnego elementu godła wojskowego, zdublowanie godła przez umieszczenie go tak na czapkach, jak i na rękawach, oraz omówione już, niezbyt szczęśliwego kształtu, podkładki pod orły. Trudno się dziwić, że przywiązani do swych symboli legioniści z niechęcią odnieśli się do niemieckiej propozycji.

### Odmowa przyjęcia mundurów

Zachowało się stosunkowo wiele wspomnień relacjonujących przyjęcie, z jakim spotkały się nowe mundury dostarczone w maju do obozów w Zambrowie i Ostrowi. Kursy wyszkolenia numer 4 i 5 odmówiły przebrania się, uprzedzony zawczasu niemiecki dowódca kursu numer 2 w ogóle nie zdecydował się mundurów wydać. Jak wspominał legionista Emil Jerzy Czerniawski, „bo też jakie to mundury – pruskie zgoła bluzy (z takimi różnicami, jak guziki wewnątrz, haftki na pas z orłem polskim), spodnie też i czapki – rogatywki powstańcze ►

z Berlina! – z orzełkiem dziwnego kształtu gołębia czy kuropatwy, srebrnym na amarantowej kokardzie; taki sam na lewym rękawie bluzy, w miejscu, gdzie u Niemców znaczy się wojskowych rzemieślników, więc kowali czy szewców. Cały mundur (materiał nie bardzo dobry zresztą) sprawia wrażenie kostiumu z jakiejś operetki niby-narodowej. Dla nas to przykre i niesmaczne, szczególnie czapka z bohomażem polskiego orła. Dowód to, jak nas Niemcy za nic mają i lekceważą, kiedy nawet w tych rzeczach nie pozwalają nam zachować własnych tradycji”. Z kolei żołnierz Legionów Roman Starzyński opisał, jak w zambruskim obozie „złożono nowe mundury na placu i polecono żołnierzom, aby je »fasowali« i przebierali się w te nowe mundury. Na rozkazy oficerów niemieckich i austriackich żołnierze wcale nie reagowali. Wówczas polecono oficerom polskim wydać rozkazy. Ale żołnierze uprzednio przygotowani przez tychże oficerów nie reagowali również na ich rozkazy i Niemcy musieli zaniechać myśli o »przebraniu żołnierzy«”.

Mundury, którymi wzgardzili legionści, wydawano ostatecznie nowozaciężnym przybywającym do obozów ćwiczebnych, co zostało zatwierdzone przez stronę polską wydanym w maju

rozkazem uzupełniającym przepis z kwietnia 1917 roku. Na wykonanym w 1918 roku zdjęciu kompanii II batalionu 2. p.p. w Komorowie widać elementy mundurów „beselerowskich”; na rogatywkach widnieją orły na owalnych podkładkach. Weterani, których można rozpoznać po legionowych odznakach pamiątkowych, mają na sobie stare, legionowe mundury i maciejówki.

Rekruci przybywający do kawalerii *Polnische Wehrmacht* również zostali umundurowani na wzór niemiecki i otrzymali jako nakrycie głowy niemieckie czapki ułańskie wz. 15. Narodowymi dodatkami były biało-czerwone kokardy blaszane oraz orły w takim samym kształcie, jak te przeznaczone na czapki piechoty i „gwiazdy Beselera”, lecz odpowiednio większych rozmiarów (orzeł taki jest prezentowany na początku artykułu). Produkowano je zazwyczaj z blachy stalowej, lakierowanej na kolor srebrny, lecz znane są też egzemplarze mosiężne. Sposób wykonania oraz mocowania orłów jest identyczny jak w przypadku gołęń niemieckich.

Trudno było oczekiwać od kadr wywodzących się z Legionów entuzjastycznego przyjęcia nakazu noszenia tak typowo niemieckiego elementu umundurowania. Jedynym jak dotąd

dowodem użycia ułańskich czapek jest zamieszczone przez krakowskie „Nowości Ilustrowane” 10 listopada 1917 roku zdjęcie z okazji intronizacji Rady Regencyjnej, zatytułowane *Honorable eskorta polskich ułanów na Placu Zamkowym* i prezentujące oddział polskiej kawalerii w „beselerowskim” umundurowaniu.

### Orły wz. 1917

Niemiecki projekt munduru, nazywany przez polskich żołnierzy „beselerowskim”, narodził się pod koniec 1916 roku. Oficerowie legionowi, poproszeni o wyrażenie swej opinii, stwierdzili, że nie widzą możliwości przebrania legionistów w niemieckie mundury wobec zdecydowanie antyniemieckiego nastawienia społeczeństwa Królestwa. Zdając sobie jednak sprawę z konieczności dostosowania się do wymogów i możliwości niemieckiej intendencji, powołano komisję uniformową, w której dwiema najważniejszymi postaciami byli: rotmistrz Wojciech Kossak, artysta malarz i znawca historii munduru, oraz kapitan Czesław Jarnuszkiewicz, autor strzeleckich oznak stopni i orłów legionowych. Pięciomiesięczna praca komisji zaowocowała powstaniem munduru wykonanego z niemieckich materiałów i części gotowych, lecz zachowującego znaczną liczbę elementów symboliki legionowej. Na czapkach maciejówkach wz. 1917, noszonych przez żołnierzy wszystkich stopni, znalazły się orły z tarczami amazonek, w zasadzie identycznie jak w Legionach. Nowy mundur został przyjęty już bez zastrzeżeń. Wprowadzony do masowego użycia, przetrwał chwilę odzyskania niepodległości i stał się pierwszym mundurem odrodzonego Wojska Polskiego. Niefortunny projekt orła bez tarczy, na podkładce owalnej bądź w kształcie gwiazdy, odszedł w zapomnienie. 🇵🇱



Fot. ze zbiorów autora

► Żołnierze 5. kompanii II batalionu 2. p.p. w Komorowie k. Ostrowi, rok 1918; na czapkach rogatywkach rekrutów widoczne są orły

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*



# Historia zapisana w adresie

O nowej akcji Instytutu Pamięci Narodowej „Patroni naszych ulic” z prezesem **dr. Łukaszem Kamińskim** rozmawiają **Andrzej Brzozowski** i **Karolina Wichowska**.

Do lutowego numeru „Pamięci.pl” dołączyliśmy broszurę z życiorysem gen. **Augusta Emila Fiedorfa** pseud. „Nil”. Można powiedzieć, że to inauguracja projektu IPN „Patroni naszych ulic”. Na czym on polega?

Projekt jest kontynuacją działań, które Instytut prowadzi od wielu lat. Zachęcamy samorządy do zmian tych nazw ulic, które są związane jeszcze z systemem komunistycznym.



General August Emil Fieldorf „Nil” (1895–1953)

Błogosławiony Ksiądz Jerzy Popiełuszko (1947–1984)

Ich utrzymywanie, a więc pewna forma gloryfikacji komunizmu, jest bolesne dla ofiar i sprzeczne z systemem wartości, do którego odwołuje się dzisiejsza Polska. Teraz chcemy też przekonać mieszkańców, że warto mieć dobrego patrona ulicy z grona bohaterów XX wieku. Warto zmienić np. ulicę gen. Świerczewskiego na gen. Okulickiego, nawet jeśli zmiana wiąże się z pewnymi niedogodnościami. Drugi element naszego projektu to popularyzowanie wiedzy o postaciach, których nazwiska widnieją na tabliczkach. Nie jesteśmy w stanie – nie leży to zresztą w kompetencjach

IPN – zadbać o dostarczenie informacji na temat wszystkich patronów ulic, ale chcemy zwrócić uwagę na osoby szczególnie ważne w najnowszej historii Polski. Nawet w rozmowach towarzyskich zdarza się, że ktoś podaje adres, a gdy pada pytanie: „A kto to był?”, to pojawia się problem z odpowiedzią. Mam nadzieję, że po naszej akcji mieszkańcy tych ulic nie będą już mieli takich kłopotów, a wręcz przeciwnie – będą promować te postaci.



**Jakie to będą postaci i co zadecydowało o ich doborze?**

Będą to osoby, w których popularyzację IPN już nieraz się angażował, oprócz gen. Fiedorfa także rtm. Witold Pilecki, gen. Leopold Okulicki i bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Są to jednocześnie postaci, które patronują dużej liczbie ulic w Polsce, więc grono bezpośrednio zainteresowanych będzie szerokie. W następnych latach zamierzamy dobierać po kilku kolejnych patronów. Będą to osoby, które odegrały ważną i pozytywną rolę w historii Polski, także te mniej znane. Chętnie będziemy współdziałać na tym polu z samorządami, które zechcą jakiejś ulicy nadać imię postaci może mniej znanej w skali kraju, ale ważnej dla danego regionu lub miejscowości. Zamierzamy wysyłać broszury o bohaterach w formie druków bezadresowych, a także nadal będziemy zachęcać samorządy do zmiany patronów niechlubnych. Zapraszamy do współpracy nie tylko samorządy, lecz także wszelkie organizacje społeczne, wspólnoty lokalne. Nie ukrywam zresztą, że inspiracją dla nas była inicjatywa Adama Migo, mieszkającego w Krakowie przy ulicy płk. Józefa ▶





Herzoga. Aby przybliżyć swoim sąsiadom postać patrona ulicy, każdemu z nich podarował książkę o życiu pułkownika.

**Kiedy zmienia się np. ulicę Pawła Findera na rtm. Witolda Pileckiego, mieszkańcom trudno jest bronić starego patrona i występować przeciwko nowemu. Jeśli jednak – tak jak około dwudziestu lat temu – ulica Stołeczna, nazwana tak jeszcze przed wojną, zostaje zmieniona w ulicę ks. Popieluszki, ludziom trudno się odzwyczaić od starej nazwy, nawet jeśli szanują nowego patrona. Podobnie było z rondem Babka przemianowanym na rondo Zgrupowania AK „Radosław”. Jak w takich sytuacjach przekonać mieszkańców, że zmiana patrona ma sens?**

Nie jest to problem nowy, podobne sytuacje miały miejsce także w II RP. Całkiem niedaleko od ulicy nazwanej imieniem ks. Jerzego znajduje się ul. płk. Leopolda Lisa-Kuli. Do 1928 roku była to swojska ulica Tania, jednakże zdecydowano się zmienić tę nazwę, aby uhonorować jednego z bohaterów walki o niepodległość. W takich sytuacjach potrzebna jest debata wśród danej społeczności. Trzeba w niej unikać stanowisk skrajnych, tzn. takich, że raz nadanej nazwy nie można nigdy zmienić, a z drugiej strony, że wszystkie ulice koniecznie muszą mieć za patronów postaci historyczne. Pamiętajmy jednak, że system wartości, który wyznajemy, przejawia się także w tym, kogo wybieramy na patronów ulic i placów, komu stawiamy pomniki.

**Główne ulice miast, w prestiżowych lokalizacjach, od dawna są zajęte. Tymczasem próba nadania imienia bohatera ulicze w nowej, peryferyjnej dzielnicy, bywa czasami komentowana jako niedostateczne uhonorowanie. Warto w takich sytuacjach walczyć o tabliczkę w centrum?**



Myślę, że należy przełamać takie schematy myślenia, że tylko ulice w centrum są ważne. Miasta przecież się rozwijają, ulice początkowo peryferyjne z czasem nabierają większego znaczenia. Najważniejsze, żeby patroni historyczni występowali w przestrzeni miejskiej – nawet jeśli czasem będą to ulice na obrzeżach miast, to i tak będzie to miało znaczenie z punktu widzenia kształtowania świadomości społecznej.

**Czy Pana zdaniem debata z mieszkańcami powinna się odbywać także, jeśli planowana jest zmiana nazwy ulicy pochodzącej z czasów komunizmu? Do dziś w kilku miejscach w Polsce są ulice Armii Czerwonej, PPR czy PKWN. Czy przyzwyczajenie mieszkańców do takich nazw jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla ich pozostawienia?**

Debata jest konieczna w przypadku zamiaru zmiany historycznych nazw ulic, ale neutralnych, takich jak wspomniana Stołeczna. Jeśli natomiast chodzi o nazwy promujące komunizm, to władze samorządowe powinny samodzielnie



nie podjąć odpowiedzialną decyzję. Sprawowanie władzy nie może polegać na przerzucaniu każdej decyzji na mieszkańców.

**Takie decyzje podejmowano zresztą na początku lat dziewięćdziesiątych. Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat i zdawałoby się, że akcje takie jak ta, o której rozmawiamy, w ogóle nie powinny być potrzebne. Tymczasem jest inaczej. Zaniechano czegoś tuż po zmianie ustroju?**

Zmiana nazw ulic wywodzących się z komunizmu była jedną z tych spraw, których załatwienie po 1989 roku wydawało się tak oczywiste, że szybko uznano problem za zamknięty. Większość niechlubnych patronów zniknęła, ale setki z nich wciąż pozostały. To było nasze wspólne zaniedbanie. Ale wtedy też nikt nie przypuszczał, że

setki z nich wciąż pozostały. To było nasze wspólne zaniedbanie. Ale wtedy też nikt nie przypuszczał, że



nastąpi w jakiegokolwiek formie zjawisko nostalgii za PRL. Ta nostalgia pojawia się zresztą nie tylko u nas, podobnie jest w Niemczech – mówi się tam o tzw. ostalгии (niem. *Ost* – wschód), czyli tęsknocie za NRD. To świadczy nie tylko o tym, że pewnych rzeczy w latach dziewięćdziesiątych nie dokończyliśmy. To także sygnał, że uczenia o tym, czym był system komunistyczny, nigdy nie wolno przerywać, bo pojawiają się wciąż nowe pokolenia i zaciera się pamięć o złych zjawiskach, a to jest właśnie podglebiem nostalgii.

**Stąd potem biorą się nazwy w rodzaju „szynki »jak za Gierka«, co ma być chwytym reklamowym, a jednocześnie sugeruje, że za Gierka było dobrze. Ten właśnie I sekretarz jest zresztą patronem ronda...**

...i to kolejny dowód na to, jak potrzebna jest akcja „Patroni naszych ulic”. Poza tym jesteśmy skazani na nieustanne przypomnianie, że jedynie na tle innych przywódców PRL Gierka być może wypada nieco lepiej. Ale to przecież wcale nie znaczy, że pod jego rządami PRL przestała być dyktaturą! Dekada gierkowska to okres najgłębszego kryzysu ekonomicznego w całych naszych powojennych dziejach, sytuacja z lat osiemdziesiątych była już tylko jego kontynuacją; trzeba pamiętać, że w czasach Gierka Służba Bezpieczeństwa nie tylko nie zanikła, ale wręcz się rozwijała – to właśnie wtedy powstały osławione grupy „D”, odpowiedzialne później m.in. za morderstwo na ks. Jerzym Popiełuszcze; trzeba przypominać także Czerwiec 1976, dzieje opozycji demokratycznej – to jest wyzwanie edukacyjne.

**O ile skutkiem braku wiedzy może być niechęć mieszkańców do zmiany nazwy ulicy np. Teodora Duracza – bo ta postać jest dość słabo znana – o tyle trudno uwierzyć, żeby ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że Armia Czerwona to sprawca zniewolenia Polski. A jednak wielu ludziom nie przeszkadzają tabliczki z tą nazwą na ich ulicach. Podobnie jak twórcom reklamy pewnego operatora telefonii komórkowej nie przeszkadzało przedstawić Lenina w pozytywnym świetle, jako symbolu lepszej taryfy...**

To także skutek braku edukacji. Przypuszczam, że tę kampanię wymyśliła osoba młoda, której zabrakło nie tylko wiedzy, ale i pewnej wrażliwości. Dla jakiejś części ludzi komunizm nie jest czymś w sposób oczywisty złym. Inaczej jest z nazizmem, który po wojnie został osądzony i jednoznacznie potępiony. Został też pokonany w momencie popełnienia największych zbrodni. Upadek komu-



nizmu nastąpił, kiedy zbrodnie były już znacznie rzadsze niż na początku, chociaż wciąż były. Inny na pewno byłby efekt, gdyby wojska alianckie wkroczyły do gułagów i je wyzwoliły, dokumentując zbrodnie Stalina. Zresztą Zachód długo nie mógł, albo raczej nie chciał, uwierzyć w zbrodnie Sowietów. Rezultat tej różnicy w upadku obu totalitaryzmów jest taki, że wykorzystywanie symboli nazistowskich w marketingu jest tabu i poza incydentami w zasadzie się nie zdarza, inaczej natomiast jest w przypadku komunizmu. Trzeba jednak przyznać, że tym razem pewna granica została przekroczona i w ciągu kilkunastu godzin powstała duża akcja społeczna przeciwko reklamie z Leninem. Problem ten ma też inny aspekt. Kilka miesięcy temu prezydent Bronisław Komorowski słusznie zauważył, że mamy w Polsce – i bardzo dobrze, że mamy – sporo muzeów poświęconych ofiarom nazizmu, ale ani jednego upamiętniającego ofiary komunizmu. Żaden areszt UB nie został przekształcony w muzeum, które pozwalałoby dotknąć tych zbrodni. Przekazywanie wiedzy o tym okresie sprowadza się zazwyczaj do suchej informacji w podręczniku, że zginęły wówczas dziesiątki tysięcy osób. Dopóki nie przełożymy tego na konkret, nie pokażemy miejsca ani ludzi, którzy padli ofiarą, dopóty te zbrodnie pozostaną abstrakcją. To powoduje i niepamięć, i brak wrażliwości. Dlatego tak dużą wagę przywiązujemy do programu „Śladami zbrodni”, w którym dokumentujemy miejsca zbrodni stalinowskich w Polsce [fragment albumu *Śladami zbrodni* prezentujemy na ss. 35–38]. Zależy nam na przywróceniu tych miejsc do powszechnej





świadomości, a także na ocaleniu wciąż istniejących pozostałości tamtego czasu. W kilkudziesięciu miejscach wciąż widoczne są napisy, które więźniowie wryli na murach kazamat. Szczególnym przykładem jest budynek przy ul. Strzeleckiej 8 w Warszawie, siedziba NKWD, a następnie UB. To jedno z miejsc, w których mogłoby powstać muzeum ofiar komunizmu. Powinno ono być utworzone nie tylko o myślą o tych, którzy w ogóle komunizmu nie doświadczyli, ale także o tych, którzy kojarzą komunizm z szynką z czasów Gierka albo pamiętają okres zupełnie schyłkowy, który wydaje się niegroźny – choć ostatnie ofiary komunizmu padły jeszcze w 1989 roku, o czym często się zapomina.

**Wracając do zmian nazw ulic: czasami pojawiają się kontrowersje, czy dany patron na pewno powinien zniknąć z tabliczki na domach. Tak bywa w przypadku poetów kolaborujących z komunizmem, takich jak Bruno Jasiński.**

Rzeczywiście, czasami trudno jest stworzyć jasne kryteria. Ale akurat Bruno Jasiński jest dobrym przykładem kogoś, kto mimo osiągnięć literackich nie powinien patronować ulicy czy szkole, bo był bezpośrednio zaangażowany w budowanie systemu komunistycznego, a więc odpowiada za zło, które wówczas się działo. Owszem, potem sam padł ofiarą czystki. Ale, jak śpiewał Jacek Kaczmarski, „niechby się inaczej zgięła historii sprężyna, a rehabilitowalibyśmy dziś Stalina”. Dlatego chociaż nie zawsze da się wytyczyć ostrą granicę oddzielającą tych, którzy mogliby być patronami ulic, od tych, którzy nie powinni, to kryterium jej ustalenia może być właśnie to, czy dany człowiek brał udział w tworzeniu zbrodniczego systemu. Z takich zapewne przyczyn już kilka lat temu swoją ulicę w Warszawie stracił inny poeta – Lucjan Szenwald.

**Może się zdarzyć i tak, że jakaś społeczność lokalna jest przywiązana do patrona ulicy, który walczył w czasie wojny z Niemcami, kolegów z AK nie mordował, ale należał do szeregów Armii Ludowej. Co wtedy?**

Takie przypadki należy rozpatrywać indywidualnie. Co innego sama Armia Ludowa, której imię nosi duża ulica w Warszawie. To było zbrojne ramię PPR i jej celem, owszem, doraźnie była także walka z Niemcami, ale ostatecznie było nim wprowadzenie w Polsce systemu komunistycznego. Można się zastanawiać, czy w pewnych sytuacjach komunistę mógłby być patronem ulicy, jeśli np. zginął w czasie wojny i nie dożył czasów Polski Ludowej. Ale pamiętajmy, że przed wojną Komunistyczna Partia Polski głosiła hasła sprzeczne z ideą niepodległości Polski i realizowała zadania wywiadowcze na rzecz Związku Sowieckiego. Odpowiedź brzmi zatem: nie, komuniści nie powinni w Polsce mieć swoich ulic.

**Nie brakuje też tablic pamiątkowych informujących o tym, że w danym miejscu Gwardia Ludowa albo Armia Ludowa przeprowadziły akcję, w wyniku której zginęli Niemcy. Takie pamiątki są np. w Warszawie na budynku Dworca Śródmieście czy przy rondzie de Gaulle'a, są na nich gwiazdy bolszewickie. Powinny zostać?**

To jest kolejne pytanie: jak daleko należy się posunąć w likwidowaniu symboli komunizmu z przestrzeni publicznej. Są tacy, którzy chcieliby zburzyć Pałac Kultury, podobnie jak przed wojną rozebrano cerkiew na Placu Saskim, bo była symbolem rosyjskiej dominacji. W Niemczech z kolei pozostawiono w Norymberdze wielki kompleks budynków służących zjazdom partyjnym NSDAP i to miejsce służy dziś mówieniu prawdy o przeszłości. Ten model można zastosować w przypadku wspomnianych tablic. Należy dodać do nich plakietki informujące, czym była Gwardia Ludowa, na ile prowadziła walkę z Niemcami, a na ile była sowiecką agenturą. 🇵🇱





# Przywróćmy ich pamięci

## Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”

Anna Brojer

**1** marca 1951 roku w podziemiach więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przy Rakowieckiej w Warszawie od strzału w tył głowy zginął skazany na pięciokrotną karę śmierci i 30 lat więzienia Łukasz Ciepliński ps. „Pług”, ostatni dowódca IV Zarządu Zrzeszenia WiN. Data śmierci Łukasza Cieplińskiego i jego współpracowników została w 2011 roku wybrana na święto – Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Tego dnia Instytut Pamięi Narodowej przypomina tragiczne losy członków podziemia antykomunistycznego, którzy nie złożyli broni po zakończeniu II wojny światowej, nie godząc się z powojennym kształtem państwa polskiego, narzuconym przez Związek Sowiecki. Tego dnia przywracamy pamięć o żołnierzach tzw. drugiej konspiracji – poległych, zamęczonych w ubeckich więzieniach, skazanych w procesach pokazowych i poddanych innym prześladowaniom. Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” odbędzie się przegląd filmów dokumentalnych o podziemiu niepodległościowym. W przestrzeni internetowej, na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) można będzie złożyć hołd ofiarom, uczestnicząc w budowie wirtualnego pomnika. Kliknięciem upamiętnimy żołnierzy podziemia niepodległościowego.

W sobotę 2 marca o godz. 12.00 ruszy okolicznościowa rowerowa Masa Krytyczna, która przejedzie ulicami Warszawy. Trasa przejazdu będzie związana z miejscami pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Tradycyjnie wyruszymy z pl. Zamkowego i w kierunku ul. Koszykowej – zatrzymamy się tam przy kamieniu „Anody”, przejedziemy ul. Ocзки, następnie ul. Rakowiecką ze słynnym więzieniem, ul. Wałbrzyską, al. Jana Rodowicza „Anody” i zakończymy przejazd przy pomniku ofiar terroru komunistycznego, przy kościele św. Katarzyny. Rowerowa Masa Krytyczna przejedzie pod hasłem „Przywróćmy ich pamięci”, włączając się w narodowe obchody ku czci tych, o których przez cały okres PRL nie wolno było pamiętać.

Zachęcamy nauczycieli ze szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych, aby wraz z uczniami także wzięli udział w obchodach Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Z myślą o nich zostały przygotowane zestawy edukacyjne, które przed 1 marca trafią do 14 tys. szkół w całej Polsce. Zawierają płytę ze spektaklem Sceny Faktu Telewizji Polskiej *Pseudonim Anoda* w reżyserii Mariusza

Malca. Przedstawienie przybliży młodzieży historię aresztowania i śmierci porucznika Jana Rodowicza, żołnierza „Batalionu Zośka”, jednego z wielu tysięcy tych, którzy za przywiązanie do idei niepodległej Polski zapłacili życiem. W pakietach znajdują się również materiały edukacyjne: tekst dr. Tomasza Łabuszewskiego, badacza dziejów polskiego podziemia niepodległościowego, dotyczący powojennych losów harcerzy, plakaty z wizerunkami bohaterów antykomunistycznego oporu oraz propozycje wykorzystania przesłanych materiałów. IPN inauguruje także akcję zbierania zdjęć i relacji dokumentujących szkolne obchody Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Zachęcamy do przesyłania ich na adres [edu@ipn.gov.pl](mailto:edu@ipn.gov.pl). Nadesłane materiały zostaną umieszczone na wirtualnej mapie na portalu edukacyjnym IPN [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) w zakładce dotyczącej 1 marca. Zachęcamy również do korzystania z informacji i materiałów zamieszczonych na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl)

Zapraszamy także do facebookowej Strefy Edukacyjnej IPN. 📌



# Ocalona z Holocaustu

**P**rawie dwa lata spędzili w jamie ziemnej, wykopanej pod warszatem polskiego mechanika. Nie mogli rozprostować nóg, wokół myszy, szczury, robaki, brak jedzenia, słońca i jeszcze rozstanie z czteroletnią córką, połączone z niepewnością i strachem – o tym wszystkim można przeczytać w książce Jafy Wallach (1910–2011) *Gorzka wolność. Wspomnienia ocalonej z Holocaustu*.

Autorka była Żydówką, która podczas II wojny światowej razem z mężem, braćmi i siostrą ukrywała się przed Niemcami. Jej wspomnienia pokazują, jak wyglądało życie polskich Żydów w rzeczywistości okupacyjnej, ale także, jeśli nie przede wszystkim, jak daleko może sięgać granica ludzkiej wytrzymałości. Wiemy, że człowiek jest w stanie wytrzymać wiele złego, a wspomnienia Jafy Wallach są na to wstrząsającym dowodem. „Znajdowaliśmy się w czymś, co przypominało skrzynię zrobioną w ziemi i było naprawdę małe: 1,9 metra długości, 1,4 metra szerokości i nie więcej niż 1,2 metra wysokości w najwyższym punkcie. Przez cały czas naszego pobytu tam ani razu nie mieliśmy okazji wstać – nawet gdy kłęczeliśmy, głowa nieomal sięgała powały. Nie było nawet miejsca na wyprostowanie nóg” – tak Jafa Wallach opisuje kryjówkę, wykopaną pod warszatem, w której razem z mężem Natanem, a także z braćmi Pinkiem i Milkiem spędziła 22 miesiące. Później dołączyła do nich siostra autorki, Anna. Życie całej piątki ograniczało się do cichego siedzenia w „szczurzej norze”, wspomnień i ciągłego oczekiwania na ukrywającego ich Polaka Józefa Zwonarza.

Zwonarz, mieszkaniec Leska na Podkarpaciu, mechanik, miał na utrzymaniu żonę i czworo dzieci. Mimo to zaproponował schronienie Jafie oraz jej mężowi, uciekinierom z obozu pracy przymusowej w pobliskim Zasławiu. Wkrótce do małżonków dołączyli bracia i siostra Jafy. Zwonarz w 1942 roku znalazł również schronienie dla czteroletniej córki Wallachów, Reny. Mieszkała ona z Polską rodziną, udając małą kuzynkę.

Mechanik wykazał się niezwykłą determinacją, a w pewnym sensie także pomysłowością. Zapewniał schronienie, pożywienie i wodę. Starał się też wspierać swoich żydowskich podopiecznych; na przykład wtedy, kiedy z narażeniem życia przywiózł im na tacyce radio. Mogli go słuchać jedynie w nocy.

Józef Zwonarz przetrzymał także ostracyzm, z którym spotykał się po wojnie. Z opisu Jafy Wallach wynika, że nie było mu łatwo: „Gdy znaczące w mieście osoby dowiedziały się, że Józio ocalił Żydów przed nazistami, udzieliły mu z tego

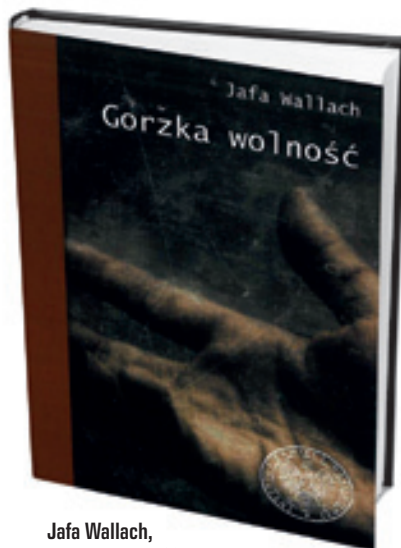
powodu gorzkiej reprimendy, po czym zbojkotowano jego warsztat. Napisał do nas, że nikt już nie przychodził do niego z prośbą. Podejmował się drobnych napraw, lecz głównie na czarno i za psie pieniądze. Jego rodzina żyła teraz poza nawiasem społeczeństwa i cierpiała głód”. Uznanie przyszło późno. Za swoją determinację Józef Zwonarz został uhonorowany medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Instytutu Yad Vashem w 1980 roku.

Jafa Wallach w swoich wspomnieniach z jednej strony opisuje dobroć Józia, a z drugiej postawy innych Polaków, z których bardzo wielu uznawała za swoich wrogów. Kiedy pisze o głodzie panującym w Lesku w trakcie okupacji, żali się na właścicieli folwarków. Jej zdaniem, próbowali oni wzbogacić się na cudzym nieszczęściu. „Ceny rosły, a ludzie głodowali. [...] Śmierć z głodu jest przerażająca. Twarz puchnie, oczy zapadają się w głąb czaszki i znika wszelki wyraz. Ludzie stawali się całkowicie nierozpoznawalni” – relacjonuje autorka *Gorzkiej Wolności*...

W innym miejscu przedstawia los swojej żydowskiej przyjaciółki Eli, która przez całą wojnę udawała „Aryjkę” o imieniu Maria i uczyła angielskiego w domu wysoko postawionych polskich urzędników. „Rodzina ta całym sercem popierała eksterminację polskich Żydów” – zaznacza Wallach. Jeden z przyjaciół owej rodziny zakochał się w Eli. Chciał wziąć z nią ślub. Odrzuciła tę propozycję, a po wojnie napisała do niego list, w którym wyjaśniła, że jest Żydówką. Odpisał: „Chciałbym zobaczyć cię jeszcze tylko jeden raz – żeby zrozumieć, jak mogłem kiedykolwiek myśleć, że cię Kocham”.

To, co pisze Jafa Wallach, często wydaje się naiwne i nierozumiałe z dzisiejszej perspektywy. Czasami budzi też wewnętrzny sprzeciw. W książce pojawia się również kilka nieścisłości. W tym miejscu należy się uklon polskiemu wydawcy, który zadbał o uściślenie wielu podanych przez autorkę informacji w obszernych przypisach. Książka została też uzupełniona o relacje córki i siostry autorki. Jest także krótki rys historyczny przedstawiający sytuację Żydów w powiatach leskim i sanockim w latach 1939–1942.

*Gorzka Wolność. Wspomnienia ocalonej z Holocaustu* to subiektywny obraz tego, czego doświadczyła Jafa Wallach. W wielu miejscach można odczytać wpływające z tego obrazu gorzkość, złość i bezsilność. Być może właśnie dlatego jest to ważne uzupełnienie tego, co wiemy od dawna z książek historycznych. 🍷



Jafa Wallach,  
*Gorzka Wolność. Wspomnienia ocalonej z Holocaustu*,  
IPN, Rzeszów 2012, ss. 180



# Kuracjusze i blondyni

Kiedy wspominałem o tej książce jednemu z najwybitniejszych badaczy dziejów Kościoła w ZSRS, ten powiedział: „A co ciekawego może być w takiej korespondencji? Przecież to wszystko przechodziło przez cenzurę, i to sowiecką cenzurę. To z pewnością chybiony pomysł”. Zaczynając książkę, ale przyznam, że miałem podobne wątpliwości, dopóki sam jej nie przeczytałem. A jednak obszerny wybór listów kapłanów archidiecezji wileńskiej z lat 1952–1990, przygotowany przez białostockich historyków zajmujących się tą dziedziną, zaskakuje w bardzo wielu miejscach.

Można z nich wydobyć przede wszystkim dużą wiedzę na temat powojennej historii Kościoła katolickiego na sowieckiej Litwie i Białorusi, a nawet w całym ZSRS. Niektóre wręcz zaskakują swą otwartością i odwagą, być może dlatego że docierały do adresatów poprzez zaufane osoby, a nie oficjalną drogą pocztową. Na przykład ks. Piotr Bartoszewicz z Odelska koło Grodna pisał w 1963 roku: „Komunizm wszędzie jest bezbożny i dlatego podstawowym jego zadaniem jest bezpardonowa walka z Bogiem”, a ks. Kazimierz Kułak z Turgieli na Wileńszczyźnie w 1965 roku otwarcie pytał: „Czemu o nas nie myślicie – i nie przychodzicie z pomocą? Przynajmniej módlcie się za nas”. Potwierdzenie tego, że niektóre listy docierały do adresatów przez zaufanych ludzi, odnajdujemy w pochodzącym z 1966 roku liście ks. Stanisława Kuczyńskiego z Szemetowszczyzny (Białoruś) do bp. Adama Sawickiego, ówczesnego administratora apostolskiego w Białymstoku. „Korzystam z pewnej i bezpośredniej okazji” – zaznaczył kapłan w liście.

Wydaje się, że niektóre tematy były nawet zbyt otwarcie poruszane, jak choćby relacje pomiędzy poszczególnymi księżmi, co przecież mogło być wyko-

rzystywane przez sowiecką bezpiekę. Rzecz jasna, autorzy listów posługiwali się swoistym, trudnym do rozszyfrowania kodem. O biskupach pisali jako o ojcach, matkach, babciach; o księżach, którzy właśnie wyszli z łagrów, wyrażali się: „wrócili do domu po odbytej kuracji”, a wyjazdy nielicznych duchownych na stałe do Polski określali jako „dezercję”. Świetnie

kamuflaże stosował wspomniany ks. Stanisław Kuczyński. Oto fragment jego listu z 1986 roku: „Młodzieniec miński nie może otrzymać pracy według swych kwalifikacji, a starszy Julian zbiera się Go zabrać do siebie. [...] Otóż może się u nas narodzić osiemnaście wnucząt. Ale teraz jest plaga abortów, która się powiększa, i nie wiadomo, ilu z nich ujrzy światło Boże. Mogą być między nimi i blondyni”. W rzeczywistości informował on, że młody człowiek po święceniach kapłańskich w Rydze (najpewniej chodzi o ks. Edwarda Achramowicza, rodem z Wilna) nie może dostać zgody władz państwowych na pracę duszpasterską na terenie Białorusi, a zatem biskup z Łotwy, Julijans Vaivods, chce go zatrzymać u siebie. Do seminarium w Rydze wstąpiło osiemnastu młodych ludzi, ale nie wiadomo,

ilu z nich wytrwa w powołaniu. Pomiędzy nimi mogą być Białorusini (blondyni).

Wielkimi zaletami opracowania są wnikliwość i rzetelność. Same biogramy nadawców i adresatów zamieszczonej korespondencji to rezultat żmudnej, starannej kwerendy. Całość uzupełniają niezwykle cenne aneksy wzbogacone ciekawą ikonografią. Ta praca pokazuje, jak historyk może poszerzyć krąg niezbyt licznych i trudno dostępnych źródeł do konkretnego tematu dzięki mrówczej pracy archiwalnej, własnej dociekliwości i dobremu rozpoznaniu badanego zagadnienia. 📖



*„Śmierci się z nas nikt nie boi”*  
Listy kapłanów archidiecezji wileńskiej z ZSRS.  
Wybór źródeł, wstęp, wybór i opracowanie  
ks. Adam Szot, Waldemar F. Wilczewski,  
IPN, Białystok 2012, ss. 416

# Aby pokonać Związek Radziecki

**S**pośród opublikowanych ostatnio książek historycznych prezentowana tu praca zalicza się niewątpliwie do tych najbardziej kontrowersyjnych. Na łamach różnych czasopism toczyły się bardzo emocjonalne dyskusje na temat tez postawionych przez autora. Niektórzy krytycy posuwali się nawet do konkluzji, że rozważania Zychowicza są niekorzystne dla aktualnych interesów Polski i zupełnie niepotrzebne. Ze stanowiskiem takim trudno się zgodzić. Bo czyż kontrowersyjne poglądy, jeżeli tylko są przedstawione logicznie i ciekawie, nie będą zawsze warte rozważenia?

Główna teza Zychowicza dotyczy tego, że w roku 1939 Polska, zamiast szukać sprzymierzeńców na zachodzie Europy, powinna była zawrzeć porozumienie z hitlerowską Rzeszą i wspólnie z nią uderzyć na Związek Radziecki. Autor wielokrotnie odcina się od próby łączenia takiego manewru z jakąkolwiek ideologią. Podkreśla bardzo mocno, że Hitler był zbrodniarzem, zaznaczając zarazem, że w roku 1939 większość najgorszych zbrodni dyktator miał dopiero przed sobą. Niemniej – wskazuje – w polityce międzynarodowej powinny się liczyć przede wszystkim interesy poszczególnych państw. Wzorem takiego postępowania może być polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii. Interesem Polski pod koniec lat trzydziestych minionego wieku miało być przetrwanie i ocalenie milionów istnień ludzkich. Zdaniem Zychowicza, w roku 1939 Polska została świadomie wmanewrowana przez Wielką Brytanię i Francję w sojusz, w celu skierowania pierwszego uderzenia potężnej Rzeszy na wschód, a nie na zachód Europy. Minister spraw zagranicznych RP Józef Beck miał w ten sposób złamać testament Józefa Piłsudskiego i w imię honoru doprowadzić do utraty niepodległości.

W publicystyce historycznej ten punkt widzenia nie jest przedstawiany po raz pierwszy. Autor przywołuje poglądy Władysława Studnickiego (wyrażane jeszcze przed wojną, co ma stanowić dowód na to, że taka koncepcja była do przewidzenia w tamtych czasach) oraz Stanisława Cata-Mackiewicza. Rozwijając publicystykę tego ostatniego, stara się przekonać, że gdyby żył Piłsudski, to również skłaniałby się ku sojuszowi z Rzeszą. Próbując to uzasadnić, przypomina niektóre wypowiedzi Marszałka i jego punkt widzenia z okresu I wojny światowej, zgodnie z którym Polacy powinni najpierw trzymać stronę państwa niemieckiego, zwłaszcza w jego wojnie z Rosją, a po pokonaniu Rosji przejść na stronę Wielkiej Brytanii i Francji. Zdaniem Zychowicza, Polska powinna była podobnie postąpić przed II wojną światową, tym bardziej że do 1938 roku Hitler nie był nastawiony antypolsko. Ponadto autor zwraca uwagę na jeszcze jedną sprawę: jeżeli ktoś brzydzi się sojuszem ze zbrodniarzem Hitlerem nawet w celu uratowania Polski i Polaków, to tak samo

krytycznie powinien podchodzić do zawartego w czasie wojny sojuszu z równie – jeśli nie bardziej – zbrodniczym Związkiem Radzieckim.

Książkę czyta się bardzo dobrze, chociaż może nie aż tak, jak publikacje przywołanego już Cata-Mackiewicza. Praca Zychowicza z założenia miała być publicystyką historyczną, a nie rozprawą naukową. Mimo to zarzuca się jej przede wszystkim braki w warsztacie naukowym. Zychowicz powołuje się na liczne źródła i wypowiedzi, ale czyni to bez przypisów i nieco chaotycznie. Można więc czasem mieć wątpliwości, czy dobór źródeł jest w pełni przemyślany i obiektywny. Z drugiej strony należy pamiętać, że wątpliwości takie można mieć względem wszystkich publikacji pisanych w takiej konwencji. Zwraca także uwagę duża dawka emocji – zwłaszcza w odniesieniu do postaci Józefa Becka. A takie emocje – nawet najbardziej uzasadnione – w klasycznym warsztacie naukowca nie są wskazane i negatywnie wpływają na wartość konkluzji.

Mając świadomość powyższych słabych punktów książki, należy jednak rozważyć zgłaszane w niej postulaty. Jeden z głównych zarzutów względem polityki Becka dotyczy tego, czy rzeczywiście mógł, a raczej, czy powinien był przewidzieć konsekwencje swoich działań. Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie jest trudna. Z jednej strony nie do końca można zgodzić się ze stanowiskiem, że Beck zrobił wszystko, co było możliwe, więc powinien uchodzić za wzór dyplomaty. Przyjęta przez niego koncepcja okazała się bowiem katastrofalna i – jak wielokrotnie to już wykazywano – zawierała błędy i logiczne niekonsekwencje. Z drugiej strony perspektywa współczesna, roku 2013, jest zupełnie inna i trudno dziś jednoznacznie oskarżać tego polityka o to, że nie przewidział sojuszu Rzeszy ze Związkiem Radzieckim oraz bierności Francji i Wielkiej Brytanii. W 1939 roku mógł to być przecież tylko jeden z licznych scenariuszy.

Podobnie trudno przyjąć za pewnik, że Polska u boku Rzeszy odgrywałaby w wojnie ze Związkiem Radzieckim ważną rolę i że Hitler obdarowałby nas potem licznymi terenami po byłym ZSRR (zresztą autor nie docenia antypolskich emocji występujących na niektórych z tych terenów). Trudno więc przewidzieć, czy sojusz z Rzeszą na pewno mógłby wyglądać tak, jak to stara się przedstawiać Zychowicz.

Książka *Pakt Ribbentrop–Beck, czyli jak Polacy mogli u boku III Rzeszy pokonać Związek Sowiecki* to jednak bardzo ciekawa publikacja, która powinna być poważnie brana pod uwagę w dyskusjach. Wiele spostrzeżeń autora stanowi bowiem ważny przyczynek do oceny polityki Becka. Niemniej do licznych tez Zychowicza należy podchodzić ostrożnie, konfrontując je z innymi dostępnymi publikacjami na ten temat. 📖



Piotr Zychowicz,  
*Pakt Ribbentrop–Beck, czyli jak Polacy  
mogli u boku III Rzeszy pokonać Związek  
Sowiecki*, Rebis, Poznań 2012, ss. 368





■ Lionginas Baliukevičius, *Dziennik partyzanta „Dzūkasa”, 23 czerwca 1948–6 czerwca 1949*, (seria „Relacje i wspomnienia”, t. 18), przekład Ona Vaičiulytė-Romančuk,

wstęp i oprac. Piotr Niwiński, IPN, Warszawa 2012, ss. 224.



■ *Dokumenty Centralnego Zarządu Zakładów Karnych dotyczące obozów internowania (1982 rok)* (seria „Dokumenty”, t. 52), oprac. Sylwia Galij-Skarbińska,

Wojciech Polak, IPN, Gdańsk–Warszawa 2012, ss. 236.



■ *Duchowni greckokatolicycy i prawosławni w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie (1947–1949). Dokumenty i materiały*, zebrał

i oprac. Igor Hałagida, IPN, Związek Ukraińców w Polsce, Warszawa 2012, ss. 272.



■ Adam Dziurok, *Kruchtoizacja. Polityka władz partyjno-państwowych wobec Kościoła katolickiego w latach 1945–1956 w województwie śląskim/katowickim*, IPN, Katowice 2012, ss. 750.



■ *Geneza paktu Hitler-Stalin. Fakty i propaganda*, red. Bogdan Musiał i Jan Szumski, IPN, Warszawa 2012, ss. 244.



■ Agnieszka Jaczyńska, *Sonderlaboratorium SS. Zamojszczyzna – „pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie” 1942–1943*, IPN, Lublin 2012, ss. 480.



■ *Jan Józef Lipski z perspektywy XXI wieku*, red. Konrad Rokicki, IPN, Warszawa 2012, ss. 168.



■ Przemysław Jastrzębski, *„Myśl narodowa” 1921–1939. Studium politologiczno-prasoznawcze*, (seria „Monografie”, t. 84), IPN, Warszawa 2012, ss. 294.



■ *Leksykon militariów Powstania Warszawskiego*, red. Michał Komuda, IPN, Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa 2012, ss. 388.



■ *NSZZ „Solidarność” Region Konin. Wybór dokumentów, tom I (1980–1981)*, („Studia i Materiały Poznańskiego IPN”, t. XXII), wstęp, wybór i oprac. Konrad

Białecki i Waldemar Handke, IPN, Poznań 2012, ss. 411.



■ *Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1981. Wybór dokumentów*, (seria „Dokumenty”, t. 54), wybór i oprac. Kamil Dworaczek, IPN, Warszawa 2012, ss. 592.



■ *Poland and Ukraine in the 1930s and 1940s. Documents from the Archives of the Secret Services*, wybór i red. Jerzy Bednarek, Diana Boyko, Wanda Chudzik, Joanna Karbarz-Wilińska,

Serhiy Kokin, Marcin Majewski, Yuriy Shapoval, IPN, Łódź–Warszawa–Kijów 2012, ss. 816 + ss. 32.



■ Olgierd Skalski, *Zwierzenia młodego zesłańca*, wybór, wstęp i oprac. Janusz Wróbel, IPN, Warszawa 2012, ss. 130.



■ *Sobibór. Bunt wobec wyroku*, IPN, Ośrodek KARTA, Warszawa 2012, ss. 172 + ss. 20 wkl. zdj.



■ Paweł Szulc, *Zniwolony eter. Polskie Radio Szczecin w latach 1945–1989*, IPN, Szczecin 2012, ss. 536.



■ *Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944–1956*, red. Tomasz Łabuszewski, IPN, Warszawa 2012, ss. 632.



■ Elżbieta Wojcieszek, *Władze wobec Kościołów i związków wyznaniowych na Środkowym Nadodrzu w latach 1945–1956* („Studia i Materiały Poznańskiego IPN”, t. XX), IPN, Poznań 2012, ss. 293.

# 1 MARCA

Dzień egzekucji  
IV Zarządu WiN

## Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych



INSTITUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

- Wejdź na [www.pamięć.pl](http://www.pamięć.pl)
- Zbuduj im pomnik
- Wystarczy kliknąć

